

Europa Cohna-Benditta
Rosja protestów
Francja wyborów

Rabacja
w Galicji: koniec
niewolnictwa

Płakałam
na „Sponsoringu”,
bo to o mnie

Ajschylos, Brecht,
Brontë, Springer,
Szekspir, Havel

PRZE KROJ

Nr 17/18 (3486/7) / 23/30 KWIETNIA 2012 / CENA 3,99 ZŁ
WWW.PRZEKROJ.PL w tym 8% VAT



Spotkajmy się
1 maja!

INDEKS
371424

9 770033 248205

ISSN 0033-2488

17 >

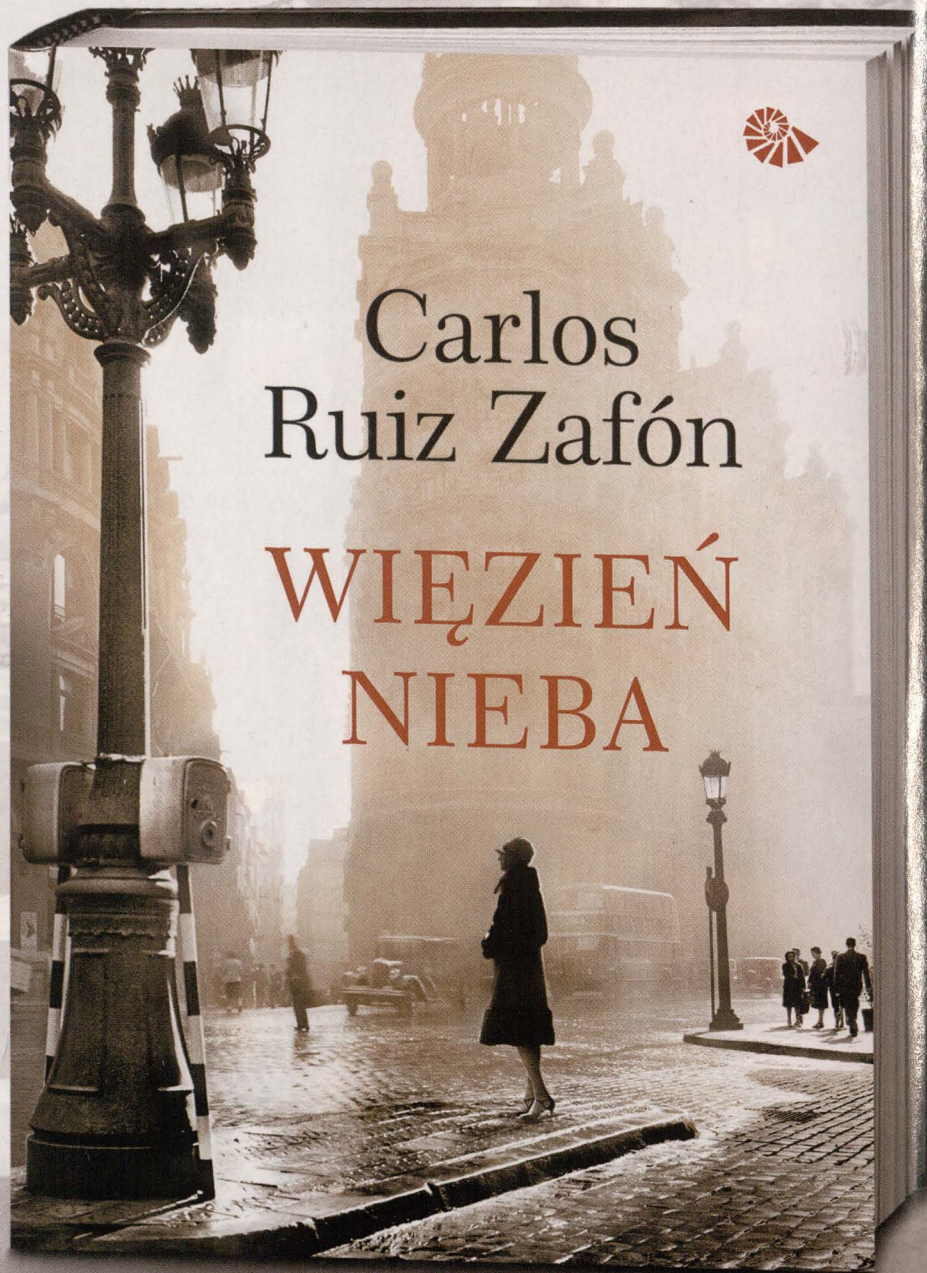
NAJNOWSZA POWIEŚĆ AUTORA „CIENIA WIATRU”

Rok 1957. Interesy rodzinnej księgarni Sempere i Synowie idą tak marnie jak nigdy dotąd. Daniel Sempere, bohater *Cienia wiatru*, wiezie stateczny żywot jako mąż pięknej Bei i ojciec małego Juliana. Następny w kolejce do porzucenia stanu kawalerskiego jest przyjaciel Daniela, Fermín Romero de Torres, osobnik tyleż barwny, co zagadkowy: jego dawne losy wciąż pozostają owiane mgłą tajemnicy.

Ni stąd, ni zowąd przeszłość Fermína puka do drzwi księgarni pod postacią pewnego odrażającego starucha. Daniel od dawna podejrzewał, że skoro przyjaciel nie chce mu opowiedzieć swojej historii, to musi mieć ważny powód. Ale gdy Fermín wreszcie zdecyduje się wyjawic mroczne fakty, Daniel dowie się „rzeczy, o których Barcelona wolałaby zapomnieć”.

I choć zakończenie powieści wydaje się ze wszech miar pomyślne, to Ruiz Zafón mówi nam wprost, że „prawdziwa historia jeszcze się nie skończyła. Dopiero się zaczęła”.

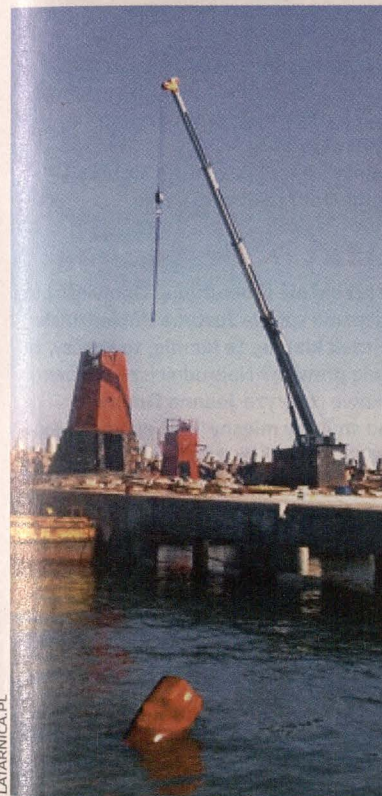
www.muza.com.pl



**PRZE
KROJ**

Założył w roku 1945
w Krakowie redaktor
Marian Eile

**NIE PUBLIKUJEMY
TEGO ZDJĘCIA...**



To była najstarsza polska latarnia morska, która od 1843 r. wpuszczała wszystko, co pływa, do portu Gdańsk. Zarząd portu postanowił ją pociąć i przetopić. I zrobił to. Ale za to wkrótce zostanie otwarty nowoczesny Ośrodek Kultury Morskiej.

**LAST MINUTE
KRZYSZTOF PŁYTA**

**O PATRONACH:
KTO NAM
POZWALA
DŁUŻEJ
LENIUCHOWAĆ?
ŚWIĘTA MAJA.**

W T Y M T Y G O D N I U

NIE PISZEMY O TYM...

... że amerykańskie władze wojskowe naciskały na redakcję „Los Angeles Times”, aby nie publikowała kolejnej serii zdjęć, na których żołnierze us Army beczczą zwłoki afgańskich bojowników. Opublikowała.

... że w miejscu, gdzie miał stanąć budynek Muzeum Sztuki Nowoczesnej zaprojektowany przez Christiana Kereza, stanie jednak największy polski McDonald's w wersji McKibic, gdzie na stojaka będzie można coś przekąsić. Czekamy na niezbędną inwestycję towarzyszącą tej instalacji: McKibel.

... jak maszyniście pociągu, który zatrzymał go, nie mając pewności, czy sygnalizacja działa sprawnie, nie podziękowano za to, że zareagował zgodnie z procedurami, tylko podano alkomat, żeby sprawdzić jego trzeźwość. Mgły nie było.

... że Jimek (Radzimir Dębski), syn znanego kompozytora, najlepiej na świecie zremiksował utwór wykonywany przez Beyonce „End of Time”. Piosenkarka zadzwoniła do niego osobiście. Do Polaka!

... o ćwiczeniach GROM i policyjnych antyterrorystów, którzy odbijali zakładników, których odegrali studenci Politechniki Gdańskiej. Jak nauka, to nauka.

... jak Trybunał Konstytucyjny uznał za niekonstytucyjne zmiany w ustawie o dostępie do informacji publicznej. Tak zwana poprawka Rokickiego (senatora Platformy Obywatelskiej) pozwalała na nieudostępnianie informacji o ekspertyzach i opiniach zamawianych przez władzę. Wydaje się, że bardziej może zaszkodzić nam aktywność legislacyjna senatora.

... że Europejski Trybunał Praw Człowieka stwierdził naruszenie przez Polskę zakazu tortur oraz niehumanitarnego lub poniżającego traktowania w sprawach dwóch więźniów, którzy mieli status więźniów niebezpiecznych. Też coś! Żeby się awanturować o niebezpiecznych więźniów?!

... że Antoni Macierewicz wypowiedział jednoosobowo i osobiście wojnę Polsce w imieniu Rosji. Poczekamy na atak Marsjan.

... że zdaniem Jarosława Kaczyńskiego Donald Tusk „ze znanych sobie powodów boi się Putina, ale boi się również Lecha Kaczyńskiego”. Strach się bać tych powodów.

... że na odcinek walki o publiczną kasę dla Kościoła oddelegowany został kardynał Nycz. Żądamy jawności tych negocjacji.

MAREK RACZKOWSKI



MARK RACZKOWSKI



UPRZEJMIE MANIFESTUJEMY

- 6 **ODZYSKAJMY 1 MAJA!** Czym jest dziś dla nas Święto Pracy? Tylko okazja do grilla za miastem? Jest o co walczyć, więc ruszmy na pochody – przekonuje **Aleksandra Bilewicz**

PRZED WSZYSTKIM

- 8 **Utknęliśmy na skrzyżowaniu wielu kryzysów.** Z Danielem Cohnem-Benditem, przywódcą paryskiego Maja '68, współprzewodniczącym frakcji Zielonych w Parlamencie Europejskim, rozmawia **Adam Ostolski**
- 14 **Bez przemocy, bez rewolucji, bez ryzyka** Kolejna fala manifestacji zapowiadana na początek maja będzie sprawdzianem, czy Rosjanie są gotowi na zmiany – przewiduje socjolog z Uniwersytetu Moskiewskiego **Aleksander Bikbow** w rozmowie z **Katarzyną Mill**
- 18 **Między Sarkollandem a Hollandkozym** W niedzielę Francuzi wybierali nowego prezydenta. Czy najlepiej będzie, jeśli władzę obejmie postać melodramatyczna, czy człowiek znikąd? A może powinni rządzić obaj? Z **prof. Georges'em Minkiem**, francuskim socjologiem, rozmawia **Jarosław Makowski**
- 21 Felieton **Anny Grodzkiej**
- 22 **Pańszczyzna ojczyzna.** Co w nas zostało z rabacji galicyjskiej – zastanawia się **Przemysław Wielgosz**
- 24 **Wieśniak w salonie.** O związku pańszczyzny ze współczesnym systemem finansowym **Monika Strzępka i Paweł Demirski** opowiadają **Przemysławowi Witkowskiemu**
- 29 Felieton **Adama Ostolskiego**
- 30 **Zbójnik podniósł broń.** Romantyczna otoczka zbójnictwa przesłoniła fakt, że było ono chłopskim ruchem oporu – pisze **Dariusz Zalega**
- 32 **Rewolucyjna pamięć w gminie Biecz** Świadomość hańby pańszczyźnianej jest mocniejsza od narodowej i religijnej – reportaż **Tomasza Bohajedy**
- 34 **Państwo się prywatyzuje.** O końcu brytyjskiego państwa opiekuńczego pisze **prof. Jane Hardy**
- 36 **JESSICA rewitalizuje miasta.** Jak Unia Europejska wspiera budowę nawet galerii handlowych, wyjaśnia **Anna Cieślak-Wróblewska**
- 38 **Polonia magistra historiae.** Książka Jana Sowy „Fantomowe ciało króla” powinna zrewolucjonizować debatę o historii Polski. I nauczanie o niej. Klóć się **Laskowski, Nawratek, Szadkowski i Świątkowska**
- 42 **Zróbmy antyśmięciową rewolucję.** Polskie przepisy odbierają milionom pracujących

- prawo do zrzeszania się – jak do tego doszło wyjaśnia **Bojan Stanisławski**
- 44 **Przeciw polityce bez wartości** protestują **Piotr Ikonowicz**
- 45 **Pożytki z krytyki lewicy** objaśnia **Łukasz Pawłowski**
- 46 **Różowe i niebieskie kołnierzyki w świecie niepewności.** O badaniach naukowych nad prekariatem pisze **Izabela Desperak**
- 48 **Męski orzeł, krwawa flaga** są wciąż żywe w świadomości społecznej – pisze **Jacek Wajszczak**

FOTOREPORTAŻ

- 50 **Za zasłony odurzenia.** Podróż przez krajobrazy i historie dawnych sąsiadów borykających się z alkoholizmem **Uli Wiznerowicz**
- 55 **Plagiaty i pastisze** opisuje **Hubert Klimko-Dobrzaniecki**

CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 56 **Gdy już się nie prostytuuję.** Opowieść byłej prostytutki spisała **Justyna Pobiedzińska**
- 59 **Czy jeżeli kłamię, że kłamię, to znaczy, że mówię prawdę?** Najtrudniejsze problemy naukowe rozgryza **Joanna Omorska**
- 60 **Kogo śmieszy mięsny jeź.** Fenomen Magdy Gessler i „mięsnego jeża” analizują **Marta Karaś i Ilona Witkowska**

KONIEC Z KULTURĄ

- 62 **Krytyczne wątki powieści siostr Brontë** giną w adaptacjach filmowych – twierdzi **Majmurek**
- 65 **Zebek przechodzi okres bezruchu** – pisze w felietonie **Piątek**
- 66 **O aktualności XIX-wiecznej przemocy ekonomicznej** pisze **Daniel Sidorick**
- 68 **Recenzje książki:** Obermannova w „Tajnej księdze” zwierza się z romansu z Havlem – plotkuje z Pragi **Urzędowicz**
- 70 **Co robi widz postawiony przez Wojtkę Ziemliskiego na pustej scenie?** – opowiada **Mrozek**
- 72 **Recenzje teatru:** „Hamlet” Szkotaka to opowieść o świecie, w którym zbrodnię i zło nazywa się polityką – diagnozuje **Drewniak**
- 74 **O fascynacji powojennym modernizmem** opowiedział **Springer**. Wysłuchała **Kazimierowska**
- 76 **Recenzje muzyki:** Dr. John powraca w wielkim stylu – cieszy się **Skolimowski**
- 78 **Recenzje film:** Czarna komedia o zamachowcach samobójcach? Dlaczego nie? – pyta **Arest**

ZAWSZE W PRZEKROJU

- 80 – 82 **Rozmaitości z krzyżówką** i **Lewomyślnie** **Kurkiewicza**
- 3, 4, 81, 82 **Raczkowski**



- ☒ Orange
- ☒ T-Mobile
- ☒ Plus
- ☒ PLAY

Nielimitowane rozmowy, SMS-y i MMS-y do czterech sieci w abonamencie za 79 zł

W FORMULE 4.0 dzwonisz, SMS-ujesz i MMS-ujesz bez limitu do Orange, T-Mobile, Plus i oczywiście do Play, w stałym abonamencie, już za 79 złotych miesięcznie.

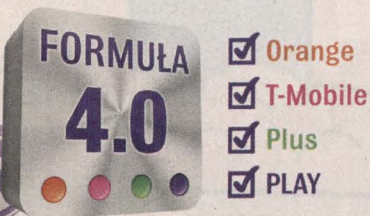
Umowa tylko na 12 miesięcy!

Sprawdź w salonach Play i na www.play.pl
Najszybciej rozwijająca się sieć w Polsce.

PLAY

Dotyczy krajowych połączeń głosowych, SMS-ów i MMS-ów do sieci komórkowych. Abonament 79 zł przy umowie bezterminowej i elektronicznej faktury dla przenośnych numerów Orange, T-Mobile lub Plus z ofertą z fakturą.

REKLAMA



- ☒ Orange
- ☒ T-Mobile
- ☒ Plus
- ☒ PLAY



ODZYSKAJMY PIERWSZEGO MAJA

Święto pracy, Paryż, 1937 r.



Czy 1 maja, poza wolną datą w kalendarzu, przestał istnieć? Zmarł śmiercią naturalną jak kwiat, który zamienia się w owoc? Może wszystko, co było do wywalczenia, zostało już wywalczone? „Dla mnie pierwszy maja jest niczym i nie sądzę, żeby to miało się zmienić” – napisał jeden z moich facebookowych znajomych. Przecież nasza sytuacja nie może się równać z sytuacją robotników, którzy w 1886 r. wyszli na ulice Chicago... Czy aby na pewno?

Może Święto Pracy znika, bo znika właśnie to, co wywalczyli robotnicy? Filary, które pozwalały zakładać związki zawodowe, walczyć o ośmiodzinny dzień pracy, godną płacę, bezpieczeństwo zatrudnienia, wreszcie równe płace dla kobiet i mężczyzn? Święto Pracy staje się niepotrzebne, bo znika sama praca... A raczej temu, co robimy, status pracy coraz częściej jest odmawiany, a my sami przestajemy być pracownikami i pracowniczkami, możemy być co najwyżej zleceniobiorcami.

Pod hasłem uelastycznienia rynku pracy, by zapewnić rozwój i dobrobyt, coraz większej liczbie pracowników, zwłaszcza młodych, odbiera się stabilność zatrudnienia, prawo do zwolnienia, urlopu, świadczeń emerytalnych i wreszcie – prawa do zrzeszania się. Premiując pozako-

deksowe formy zatrudnienia, polscy pracodawcy z modernizacją i rozwojem na ustach cofają nas ku mrokom XIX-wiecznego kapitalizmu. I choć daleko nam do przerażającej nędzy z powieści Dickensa czy Blake'owskich wizji (takie warunki pracy wyeksportowano do Trzeciego Świata), młody prekariat znalazł się w podobnym położeniu co niegdyś proletariatus – ogromne rzesze ludzi, którymi można było swobodnie dysponować, dopóki się nie zorganizowali. Za ekranami laptopów siedzimy „nadzy” jak pierwsi pracownicy fabryk, nie mając do stracenia nic prócz swego kredytu, o ile dane nam go było dostać. Wygląda na to, że gmach praw pracowniczych trzeba wznosić od nowa.

Chociaż odmawia nam się godności bycia pracownikami i pracowniczkami, to przecież pracujemy. Dlatego Święto Pracy nie przestało być ani aktualne, ani potrzebne. Jest wręcz potrzebne szczególnie właśnie teraz. Nie musimy odkurzać tradycyjnych haseł, zwyczajów i pieśni. Możemy przecież stworzyć nowe święto. Od czego by tu zacząć? Na przykład 1 maja mogłby stać się Dniem Niewmawiania Nam Pozornie Obiektywnych i Aideologicznych Prawd, które skłaniają do godzenia się na każde możliwe warunki pracy i życia. Chociażby takich, że aby

Czym jest dla nas 1 maja? Okazją do grilla za miastem? Wyobrażeniem przymusowych pochodów, w których maszerowali ludzie o doklejonym uśmiechu? Dniem, w którym po pustych ulicach przemieszczają się śmiesznie małe grupki pseudolewicowych polityków? Zbędnym reliktywnym świętem, które spowalnia wzrost gospodarczy, bo odrywa nas na chwilę od generowania PKB?



utrzymać tempo wzrostu gospodarczego, musimy pracować coraz dłużej i więcej, bez żadnych osłon, czyli „przywilejów”.

Powiedzmy to wyraźnie: rozwój gospodarczy nie może odbywać się kosztem podstawowych praw ludzi i jakości ich życia, bo zamienia się w swoją własną parodię. Pamiętajmy, że jesteśmy społeczeństwem, które pracuje najwięcej godzin ze wszystkich w UE i ma największy odsetek (około jednej trzeciej) umów śmieciowych spośród państw członkowskich.

Rozwój za wszelką cenę może służyć tylko najbogatszym albo fanatycznym ideologom neoliberalizmu. Już dziś produkt krajowy brut-

to przestaje być uważany za jedyny możliwy wskaźnik rozwoju i dobrostanu społeczeństw. Ostatnio na szczelu Narodów Zjednoczonych zaproponowano, by zastąpić go indeksem szczęścia (Gross National Happiness), który mierzy poziom dobrostanu, a nie wzrostu gospodarczego. 1 maja przynajmniej wyłączmy zatem poranne programy gospodarcze w naszych radioodbiornikach i telewizorach. Od razu zrobi się lepiej.

ALEKSANDRA BILEWICZ

PS A na pochód oczywiście też możemy się udać, na przykład do Wrocławia, gdzie odbywa się pod hasłem: „Dzisiaj śmieciowe umowy, jutro śmieciowe emerytury”.

Nowa Honda Civic

Ceny paliwa zostawisz w tyle...



Z nową Hondą Civic dostajesz pakiet startowy:

2000 zł – na paliwo,

OC/AC/NNW – dla bezpiecznego użytkowania.



W zależności od wersji zużycie paliwa w cyklu mieszanym: od 5,4 do 6,4 l/100 km, emisja CO₂: od 129 do 150 g/km. Informacje dotyczące odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji na stronie www.honda.pl.

Utknęliśmy na skrzyżowaniu wielu kryzysów



Z DANIELEM COHNEM-BENDITEM, przywódcą paryskiego Maja '68, współprzewodniczącym frakcji Zielonych w Parlamencie Europejskim, rozmawia Adam Ostolski

Czy Europa ma przyszłość?

- Europa powinna mieć przyszłość i dlatego Europa oczywiście ma przyszłość. Jeśli pojawiają się wątpliwości, to znaczy, że nie potrafimy spojrzeć na rzeczywistość Europy z odpowiedniej, historycznej perspektywy. Europa narodziła się po II wojnie światowej, a więc ma dopiero 50 lat, przeszła w tym czasie przez różne etapy, od traktatów rzymskich po dzień dzisiejszy. Ale 50 lat to bardzo mało. Pomyślmy o państwie narodowym, ile czasu potrzebowało na to, by stać się rzeczywistością. I nie myślę tylko o Polsce, bo to samo dotyczy Francji czy Niemiec, które potrzebowały na to dwóch lub trzech stuleci. Budowanie wspólnej Europy otworzyło w dziejach cywilizacji europejskiej zupełnie nowy rozdział. Potrzeba czasu, →

Stefan Maszewski/REPORTER



nastaw się
na chill out

POLECAM!
MAGDALENA MIELCARZ

Warszawa 106,8 FM

Kraków 101,0 FM

Poznań 101,6 FM

Gdańsk 92,0 FM

Koszalin 106,9 FM

Rzeszów 96,4 FM

Gdynia 101,1 FM

Łódź 89,6 FM

Szczecin 104,9 FM

Katowice 93,6 FM

Olsztyn 91,9 FM

Wrocław 106,9 FM

Zielona Góra 92,9 oraz 98,4 FM

→ żeby ten projekt nabrał większej realności. To może zająć jeszcze 30, 40, może nawet 50 lat, ale jest absolutnie pewne, że nie ma powrotu do państw narodowych, ponieważ państwa narodowe nie są w stanie sprostać współczesnym wyzwaniom. Problemu zmian klimatycznych nie można rozwiązać tylko w Polsce albo tylko w Niemczech czy w jakimkolwiek innym kraju. Podobnie nie da się na tym poziomie regulować globalizacji. Tak więc Europa bez wątpienia ma przyszłość, pozostaje spór o to, jaka to będzie przyszłość, jakie siły ją ukształtują. Europa jest jak otwarta księga, w której zapisano dopiero 50 stron, a przed nami jeszcze wiele czystych kart do zapisania.

Jakie są więc możliwe warianty przyszłości Europy?

– Są tylko dwie możliwości. Europa może rozwijać się w stronę konfederacji, w której państwa narodowe blisko ze sobą współpracują, albo w stronę federacji, w której będzie coraz więcej suwerenności na poziomie europejskim, która uzupełni suwerenność na poziomie narodowym. Tocząca się dziś na różnych poziomach debata dotyczy w gruncie rzeczy tego, która z tych dwóch możliwości się urzeczywistni.

A po której stronie tego sporu umieściłby pan Barroso? Trzy lata temu wraz z Zielonymi w całej Europie prowadził pan kampanię pod hasłem „Stop Barroso”. Czy Barroso okazał się taką katastrofą, jak pan przewidywał?

– Barroso sądził, że rolą przewodniczącego Komisji Europejskiej jest koordynacja tego, czego chcą rządy państw członkowskich, a zwłaszcza Niemcy i Francja. Ale w pewnym momencie, już podczas swojej drugiej kadencji, musiał zrozumieć, że Francja i Niemcy w swojej wizji Europy potrzebują go jedynie w roli sekretarza wykonawczego. Wtedy uświadomił sobie, że sam musi szukać sojuszników dla wizji Europy jako wspólnoty, w której komisja odgrywa ważną rolę. Przeszedł ewolucję i dziś robi dla europejskiej suwerenności więcej niż podczas swojej pierwszej kadencji czy nawet na początku drugiej.

Więc dziś postrzega go pan raczej jako sprzymierzeńca niż przeciwnika?

– W pewnych kwestiach kierowana przez niego komisja jest sojusznikiem.



Daniel Cohn-Bendit na demonstracji studentów w maju 1968 r. w Paryżu

Jak na przyszły kształt Europy wpłynie podpisany niedawno pakt fiskalny? Czy to kolejny krok w stronę...

– Nie, nie... Pakt fiskalny to nieporozumienie. To jedna wielka gra pozorów. W pakcie fiskalnym nie ma nic, czego by nie przyjęto już wcześniej. Parlament i rada uzgodniły już kształt ekonomicznego rządzenia w Europie. Można to różnie oceniać, ale zdecydowano, że te rozstrzygnię-

cia staną się w przyszłości częścią prawa wspólnotowego. Tak więc pakt fiskalny jest kompletnie bezużyteczny. A jeśli się robi takie gesty bez uwzględniania potrzeby wzrostu gospodarczego, bez jakiegokolwiek perspektywy pogłębionej solidarności, to może ma to znaczenie symboliczne dla Niemiec, ale w rzeczywistości jest to zupełnie jałowa gra. Tracimy tylko czas, zwracając sobie głowę ratyfikacją przepi-



Rue des Archives/AGIP/FORUM

sów, które i tak już są częścią europejskiego prawa. Nie potrzebujemy tego.

A czego potrzebujemy?

– Złotej reguły... A nawet trzech złotych reguł. Jeśli chodzi o gospodarkę, nie jestem przeciwko stabilizacji fiskalnej, ale trzeba dać poszczególnym krajom czas na to, żeby mogły ją osiągnąć. Potrzebujemy też ekologicznej złotej reguły, która po-

może nam zatrzymać zmiany klimatyczne. I potrzebujemy złotej reguły w dziedzinie społecznej.

To zacznijmy od gospodarki. Jakiej polityki gospodarczej potrzebuje dziś Europa?

– Kiedy wybuchł kryzys finansowy, kraje europejskie wyłożyły miliardy euro na ratowanie banków. Wydaje się, że to dużo. Ale kiedy Stany Zjednoczone uruchomi-

ły po wojnie plan Marshalla, zaangażowały w to ok. 6-7 proc. amerykańskiego PKB. Dziś potrzebujemy dla Grecji i dla Europy planu inwestycyjnego o podobnym rozmachu, dlatego nazywam go planem Herkulesa. Poza tym potrzebujemy skonsolidowanego funduszu solidarnościowego. Chodzi z jednej strony o euroobligacje, a z drugiej o wspólny fundusz wykupu zadłużenia. Znalazłyby się w nim wszystkie kraje Unii, których dług publiczny przekroczył 60 proc. PKB. Państwa członkowskie zobowiązałyby się wykupić go w ciągu 30 lat, a Europejski Bank Centralny dałby swoje gwarancje. Chodzi o to, żeby każdy kraj mógł korzystać z tej samej stopy procentowej. Dziś Niemcy pożyczają na 1,9 proc., Włochy 6 proc., Hiszpania 5-6 proc., Grecja 22 proc. Tak się dłużej nie da. Dzięki wspólnemu funduszowi każdy kraj będzie mógł pożyczać pieniądze na niski procent, co zapewni finansową stabilność.

Jak sformułowałby pan złotą regułę w polityce społecznej? Czy potrzebujemy nowych instytucji?

– Nie potrzebujemy nowych instytucji, potrzebujemy dyrektyw. Potrzebujemy konwergencji w polityce podatkowej, żebyśmy przestali rywalizować między sobą o to, kto niżej opodatkuje przedsiębiorstwa. Słowo „konwergencja” oznacza, że zmierzamy we wspólnym kierunku, ale jednocześnie dajemy sobie czas, żeby tam dojść. Potrzebujemy w Europie prawa o płacy minimalnej. Nie chodzi o taką samą płacę minimalną w całej Europie, to musi się oczywiście odnosić do poziomu PKB i do progu ubóstwa w danym kraju. Płaca minimalna w Niemczech nie będzie taka sama jak w Polsce czy w Bułgarii. Ale wszędzie powinna obowiązywać płaca minimalna ustalona powyżej granicy ubóstwa w danym kraju. To byłby wielki krok naprzód, jeśli chodzi o społeczną konwergencję w Europie.

A złota reguła w dziedzinie ekologii?

– Zasada powinna być taka, że każde państwo w UE ma swój wkład w dążenie do zagwarantowania, że nie przekroczymy 2 st. C ocieplenia atmosfery. W tym celu musimy zredukować emisję CO2. Wszystkie kraje Europy muszą w tym uczestniczyć.

Wygląda na to, że Polska stwarza problemy w każdej z tych dziedzin... Nasz rząd sprzeciwia się harmonizacji podatków →

→ **od przedsiębiorstw, zawetował dyrektywę o maksymalnym czasie pracy, a teraz wetuje unijny pakiet klimatyczny...**

– Nie chciałbym specjalnie obwiniać Polski... ale weźmy chociaż dyrektywę o czasie pracy. Dyrektywa o czasie pracy ograniczałaaby średni tygodniowy czas pracy do 48 godzin. Bądźmy poważni: nawet w Polsce, z całą waszą energią, 48 godzin tygodniowo to naprawdę sporo. Możemy oczywiście dyskutować i Polska może powiedzieć, że nie życzy sobie iść w takim kierunku, ale prawda jest taka, że ograniczenie czasu pracy wraz z pracą minimalną to po prostu kwestia dania ludziom pewnej życiowej stabilności.

A jak przekonałby pan Polskę do poparcia harmonizacji podatków w Europie?

– Weźmy taki przykład. Apple i Amazon to dwie amerykańskie firmy, które mają swoją europejską siedzibę w Luksemburgu, gdzie płacą niższe podatki. Podatki płacą w Luksemburgu, ale pieniądze zarabiają we Francji i w Niemczech. I to chyba jasne, że od pieniędzy, które zarabiają we Francji czy w Niemczech to właśnie w tych krajach powinny płacić podatki. A w Luksemburgu powinny płacić podatki od tych pieniędzy, które zarabiają w Luksemburgu. To samo dotyczy firm działających na terenie Polski. Od pieniędzy, które zdobywają w Polsce, powinny płacić podatki właśnie w Polsce. To kwestia elementarnej sprawiedliwości. Firmy powinny płacić podatki w tych krajach, w których robią zyski, a ludzie tam, gdzie pracują. Nie może być tak, że ktoś pracuje we Francji, ale powie „Ja tak naprawdę mieszkam w Monte Carlo, gdzie nie płacę żadnego podatku”. Można to pokazać na przykładzie tenisisty Borisa Beckera. Twierdził on, że mieszka w Monte Carlo. Ale zgodnie z niemieckim prawem jeśli ktoś spędza więcej niż jedną trzecią części roku w Niemczech, musi w Niemczech płacić podatki. A Becker spędzał ponad 260 dni w roku w Niemczech, więc powinien płacić podatki w Niemczech. To jest sprawiedliwe. Jeśli w Polsce są miliarderzy, którzy zarabiają bająńskie sumy i zapewniają, że są mieszkańcami Monte Carlo, musi być taka możliwość, żeby powiedzieć im: „Nie, wy mieszkacie tutaj,

tu macie dochody i tu musicie płacić podatki”. Podobnie z harmonizacją podatków od przedsiębiorstw. Mamy w Europie wspólną gospodarkę i nie możemy wystawiać jej na szwank, konkurując na niskie podatki. Przecież w obrębie jednego kraju podatki są zharmonizowane. Nie jest tak, że w Poznaniu płaci się jedną stopę podatku, a w Warszawie inną, bo jest jasne, że Poznań i Warszawa są częściami tej samej gospodarki. Podobnie jest w Europie: potrzebna jest konwergencja, co znaczy, że nie osiągnię się tego od razu, ale musimy mieć jasny kierunek. Skoro mamy wspól-

„USA w plan Marshalla zaangażowały ok. 6-7 proc. amerykańskiego PKB. Dziś potrzebujemy dla Grecji i dla Europy planu inwestycyjnego o podobnym rozmachu, dlatego nazywam go planem Herkulesa

DANIEL COHN-BENDIT

ną walutę, wspólne cła, to także podatki od firm powinny być zharmonizowane.

Pozostaje nam kwestia polityki klimatycznej...

– Doskonale bym rozumiał, gdyby Polska powiedziała: „Potrzebujemy więcej czasu ze względu na naszą historię i zależność od węgla, potrzebujemy czasu na inwestycje”. Polska mogłaby zgodzić się na wspólnie przyjęty kierunek, ale wynegocjować dla siebie dłuższy okres przejściowy. To byłby bardzo dobry kompromis. Ale w kwestii klimatu dochodzimy do jednego z największych problemów demokracji. Chodzi o to, że np. nasze kłopoty ze zmianą klimatu oznaczają, że płacimy dziś za błędy popełnione 40 lat temu. Decyzje, które podejmujemy dziś, przyniosą dobre lub złe owoce za 40 lat. A w demokracji ludzie chcą mieć błyskawiczne rozwiązania: podjąć decyzję i od razu korzystać z ich konsekwencji. Ale w kwestii klimatu decyzje podjęte dziś przyniosą korzyści dopiero naszym dzieciom za jakieś 30, 40 lat.

Ja sam już z nich nie skorzystam. Polityka klimatyczna oznacza wzięcie odpowiedzialności za przyszłość, a przecież wszyscy jesteśmy egoistami... To duży kłopot. Wielki problem, który również trzeba poważnie przedyskutować w Polsce.

Przyjrzyjmy się Grecji. Co właściwie oznacza dla Europy kryzys w Grecji?

– Grecja jest laboratoryjnym przykładem nawarstwiania się różnych błędów. Grecki system polityczny opiera się na klientelizmie. Ludzie nie identyfikują się z dobrem wspólnym, to bardzo zindywidualizowane społeczeństwo. Grecja popadła w katastrofę, bo nikt nie chciał płacić podatków na wspólne dobro – ani bogaci, ani klasa średnia. Ten system oczywiście wymaga reformy. Drugi problem Grecji to problem Europy w Grecji. Jak długo Francja i Niemcy mogły eksportować do Grecji broń, przemysł zbrojeniowy mógł czerpać zyski z korupcji greckiego systemu, wszystko było w porządku. Jeśli mówi się, że grecki system polityczny jest skorumpowany, to warto pamiętać o drugiej stronie medalu: korupcja zakłada istnienie nie tylko skorumpowanych, ale także korumpujących. To zaś była w tym przypadku rola firm z innych państw Unii. Ani państwo greckie, greckie społeczeństwo, ani Europa – nikt nie chciał wziąć odpowiedzialności.

A jak ocenia pan obecną politykę Europy wobec Grecji?

– Polityka oparta tylko na zaciskaniu pasa nie może się sprawdzić. Nawet Juncker przyznał niedawno, że za mocno naciskał na oszczędności, a za mało na perspektywę wzrostu gospodarczego. A to właśnie należy zrobić: dać ludziom w Grecji perspektywę jakiejś przyszłości. Wizja przyszłości motywuje do działania, bo nawet jeśli warunki są trudne, ma się nadzieję, że będzie lepiej.

Jakie byłoby zielone rozwiązanie greckiego kryzysu?

– Grecja importuje ropę naftową, ropa zaspokaja 80 proc. greckiego zapotrzebowania na energię. Jak dobrze wiadomo, w Grecji nie ma w ogóle wiatru ani słońca...

W Grecji nie ma słońca?!

– Widzę, że się rozumiemy (śmiech). Inwestując w odnawialne źródła energii, można by zmniejszyć w ciągu dziesięciu lat za-

leżność Grecji od energii z importu nawet o kilkadziesiąt procent. Można pomyśleć o innej formie turystyki. Innym problem to flota handlowa. Kiedy chce się ją opodatkować, armatorzy mówią: „Nie, nie, to nie jest grecki statek, tylko liberyjski”. Przecież Grecja ma największą flotę handlową na świecie. Wystarczyłoby zmusić armatorów, żeby płacili swoją część wkładu w dobro wspólne. Trzy różne pomysły w ciągu pięciu minut...

Chciałbym zapytać pana o pewne napięcie w zielonej wizji polityki gospodarczej. Z jednej strony mamy propozycję Zielonego Nowego Ładu, z koncepcją zielonego pakietu stymulacyjnego, wizją wspierania wzrostu. Z drugiej strony wiadomo, że nie możemy mieć wzrostu w nieskończoność. W swojej książce „Co robić?” propagował pan ideę selektywnego spadku gospodarczego...

– ...czyli, inaczej mówiąc, selektywnego wzrostu. Sелеktywny spadek i selektywny wzrost to dwie strony tej samej monety. Jeśli chcemy uniezależnić się od energii jądrowej czy ropy naftowej, musimy mieć wzrost w energetyce odnawialnej i efektywności energetycznej. Efektywność energetyczna wymaga inwestycji, np. w renowację budynków. A to oznacza wzrost w sektorze budownictwa. Nieselektywny spadek gospodarczy to tyle co recesja, ale w warunkach recesji nie można budować nowych sposobów życia. To po prostu nie będzie działać. Grecja ma dziś recesję, ale dla ludzi to nie jest takie zabawne. Inny przykład: jako Zielonym zależy nam na wspieraniu takich rodzajów mobilności, w których ludzie potrzebują mniej samochodów. Ale nie znaczy to przecież, że nie ma być w ogóle samochodów. Potrzebujemy samochodów elektrycznych czy zużywających mniej paliwa, a to znaczy, że mamy wzrost w produkcji jednego rodzaju samochodów, a spadek w produkcji innych. Tu potrzebna jest bardzo inteligentna polityka.

Rozmawialiśmy dotąd o Europie, ale Europa nie jest samotną wyspą. Często wskazuje się, że drugą stroną otwarcia granic wewnątrz niej jest uszczelnianie granic zewnętrznych, zwłaszcza zamyka-



Maj 1968 r., Paryż

nie się na migrację z globalnego Południa. Nawet w tym momencie w Grecji znalazły się pieniądze na budowę wielkiego rowu oddzielającego Grecję od Turcji, aby zatrzymać imigrantów z Azji. Co z tym robić?

– To jedna z najtrudniejszych kwestii, tu nie ma łatwego rozwiązania. Na pewno macie to samo w Polsce: Polacy chcą móc wszędzie jeździć swobodnie, ale nie chcieliby, żeby wszyscy przyjeżdżali do Polski. Ukraińcy...

Ukraińskie nianie są mile widziane przez Polaków...

– Do czasu. Cieszą się, kiedy robotnicy z Ukrainy przyjeżdżają zbudować stadion na mistrzostwa, ale liczą na to, że potem sobie wyjadą. Myślę, że musimy zaproponować pozytywną regulację imigracji. W Europie jest praca, więc ludziom powinno się dać możliwość uzyskania rocznej wizy, aby mogli przyjechać i spróbować ją znaleźć. Jeśli w ciągu roku nie znajdą pracy, musieliby wyjechać z powrotem. Sądzę, że takie rozwiązanie zmniejszyłoby poziom nielegalnej migracji o połowę. Ale nie ma co się łudzić, że nielegalną migrację da się całkowicie zatrzymać. Dlatego musimy mieszkańcom glo-

balnego Południa stworzyć jakąś możliwość legalnego przybycia do Europy. Wtedy mniej osób będzie się próbowało dostać nielegalnie przez morze, narażając swoje życie. To trudne, to wymaga też międzynarodowych reguł zapewniających ochronę imigrantom, także tym nielegalnym.

W książce „Co robić?” w 2009 r. pisał pan, że znajdujemy się na skrzyżowaniu kilku kryzysów – ekologicznego, gospodarczego, społecznego. Czy dziś, trzy lata później, jesteśmy bliżej rozwiązania tych kryzysów?

– Jesteśmy w tym samym punkcie. Przez te kilka lat niewiele się zmieniło, a pod pewnymi względami jest gorzej. Na przykład we Francji bardzo spadła w tym czasie świadomość kryzysu ekologicznego. Bardzo trudno pokazać ludziom, że te trzy kryzysy są ze sobą związane. To wymaga długiej debaty, aby wzrosła świadomość i aby opinia publiczna zaczęła dostrzegać problem.

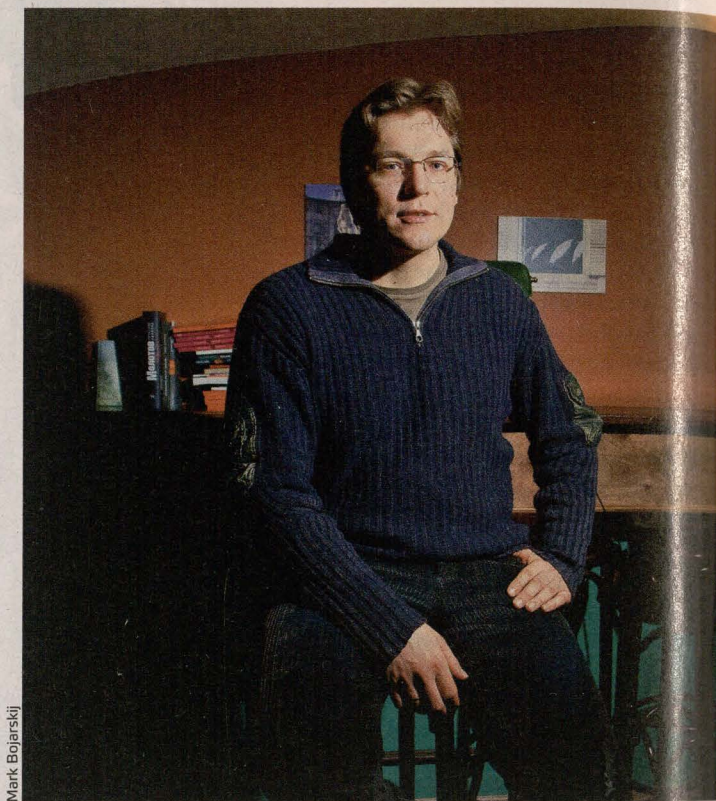
AP/EAST NEWS

Co europejscy Zieloni proponują wyborcom w następnych eurowyborach w 2014 r.?

– Nie jestem dobrym adresatem tego pytania, bo prawdopodobnie nie będę w nich kandydował. Chyba że obok list krajowych będą także ogólnoeuropejskie, ponadnarodowe listy wyborcze. Albo progresywne siły w Europie zorganizują wybory kandydata na następnego przewodniczącego Komisji Europejskiej. Moja propozycja jest taka, żeby w 2013 r. zrobić w Europie, w każdym z 27 krajów członkowskich, prawybor, w których liberałowie, socjaliści i zieloni przedstawia swoich kandydatów na szefa komisji. Oczywiście do Parlamentu Europejskiego mielibyśmy osobne listy, ale umówilibyśmy się, że osoba, która wygra prawybor, będzie naszym wspólnym kandydatem lub kandydatką, i że jeśli będziemy mieli większość w przyszłym parlamencie, odrzucimy każdą inną kandydaturę zaproponowaną przez radę. W takich prawyborach wziąłbym udział. Dziś jednak nie wygląda na to, aby te trzy frakcje były zdolne zawrzeć takie porozumienie na rzecz demokratycznej, ekologicznej i socjalnej reformy Unii Europejskiej. ●

Bez przemocy, bez rewolucji, bez ryzyka

Kolejna fala manifestacji zapowiadana na początek maja będzie sprawdzianem, czy Rosjanie są gotowi na zmiany – przewiduje socjolog z Uniwersytetu Moskiewskiego **ALEKSANDER BIKBOW**. W rozmowie z Katarzyną Mill tłumaczy, kto w Rosji wychodzi na ulice i dlaczego są to głównie ludzie wykształceni



Mark Bojarskij

Znany rosyjski blogger Ilia Kliszyn powiedział, że w Rosji w dobrym stylu jest teraz angażować się w politykę. Czy chodzenie na demonstracje to też efekt mody?

– W Rosji trwa bardzo świadoma próba wykreowania mody na akcje polityczne. Chodzi o pokazanie, że to może być dobra zabawa, ale jest też trochę bohaterkie i odświętne. Jakies dwa, trzy lata temu dziennikarze, zwłaszcza z nowych mediów, zaczęli rozmawiać o modnych protestach. To się łączyło z tzw. strategią 31, czyli demonstracjami, które odbywały się w Rosji każdego 31. dnia miesiąca, dla poparcia 31. artykułu konstytucji o wolności zgromadzeń. W tej akcji nie chodziło o nic innego, jak tylko o manifestowanie. Rozpoczęli ją aktywiści z kręgów liberalnych i obrońców praw człowieka. Z czasem stała się całkiem modna. Ludzie zaczęli tam chodzić, żeby... No, nie żeby dać się pobić przez policję, ale żeby uczestniczyć w fajnej akcji z adrenaliną.

To, co stało się w Moskwie, Petersburgu i w innych miastach w grudniu zeszłego roku, miało zupełnie inne zadanie, to już nie była czysta zabawa. Ludzie zaczęli manifestować zaraz po wyborach, 4 grudnia wieczorem. Policja zgarnęła może 75 osób, a następnego dnia kolejnych 300. Pierwszą wiel-

ką prawomocną demonstrację zaplanowano na 10 grudnia. Krążyły plotki, że wojsko będzie strzelać, przyjedzie jakiś tajemniczy czecheński oddział i brutalnie potraktuje manifestantów. To pokazuje, że na początku nie pojawiał się wymiar zabawy. Nie był pewny.

A te plotki? Czy to media społecznościowe je rozpowszechniały?

– Przede wszystkim media społecznościowe, ale rozmawiano też o tym w kawiarniach.

W kawiarniach? Nie wszystko jeszcze przeniosło się do Internetu?

– Ludzie podczas tych protestów działali także w sferze offline. Poczynając od tych, którzy wymyślili białą wstążkę jako symbol mobilizacji, albo tych, którzy zorganizowali warsztaty protestu, gdzie ludzie o przeróżnych zawodach i z rozmaitych sektorów społecznych wymyślali wspólne działania i szukali też osób do ich realizacji.

Co się właściwie stało? Dlaczego tysiące ludzi wyszło na ulice 10 grudnia?

– To wciąż jest dla mnie zagadką. Jednym z najważniejszych czynników były dowody naruszania procedur w lokalach wyborczych dostarczane przez obserwatorów.

Tradycyjne media, które mają moralny autorytet w pewnym segmencie społeczeństwa – aktywnym, wyedukowanym – przewidywały dużo naruszeń podczas wyborów. Pisały, jak fałszerstwa zostaną tym razem zorganizowane. Odkrywały przekręty, bazując między innymi na doświadczeniu sprzed czterech lat. Było wiele doniesień o ludziach zmuszanych w pracy do podpisania papierów pozwalających na głosowanie poza miejscem zamieszkania. Potem musieli oddawać te dokumenty swoim przełożonym. Robiły tak firmy państwowe, ale też prywatne. Tych dokumentów używano potem do wzmocnienia wyniku partii rządzącej.

Zaczęły powstawać grupy, które miały nadużyciom zapobiec. Na przykład jeśli ktoś się dowiedział, że między jedną a drugą komisją wyborczą będzie jechał autokar, a w nim ludzie z prawdopodobnie sfałszowanymi dokumentami, to dobierał sobie kierowcę, szukał kamery, brał jeszcze jedną osobę do towarzystwa, jeździł za tymi autokarami i filmował oszustwa. Od przełomu października i listopada dziennikarze, blogerzy, ludzie ze stowarzyszeń na rzecz demokracji zaczęli mówić: „Ty też możesz pomóc – możesz obserwować, dzielić się informacją, możesz krytykować”...

Czyli każdy jest obserwatorem.

– Każdy, kto usłyszał o jakichś oszustwach. A jednak wciąż nie jest pewne, jak to się stało, że ludzie wyszli na ulice. Przecież nie chcieli walczyć. Jeszcze sześć miesięcy wcześniej dominującym nastawieniem do polityki rosyjskiej było: „Nic nie mogę zmienić. Tak czy owak wybory zostaną sfałszowane, a skorumpowane władze dalej będą kraść”.

Myślę, że spotkały się różne trendy. Przede wszystkim pełna gotowość aktywistów politycznych oraz wezwanie od wiarygodnych blogerów, którzy mówili: „Na 5 grudnia, dzień po wyborach, jest zaplanowana mała demonstracja polityczna. Wprawdzie jest przypisana konkretnej grupie politycznej, ale to nic nie znaczy. Po prostu było dużo uchybień i powinniśmy zmanifestować nasze niezadowolenie”. Powtórzyły to duże media. Nagle różne grupy miały jedno miejsce manifestacji. I kiedy dzień po wyborach stawiało się tam nie 500, ale 5 tys. osób, to było niesamowite. W dobrym tonie było tam się pojawić, ale nie nazwałbym tego modą, ale raczej poczuciem typu „zmienia-

my coś, to jest niesamowite i warto powtórzenia”. I to poczucie nakreśliło całą grudiową, a potem także lutową mobilizację.

Kim byli ludzie, którzy przyszli na manifestację?

– Bardzo ciekawie wypadły odpowiedzi na jedno z naszych pytań: „Do jakiej grupy społecznej pan/pani siebie zalicza?”. Ku mojemu zaskoczeniu ludzie nie odpowiadali „klasa średnia”. Co ciekawe, ci, którzy sami się do niej zaliczali, nie mówili tego z przekonaniem, a raczej: „Cóż, tak, może jestem klasą średnią” albo: „Gdyby struktura społeczna była bardziej przejrzysta, to chyba był(a)bym z klasy średniej”.

Ludzie na ulicach nie potrzebowali tej tożsamości, nie potrzebowali definiować się jako kolektywny aktor. Tym niemniej od pierwszych dni niektóre media opisywały manifestacje jako rewoltę klasy średniej. Rozpoczęła się debata wokół tego pojęcia. Później, w marcowych demonstracjach, ludzie mówili: „Podobno tu jest klasa średnia, więc do niej należę” albo „Nie ma klasy średniej, są tylko złodzieje i zwykli ludzie”.

Co więc łączyło tych ludzi poza potrzebą zmiany?

– Byli nauczyciele, którzy zarabiają 300–600 euro, freelancerzy z IT, dziennikarstwa, designu i menedżerowie najwyższych szczebli, którzy wydają po 10 tys. miesięcznie. Łączy ich wykształcenie. To są ludzie z dyplomami uniwersyteckimi, którzy pracują intelektualnie. W marcu pojawili się ludzie słabiej wyedukowani i ze słabszych grup społecznych. Wtedy mobilizacja stała się wydarzeniem narodowym, a nie czymś wymyślonym i tworzonym tylko przez intelektualistów.

Wśród uczestników były grupy, które na co dzień ze sobą walczą, a podczas tych demonstracji szły ramię w ramię. Ktoś powiedział, że to jest ruch „no logo”, bez identyfikacji grupowej.

– To było jednocześnie „no logo” i „multi logo”. Nad tłumem wznosiło się wiele flag i bannerów różnych frakcji politycznych, a i tak było bardzo dużo ludzi, którzy nie przynależeli do żadnej z tych frakcji. I przyszli z własnoręcznie zrobionymi →

REKLAMA

PRAWO IRONII LOSU NR 739

„KIEDY PRACOWNIKÓW NIE STAĆ NA LEKI, POWODY DO ZMARTWIENIA PRACODAWCA”

UBEZPIECZENIE ZDROWOTNE

Praktyczne rozwiązanie PZU nr 739

Z ubezpieczeniem lekowym PZU płacisz za leki 80% mniej

PZU Ubezpieczenie Lekowe to pierwsze na rynku ubezpieczeniowym rozwiązanie, które w łatwy sposób pozwala istotnie zmniejszać wydatki na leki. Dzięki ubezpieczeniu 80% ceny leku przepisane przez lekarza jest finansowane przez PZU.

To atrakcyjna oferta dla wszystkich pracowników – zapewnia poczucie bezpieczeństwa i możliwość obniżenia wydatków na leki.

Zadzwoń: 801 102 102 lub sprawdź na www.pzu.pl



Praktyczne rozwiązania

→ apolitycznymi, ironicznymi napisami. Ta grupa mogłaby być nazwana „no logo”. Była znacznie większa niż „multi logo”, czyli ci, którzy godzili się być w tym samym miejscu w tym samym czasie mimo sprzecznych poglądów. Dla aktywistów ze skrajnej lewicy, skrajnej prawicy, liberałów czy ruchu praw człowieka sąsiedztwo nie było łatwe. W pierwszej demonstracji krążyłem między manifestantami i widziałem, jak anarhisty chcieli się bić z przedstawicielami głębokiej prawicy, którzy skandowali hasła typu: „Rosja dla Rosjan”.

Udało się uniknąć przemocy nie dzięki poczuciu zjednoczenia przeciwko Putinowi, ale raczej dzięki niepewności: nie rozumiemy, co się dzieje, jaka będzie najbliższa przyszłość. Potem, na drugiej i trzeciej demonstracji, ludzie już się przyzwyczaili do obecności politycznych adwersarzy. Ci, którzy mieli wspólne przekonania, oddzielali się od innych w przestrzeni. Trudniej było wewnątrz tzw. organów koordynacyjnych. Nie dało się przecież rozsadzić ludzi w małym pokoju, gdzie byli nacjonaliści, trockiści, liberałowie i obrońcy praw człowieka, którzy musieli zdecydować, jak coś razem zrobić.

Nie udało im się przezwyciężyć swoich antypatii?

– Udało im się przedyskutować procedury. Niestety nie dyskutowali nad niczym innym, tylko nad procedurami – kto jak ma głosować, ilu reprezentantów będzie z której frakcji i tak dalej. Te spotkania trwały po cztery godziny czy pięć, ale merytorycznie nic nie wносиły. Transmitowała je telewizja internetowa. Komentarze były strasznie ironiczne. Ekipa koordynująca składająca się z niekompatybilnych osób musiała stawić czoło wielkim oczekiwaniom, ale w efekcie nie koordynowała niczego poza samą sobą. Na przełomie lutego i marca kompletnie się wyludniła. Jedyną siłą polityczną, która została, byli nacjonaliści. Chcieli być oficjalnym reprezentantem politycznym tego ruchu. Ale to był ruch autoprezentacji, nikt nie mógł mu przewodniczyć. Nacjonalistom nie udało się z marginalnej grupy zamienić w partię parlamentarną, ale zainteresowały się nimi media. Zamienili się w ekspertów od samych siebie.

Czy w takim razie ten ruch umrze, jak wielkość rewolucji, przez nieporozumienia wśród jego koordynatorów?

– Tego nie wiemy, ale jeśli już, to nie z tego powodu. Większa jego część składała się z profesjonalistów, przedsiębiorców, freelancerów. Oni manifestują, a potem wracają do domu, do pracy, do codziennych zadań. Może się zdarzyć, że wrócą na ulice. I będzie ich dużo. Pod warunkiem, że znajdą sens tego wychodzenia.

Czego chcą?

– Różnie, poczynając od hasła zmiany republiki prezydenckiej w parlamentarną. Oni nic nie chcą robić, ale mają nadzieję, że sama tak duża manifestacja wpłynie na zmianę sytuacji politycznej. To się często pojawiało w wywiadach.

Ludzie chcą zmiany, ale nie wiedzą, jak jej dokonać. Pytani: „Czego oczekujesz po manifestacjach?” odpowiadają: „W sumie nie wiem”, „A jakie zmiany chcesz zobaczyć w Rosji?”, „Myślę, że urodzę syna, chcę go wychować na uczciwego człowieka”. Dezyorientujący powód wyjścia na ulicę. Ale jeśli zrozumiesz, że żądanie uczciwych wy-

nej, co już się zresztą w Rosji dzieje. Ludzie wciąż myślą trochę utopijnie. Z jednej strony to jest optymistyczne, ale z drugiej przerażające, bo pokazuje brak myślenia politycznego. Ludzie nie widzą powodów i konsekwencji, nie robią powiązań. To jest jeden z ważniejszych wyników naszego badania.

Na szczęście jest nadzieja. Kiedy prowadziliśmy te wywiady, często okazywało się, że jesteśmy jak terapeuteci. Zmuszaliśmy ludzi do zastanowienia. Odpowiadali: „Oj, nie wiem, muszę jeszcze pomyśleć, ale dziękuję za zwrócenie mi na to uwagi”. Myślę, że rozwiązanie tego problemu może przyjść od socjologów aktywistów, którzy rozmawiając z kolejnymi osobami, mogliby zmuszać je do myślenia (śmiech).

To też może być przejaw leniwego aktywizmu. Wychodzę na ulicę, manifestuję, i już. Nie muszę więcej myśleć, nie muszę nic robić.

– W każdym społeczeństwie, nawet najbardziej zmobilizowanym, są weekendowi aktywiści. Sytuacja w Rosji jest dość optymistyczna. Nawet jeśli część ludzi się zmęczyła próbami małej grupy politycznej do zmonopolizowania całego ruchu. Wiele osób powiedziało w wywiadach, że będą kontynuować, jeśli manifestacje znowu staną się wydarzeniem wspólnotowym bez politycznej agendy, zorganizowanym przeciwko niesprawiedliwości, korupcji i nadużywaniu władzy.

Z jednej strony manifestują i chcą uczciwości, ale gdy zatrzyma ich policja, płacą łapówkę bez mrugnięcia okiem. Czy to nie jest podwójna moralność?

– Jak najbardziej. Trzy wartości były obecne od początku: bez przemocy, bez rewolucji i w pewnym stopniu bez ryzyka. Pytaliśmy ludzi, czy są gotowi na bardziej radykalne zachowania. Zwłaszcza mężczyźni odpowiadali, że tak. Miałem rozmowę z menedżerem w pewnym banku. Też powiedział: „Tak, jestem gotów”. I wtedy zapytałem: „Ale sam pan będzie walczył, własnymi rękami, z policją?”. A wiadomo, jakie są służby specjalne w Rosji. Stwierdził, że pewnie zapłaci małej grupie ludzi, żeby walczyła w jego imieniu.

W arabskiej wiosnie media społecznościowe wykorzystywano jako narzędzie taktyczne w regularnej walce; uczestnicy ruchu Occupy chcieli zmian ekonomicznych. Mimo oczywistych różnic trudno oprzeć się porównaniom

z rosyjskimi demonstracjami. W końcu przez ostatnich 10 lat nic podobnego się nie działo, a w każdym razie nie na taką skalę.

– Jedną z cech wspólnych, o której się zresztą mało mówi, jest fakt, że te wszystkie tak zwane rewolucje to są masowe działania dobrane wykształconych ludzi. Oni mają możliwość taktycznej i dość wyrafinowanej koordynacji, ale oni też nie chcą przejmować władzy. Nie chcą sami się włączać w brudną grę zinstytucjonalizowanej polityki. Chcą, żeby ci, którzy już są tam w środku, byli uczciwi i respektowali ludzką godność. Myślę, że to może być niebezpieczny trend, kiedy wyedukowani i przygotowani profesjonalni ludzie przełamują władzę, ale nie ma kto jej przejąć.

Czyli to są ruchy krytyczne, które mówią „nie”, ale nie proponują nic w zamian. Brzmi trochę anarchistycznie.

– Nie, ludzie są gotowi powiedzieć komuś „tak”. Ale – przynajmniej w Rosji – osoby

wykształcone nie chcą narażać społecznego awansu, jaki już odniosły. Nawet jeśli absolwenci uniwersytetu nie mają pracy ani sprzyjających warunków społecznych, nie są tak skłonni do zmian rewolucyjnych jak ludzie bez wykształcenia.

Zatem istnieje wśród protestujących podział na ludzi wykształconych z dostępem do Internetu i gorzej wykształconych, biedniejszych. To dopiero może spowodować kiedyś rewolucję.

– Tak! Dlatego myślę, że ta współpraca skrajnej lewicy i prawicy, liberałów i nacjonalistów, do niczego dobrego tak naprawdę nie prowadzi. Najważniejszym elementem tego ruchu, zupełnie niezauważanym w Rosji, jest możliwość dialogu między ludźmi, którzy uważają, że lekarstwem na całe zło jest absolutna wolność gospodarcza, którzy odnieśli sukces, ukończyli studia, byli za granicą, a ludźmi, którzy nie mają tych wszyst-

kich możliwości i którzy będą pierwszymi ofiarami zachodzących przemian społecznych. Widzę wiele przejawów społecznego rasizmu, który rządził europejskim społeczeństwem w XVIII w. Takiej wizji, że społeczne nierówności są naturalne, a ci, którzy nie mają pieniędzy, za mało pracują i za dużo piją, bo są leniwi.

Ile razy można wyjść na ulicę?

– I nic nie otrzymać? Słuchać tych samych przemówień ze sceny? Zobaczymy. Bardzo interesujący będzie początek maja, zaplanowano kolejne demonstracje. To będzie chwila prawdy. Jeśli tłumy znów zaleją ulice, dadzą kredyt zaufania ludziom, którzy sami siebie promują na liderów.

Aleksander Bikbow jest socjologiem z Uniwersytetu Moskiewskiego, członkiem Niezależnej Inicjatywy Badawczej, która od grudnia 2011 r. prowadziła badania terenowe wśród manifestantów w rosyjskich miastach.



Między Sarkollandem a Hollarkozym

W niedzielę Francuzi wybierali nowego prezydenta.

Czy najlepiej będzie, jeśli władzę obejmie postać melodramatyczna, czy człowiek znikąd?

A może powinni rządzić obaj?

Z prof. **GEORGESEM MINKIEM**, francuskim socjologiem, rozmawia Jarosław Makowski



Kto jest głównym bohaterem francuskiego boju o Pałac Elizejski: Nicolas Sarkozy, Francois Hollande czy kryzys gospodarczy?

– Symbolicznie, oczywiście, kryzys. Determiniuje całą sytuację polityczną.

A realni bohaterowie?

– Prezydent Sarkozy jest postacią melodramatyczną. Robił wszyst co, by wyborcy zapomnieli, iż rządził Francją. By puścili w niepamięć jego niespełnione obiet-

nice i stabloidyzowany styl prezydentury. Hollande, kandydat socjalistów, ćwiczy się w dyskrecji. Nie atakuje Sarkozy'ego wprost, bo uważa, że ten wystarczająco sam się kompromituje.

To chyba trochę senna ta kampania?

– Jest dziwna! Sarkozy starał się „przykryć” to, co było, ostro atakując swojego przeciwnika. Hollande unikał ciosów, jak tylko mógł. Stronił od jasnych deklaracji i ogłasza-

nia propozycji rozwiązań problemów Francuzów. To dowodzi, że rządzi bohater symboliczny, czyli kryzys. Ale, paradoksalnie, jest też on wielkim nieobecnym tej kampanii. Jest ignorowany, gdyż kryzys wymaga języka prawdy. A taki język jest antywyborczy.

Sarkozy nie jest lubiany. Milion bezrobotnych, zadłużenie kraju na poziomie biliona euro, obniżanie Paryżowi ratingu... Ale nie jest też bez szans.

– Sarkozy był na pewno opatrnościowym mężem stanu w 2007 r. Miał bardzo dobry program na zarysowujący się już wtedy kryzys. Jawił się jako „człowiek zerwania”. Chciał ograniczenia roli państwa w życiu gospodarczo-społecznym, obniżenia wydatków publicznych, walki przeciwko zadłużeniu oraz racjonalizacji rynku pracy i modernizacji szkolnictwa wyższego poprzez likwidację, przykładowo, elitarnych szkół wyższych, które reprodukowały elitę po-

lityczno-gospodarczą i kulturalną. Dostał mandat, by wszystko to zrobić. Ponadto pomagało mu to, że Francja jest bardziej prawicowa niż lewicowa. Nawet François Mitterrand miał wątki prawicowe w swym programie, pozwalające mu przyciągać część elektoratu centrystycznego.

Gdzie tkwi źródło „francuskiej prawicowości”?

– W zamożności społeczeństwa. Teraz jednak ona maleje. Widmo kryzysu bije w klasę średnią. Ba, kryzys w postaci dezindustrializacji uderza codziennie we francuski przemysł. Ponadto Jean-Marie Le Pen wprowadził w świat wyobrażeń francuskich obraz permanentnego zagrożenia ze strony – przykładowo – imigrantów. Prawica poszerzała w ten sposób pole swojego oddziaływania.

Klasyczny wyborca lewicowy, którym był robotnik, ulokował swoje trudności czy klęskę życiową wokół kwestii, które wprowadził i zbanalizował Le Pen, a następnie przejął Sarkozy.

Dziś skrajna prawica pod wodzą Marine Le Pen odzyskuje siłę m.in. dlatego, że ona prezentuje bardziej umiarkowany program niż niegdyś ojciec.

– Odcięła się od językowych ekscesów, które były jego atutem, ale i słabością. To jej udało się oddemonizować skrajną prawicę, poprzez nuansowanie politycznej oferty. Przykładowo: porzuciła w retoryce antysemityzm. Także to, że jest kobietą, i do tego wykształconą, przyciąga żeński elektorat. Ponadto jest polityczką spoza głównego nurtu, więc popierają ją ludzie, którzy są zniechęceni francuską sceną polityczną.

Czyli głównie młodzi?

– Tak, w przedziale 18–25 lat. Zazwyczaj są gorzej wykształceni, raczej z małych miasteczek, bez żadnego sukcesu zawodowego. Do tego bezrobotni, którzy boją się o swoją przyszłość. Le Pen daje im poczucie, że rozwiąże ten problem.

Skutecznie przywraca też niektóre wątki ojcowskie, jak choćby: „Pierwszeństwo dla Francuzów”. Co przekłada się na hasła ograniczenia przyznawania francuskie-

go obywatelstwa, wyrzucenie imigrantów kryminalistów oraz tych, którzy są nielegalnie.

Jednakże mamy skrajną lewicę.

– Jean-Luc Mélenchon, lider Frontu Lewicy, głosi, że głównym wrogiem lewicy jest Marine Le Pen. Kryje się za tym kalkulacja – wszystkie ankiety pokazują, że sfrustrowani robotnicy w dużej mierze podzielili się. Część przyciągnął Sarkozy swoją twardą postawą, jeśli chodzi o problemy bezpieczeństwa codziennego. Inni przeszli na stronę skrajnej prawicy. Mélenchon próbuje ich na nowo zmobilizować i odzyskać. I to mu się udaje.

Istnieje więc jakaś pozostałość kultury komunistycznej we Francji, ale nie w sensie totalitarnym, tylko organizowania życia na co dzień. Największy rozkwit Francuskiej Partii Komunistycznej polegał na organizowaniu w jej bastionach robotniczych życia od rana do wieczora. Skrajna prawica nauczyła się tego i w okresie kryzysu stara się spełniać podobną funkcję. Ale skuteczność Mélenchona wiąże się z jego niezwykłym talentem oratorskim, w jego kwiecistym, radykalnym dyskursie odnajdują się wszystkie odłamy skrajnej lewicy, od pewnego czasu bardzo zatomizowanej.

Francuzi mają dość Sarkozy'ego, ale nie przepadają za Hollande'em. Dlaczego socjalistyczny kandydat nie porywa wyborców?

– Można powiedzieć, że jest „kandydatem znikąd”. Nie pełnił do tej pory żadnej wyższej funkcji państwowej. Był urzędnikiem w Pałacu Elizejskim, doradzając Mitterrandowi. Został szefem partii socjalistycznej w okolicznościach, w których po prostu nie było innego kandydata. Szukano centrysty, trafiło na niego.

Ale my wciąż nie wiemy, kim jest Hollande. Moi znajomi socjaliści, którzy znają go osobiście, twierdzą, że Hollande jest zupełnie inny w bezpośrednich relacjach. Jest świetnym mówcą. Ponadto, mając bardzo dobre wykształcenie ekonomiczne, położyłby na łopatkach Sarkozy'ego w debacie na temat gospodarki. Jest też ponoć dowcipny. ➔

➔ **Hollande robi też dużo, by Francuzi nie dowiedzieli się, jaki jest w istocie jego polityczny program...**

– ... bo ten program jest, by tak rzec, mało widoczny. Polega na próbie przekonania wyborców, że polityka liberalna większości liderów europejskich – z Sarkozym na czele – służy tylko pewnej części społeczeństwa, które bogaci się nawet w czasie kryzysu, podczas gdy większość społeczeństwa jest jego ofiarą. Hollande twierdzi, że możliwa jest polityka łągodząca społeczne skutki kryzysu poprzez bardziej sprawiedliwy podział dóbr i bardziej prospołeczną politykę w ogóle. Jest to więc program klasycznie lewicowy, socjalliberalny, gdyż stawia nie tylko na oszczędności i politykę rygoru gospodarczego.

Hollande mówi, że – aby wyjść z kryzysu – trzeba stworzyć wzrost gospodarczy. A tego się nie uzyska tylko poprzez obcinanie wydatków. To jest w zasadzie klasyczne podejście interwencjonistyczne proponowane w czasie wielkiego kryzysu przez Johna Keynesa.

To dlaczego Hollande krytykuje pakt stabilizacyjny dla Unii?

– Nie dlatego, że pakt sam w sobie jest zły, ale dlatego, że nie ma w nim dość bodźców do tworzenia wzrostu gospodarczego. Dziś idzie o stworzenie równowagi między różnymi politykami, a nie prowadzenie tylko jednej, skrajnej polityki. Przyjęcie jednej strategii w sytuacji kryzysowej raczej doprowadzi do pogłębienia kryzysu, bo jak się zamyka okno ze strony długu, to otwiera się drzwi, przez które napierają ruchy społecznego protestu. I mamy sytuację przedrewolucyjną, której przesłanki obserwujemy w Grecji.

Jaka jest największa słabość Hollande'a?

– To, że w dużej mierze zgadza się on z tym, co proponuje Sarkozy. Ba, jego propozycje są tożsame z tym, co mówi – koniec końców – większość polityków zachodnich. Hollande łągodzi tylko pewne kwestie, wprowadzając elementy modyfikujące, ochraniające ludzi. Ale dla wielu wyborców to nie jest żadna alternatywa.

Być może dziś w ogóle nie da się jej zbudować. Kiedyś, gdy mieliśmy wzrost gospodarczy, można było prowadzić na większą skalę

politykę redystrybucyjną, zwiększać dług publiczny, jak to robił Mitterand w pierwszych latach swojego rządzenia. Z drugiej strony Hollande nie może otwarcie powiedzieć, że „koniec z rozdawnictwem”, gdyż jego wyborcy to są ludzie podobni do tych, którzy wyszli na ulice Aten.

Czy ewentualne zwycięstwo francuskich socjalistów mogłoby pociągnąć za sobą odrodzenie europejskiej socjaldemokracji?

– To zależałoby od siły, jaką w tych wyborach pokaże skrajna lewica. Bo rosnąca w siłę ultralewica jest zagrożeniem dla socjaldemokracji. Jeśli Hollande będzie zmuszony do ustępstw, to pójdzie drogą klasycznej socjaldemokracji, hojnej w sytuacji, w której hojność jest luksusem. Ale recepta neokeynesizmu, jakoś zmodernizowana, wciąż może być atrakcyjna. Zwłaszcza w Europie.

„Sarkozy starał się „przykryć” to, co było, ostro atakując swojego przeciwnika. Hollande unikał ciosów, jak tylko mógł

GEORGES MINK

Unia ma dziś trudność z pokazaniem, że jest mocarstwem, choć dysponuje odpowiednimi do tego środkami. Jeśli będą wola polityczna i pomysły, a nie tylko gestykulacja, à la Sarkozy, to być może jest to sposób na wyjście Starego Kontynentu z kryzysu.

Jedną z cech charakterystycznych tej kampanii jest obojętność społeczna. Dlaczego Francuzów nie interesują te wybory?

– Francuzi ostatnio głosowali w poszczególnych wyborach na recepty, jakie im politycy przedstawiali. I żadna z nich nie przyniosła zadowalających wyników. Dlatego zdaniem wyborców, mimo że jest coraz gorzej, to elity polityczne są coraz bardziej nieudolne. Po drugie, gdy wciąż się mówi,

że politycy nas zdradzili i są skorumpowani, to ludzie przestają wierzyć w politykę i – szerzej – w demokrację. Dodatkowo media wciąż mówią: „Politycy są do niczego”. Jesteśmy w pewnym sensie w sytuacji, w której albo udaje się całkowicie zneutralizować społeczeństwo obywatelskie, albo wypycha się tych niezadowolonych ludzi w skrajności (co przygotowuje grunt dla rządów autorytarnych).

Może jest tak, że ludzie przeczuwają, iż dziś nie ma większego znaczenia, kto wygra – Sarkozy czy Hollande – bo i tak rządzą... rynki finansowe?

– To, ilu ludzi deklaruje, że nie pójdzie głosić, może potwierdzać pana tezę. Ale mam wrażenie, że dla tych, którzy chcą iść na wybory, ma znaczenie, kto będzie prezydentem Francji. Bo mają inny program pod kątem płacenia wyższych podatków czy likwidowania fabryk francuskich. Patrząc przez pryzmat wspólnotowej polityki rolnej, to tak samo ma swoje znaczenie. Dla większości wyborców nie jest tak, że każdy z pretendentów jest wymienialny.

Co do roli rynków to odpowiedź brzmi: i tak, i nie. Z całą pewnością będzie tak, że jeśli wygra X, to rynki zareagują albo potwierdzeniem wyboru, albo zachowają dystans. Innymi słowy: Tusk robi swoją politykę, choć mówi się, że nic nie robi. Sarkozy robił, mimo że mu się nie udaje. Cameron robi, nie mówiąc już o Angeli Merkel. Każdy robi swoją politykę i oczywiście broni się, jak może, przed tymi destabilizującymi zewnętrznymi wpływami.

Francja to kluczowy kraj Unii Europejskiej. Który z tej dwójki polityków – Sarkozy czy Hollande – byłby lepszym prezydentem z punktu widzenia Unii Europejskiej?

– Paradoksalnie najlepiej, gdybyśmy mogli mieć dwugłową prezydenturę. Z jednej strony Sarkozy, z drugiej Hollande. Dyplomazja proeuropejska jednego z wrażliwością społeczną drugiego. To jest oczywiście niemożliwe, ale zakładam, że obaj są Europejczy. Mimo że Europa robi za chłopca do bicia w tych wyborach. Grają w tę grę, gdyż jest to opłacalne w punkcie widzenia zdobywania głosów. To owoc tego, że we Francji mało kto wie dokładnie, co to jest Unia Europejska i co nam daje każdego dnia. Ale mam też wrażenie, że po wyborach ich ataki na pakt stabilizacyjny (Hollande) i na Maastricht albo na Schengen (Sarkozy) odejdą w niepamięć.

Święto Pracy – święto rozumu



ANNA GRODZKA

Autorka felietonu jest posłanką Ruchu Palikota

Rządzą nami obłudnicy i ekstremiści – to szaleństwo. Nie, nie! Mylicie się. Nie mam na myśli naszej ulubionej partii narodowo-socjalistycznej z nieśmiertelnym Bogiem i wrogiem na ustach – wszak szczęśliwie IV Rzeczpospolita nie zawładnęła nami na długo. A jednak... rządzą nami ekstremiści – ekstremiści zwani neoliberalami. Chodzi mi nie tylko o rządy gładysza naszej polityki – Donalda Tuska, ale też o wcześniejsze rządy salonowego kameleona Leszka Millera. To nieprawdopodobne, jak skutecznie wnaszą głowę wdrukowali pojęcia, które próbują fałszywie organizować naszą świadomość.

Liberalna Platforma Obywatelska? Liberalna? Bez akceptacji dla wolności osobistych i równości (vide: ACTA czy sprzeciw wobec związków partnerskich)? Bez szacunku dla odrębności demokratycznego państwa od Kościoła katolickiego? Utrwalająca i budująca zamiast wolności gospodarczej kolejne biurokratyczne bariery dla drobnej przedsiębiorczości? Czy to jest liberalizm?

Lewicowy SLD? Mój Boże... Lewicowy? Tylko w gębie! Co ma o ich lewicowości świadczyć? Populistyczne zabiegi o władzę (referendum w sprawie wieku emerytalnego z pytaniem w rodzaju: „Czy chcesz emeryturę dostać później?”). A może przytulisko dla łamania praw człowieka przez CIA – polskie Guantanamo? Czy też całowanie papieża w pierścień za zgodę na integrację Polski z Europą?

Notabene: wiara (tu istotne jest słowo „wiara”), że starczy zadbać księgowo o wskaźniki ekonomiczne państwa, a reszta rzeczywistości społeczno-gospodarczej ureguluje się sama, jest naiwnością godną dziecięcej religijnej wiary w gusła. Podobnie populizm: polityka pobudzania wiary, że mocą woli boskiej z pustego będą napępiać puchary. Ech!

Tymczasem potrzeba nam rozważań i humanizmu. Tego nie znajdziemy w żadnej religii – tam są przecież tylko doktryny i emocje. Potrzeba nam polityki rozumianej jako sztuka kształtowania stosunków społeczno-ekonomicznych, a nie walki o władzę bez celu i bez sensu. Potrzeba dostrzegania, a następnie racjonalnego wyważania i ucięcia różnych, czasem sprzecznych interesów oraz wrażliwego poszukiwania najlepszych opcji dla rozwiązywania realnych problemów społecznych. Debaty w atmosferze zaufania społecznego i solidarności.

Ale skąd tu w polityce debata? Skąd zaufanie społeczne? Dziś już wyraźnie widać, że system kapitalistyczny w obecnym kształcie kona, a konając, wierzga. W polityce tylko przepychanki, woda z mózgu i bezprzykładna agresja. Trzydzieści lat temu wybitny polski psycholog, profesor Tadeusz Tomaszewski, na wykładzie inauguracyjnym mojego studia psychologicznego powiedział: „Psychologia nie ma jeszcze cech rozwiniętej nauki, jednak jest jedno niepodważalne w psychologii naukowe prawo: frustracja rodzi agresję”. We współczesnym świecie, ale także we współczesnej Polsce, wyraźnie narasta frustracja, a z nią poziom agresji. Stephane Hessel, francuski dyplomata i pisarz, w książce „Czas oburzenia” dostrzega w ponowoczesnym świecie narastający stan frustracji. Jej źródłem są ekonomiczne i kulturowe różnice między bogatymi a biednymi państwami świata oraz powiększający się stale rozryw między bogactwem nielicznych, a biedą i poniżeniem ogromnej większości obywateli. niesprawiedliwość!

Niesprawiedliwość jest nie tylko hamulcem harmonijnego ekonomicznego rozwoju (O tak! Niesprawiedliwość jest hamulcem

rozwoju!), ale także zagrożeniem dla całości kapitalistycznego systemu w obecnym wydaniu. Zagrożeniem, które może realizować się także w najczarniejszych, jakie sobie możemy wyobrazić, scenariuszach. Już samo to powinno nas mobilizować. Mobilizować? Do czego? Hessel uważa, że do OPORU, pisząc: „Wszystkim mężczyznom i kobietom, którzy tworzą XXI w., mówimy z całą serdecznością: Twórzcie to stawiać opór. Stawiać opór to tworzyć”. Dodam: SOLIDARNY opór. Opór większości przeciwko mniejszości. Przeciwko pozornej, fragmentarycznej demokracji czyniącej z nas przedmiot politycznego oddziaływania. Przeciwko ograniczaniu faktycznej wolności. Przeciwko feudalnym stosunkom wielkich korporacji z drobnymi przedsiębiorcami, wykorzystywanymi na maksa pracownikami. Przeciwko kupowanej polityce i politykom. Przeciwko „liberalnej” lub dla odmiany populistycznej polityce bezrobocia i biedy.

Współczesny kształt demokracji nie daje szansy na budowanie państwa ekonomicznie efektywnego i jednocześnie solidarnego (sprawiedliwego oraz humanistycznego w swym wymiarze). Zamiast logicznego podziału głównej sceny politycznej na lewicowych liberałów i prawicowych konserwatystów mamy podział na prawicowych liberałów i lewicowych konserwatystów ze sporym dodatkiem populizmu i obłudy w obu przypadkach.

Narasta jednak oburzenie i opór zwiastujący polityczne zmiany oraz NORMALNOŚĆ. To jest najlepsze z tego, co wiąże się z kryzysem. Korekta kapitalizmu i demokracji czeka na swój czas. Dokonają tego Oburzeni. Zawsze w historii istotne przemiany polityczne wynikały z powszechnego oburzenia. Bywało, że zmiany dokonały się rewolucyjnie, ale bywało też, że metodą solidarnego oporu. Okrągly stół pokazał, że mogą one urzeczywistniać się także metodami politycznymi. Takie szanse daje jednak nawet nasza obecna ułomna demokracja.

Gdybym powiedziała, że w to wierzę, to oczywiście nie uwierzycie ateistce, prawda? A może warto wierzyć?

Nigdy wcześniej i chyba nigdy później w polskiej historii nie doszło do wybuchu wyzwolenczego tak czystego, tak jasno i celnie bijącego w samo serce systemu zniewolenia

Pańszczyzna ojczyzna

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ

O tym, że więźniowie Gułagu obcinali sobie palce, by uniknąć całkowitego wyniszczenia zabójczą harówką, pisał Gustaw Herling-Grudziński. Tę dramatyczną historię zna każdy polski maturzysta. „Na nieludzkiej ziemi” to przecież lektura obowiązkowa, a Gułag to element polskiej martyrologii. Któż jednak wie, że samookaleczenie było ostateczną formą oporu przeciw pańszczyźnie znaną całym pokoleniom polskich chłopów? Co innego kilka lat cierpień inteligentów na nieludzkiej ziemi, a co innego 500 lat Gułagu dla zwierząt pociągowych w ludzkiej skórze.

W początkach XIX w. w Galicji i Kongresówce zdesperowani chłopcy często sięgali po jedyny dostępny im sposób na wyzwolenie. Także gospodarz ze wsi Smarzowa Jakub Szela odrąbał sobie trzy palce prawej dłoni. Dzięki temu nie stracił życia w służbie wojskowej i uniknął bezterminowej katorgi pańszczyzny. Cena była straszliwa, ale być może dzięki niej Szela wszedł do historii.

Kilkanaście lat później stanął na czele ludowej rewolty zwanej rabacją galicyjską, która – choć znieważana i przemilczana – stanowi

jedno z najważniejszych wydarzeń w historii naszego kraju.

Panów piłą rżnęli

W ciągu kilku dni lutego 1846 r. chłopcy zabiłi od 600 do 2 tys. swych panów. W zachodniej części ówczesnego zaboru austriackiego rzucili się na szlacheckie dwory, gorzelnie, a gdzieś tam także na kościoły, pałac, niszcząc i mordując ich właścicieli. Krwawa fala rabacji zalała ponad 500 siedzib szlacheckich, a przy okazji zatopiła przygotowywane w niektórych z nich antyaustrackie powstanie.

Wśród ofiar nie było ani jednego Żyda, ani jednego Niemca. Wśród buntowników były natomiast kobiety, a jedna z nich, Draganka z Wielopola, przeprowadziła oddziałowi, który zabił księdza w klasztorze koło Zakliczyna nad Dunajcem, a potem wygłosiła kazanie.

Mimo interwencji armii austriackiej na obszarach objętych rzezią rozpadł się dotychczasowy porządek społeczny. Przez kilka tygodni w rejonie Tarnowa istniały całkiem spore „obszary wyzwolone”. Co więcej, chłopcy już nigdy nie wyszli pracować na pańskich polach, a wiele z nich rozparcelowali między siebie. Po dwóch latach tego czynnego strajku władze w Wiedniu skapitulowały i zniósły poddań-



Rzeź galicyjska – staloryt z połowy XIX w.

stwo oraz pańszczyznę w Galicji. Po co jednak dziś wracać do tych wydarzeń?

Pańszczyzna, czyli 500 lat kacetu

Rok 1846 jest ważniejszy niż wszystkie daty XIX-wiecznych powstań, a nawet niż rok 1918. To wtedy ponad 80 proc. populacji żyjącej na terenach dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej po raz pierwszy wkroczyło na arenę historii, wtedy też owe 80 proc. wywalczyło sobie niepodległość. Nie tę państwową, odległą od życia chłopskiego, ale bardziej funda-



T. Guérin del. et sc.

mentalną, doświadczaną na co dzień: niepodległość od niewolnictwa pańszczyzny.

Insurgenci, powstańcy i irredentyści, których przegrane bitwy do dziś okupują zbiorową pamięć historyczną w Polsce, reprezentowali raptem kilka procent ludności kraju, w imię którego wszczynali swe walki. Ich tak czczony dziś patriotyzm był w gruncie rzeczy patriotyzmem pańszczyzny. Tęsknota za Rzeczpospolitą była tęsknotą za państwem zbudowanym na powszechnym niewolnictwie, a wymarzona wolność wolnością

bicia chłopów i gwałcenia ich córek. Nawet jeśli szlacheckie powstania sięgały do retoryki antypańszczyźnianej, to powierzchownie – byle zachęcić poddanych do machania kosami w interesie swych panów. Tak było i w 1830, i w 1863 r. W ostateczności wolność można było chłopom łaskawie dać, ale nikt nie wyobrażał sobie, że ta ciemna, milcząca masa mogłaby sama po nią sięgnąć bez niczyjej pomocy, bez zewnętrznego przywództwa czy nawet oświecania. To był największy koszt szlacheckiej kultury panów.

Nic dziwnego, że kiedy w lutym 1846 r. stał się rzeczywistością, trzeba ją było zepchnąć na powrót w dziedzinę koszmaru. Liczni historycy i artyści z Wyspiańskim na czele zadbali, żeby rabacja pozostała w świadomości tych, którzy w ogóle o niej pamiętają, jako coś barbarzyńskiego, nieludzkiego i całkowicie irracjonalnego. Tymczasem nigdy wcześniej i chyba nigdy później w polskiej historii nie doszło do wybuchu wyzwolenczego tak czystego, niezmaconego ksenofobiami i nacjonalizmami, tak jasno →

→ i celnie bijącego w samo serce systemu zniewolenia. I tak bezlitośnie demaskującego pseudodemokratyczne uzurpacje szlacheckich powstańców, a przy tym całkowicie autonomicznego, w pełni kontrolowanego przez tych, których aspiracje znalazły w nim wyraz. Rabacja galicyjska miała tylko jeden cel – zniesienie pańszczyzny, i cel ten udało się chłopom osiągnąć.

Gospodarka oparta na przemocy

System pańszczyzny był przez pół tysiąca lat ustrojem gospodarczym panującym na ziemiach polskich. Przesądzał o strukturze, kulturze, reżimie politycznym i miejscu, jakie zajmowało społeczeństwo Rzeczypospolitej w kształtującym się europejskim kapitalizmie. Jako taki był źródłem niedorozwoju i peryferyjnego statusu Polski w międzynarodowym podziale pracy. Po części wciąż tak jest.

Zacofanie Polski w stosunku do Europy Północno-Zachodniej datuje się od XV stulecia, gdy drogi rozwojowe społeczno-gospodarcze Zachodu i Wschodu kontynentu rozeszły się. Po jednej stronie kapitał handlowy i merkantylizm z manufakturową produkcją, intensywną eksploatacją zasobów, kapitałochłonnością i dużymi zyskami, po drugiej system folwarczny, strefa taniej siły roboczej, dostarczająca produktów rolnych i naturalnych, których produkcja na Zachodzie przestała się opłacać.

Monokultura rolna mogła się opłacać tylko pod warunkiem nieograniczonej dostępności zasobów i darmowej pracy. Bez niewolnictwa chłopów system folwarczny byłby zupełnie nierentowny. Stosunkowo licznej szlachcie mającej monopol na przemoc, poparcie władzy królewskiej i Kościoła udało się zepchnąć chłopów do poziomu niewolników w XV w. i stan ten utrzymywał się aż do XIX stulecia.

Instytucja poddaństwa w pełni zasługuje na miano klucza do nowożytnej, a także nowoczesnej historii Polski. Bez niej trudno zrozumieć tutejszą kulturę polityczną i chroniczne polskie zacofanie względem Zachodu. Zapewniając rentowność systemowi folwarczному, poddaństwo skutecznie odebrało klasie rządzącej w Rzeczypospolitej motywację do jakichkolwiek zmian ekonomicznych czy politycznych. Oparta na eksporcie surowców gospodarka

obylała się właściwie bez rynku wewnętrznego. Najważniejszą blokadą dla rozwoju miast, mieszczaństwa i krajowego handlu był fakt, że chłopskich niewolników przywiązano do ziemi i pozbawiono pieniędzy, a zatem nie mogli być konsumentami wytwarzanych w gospodarce produktów. Geografia folwarcznego kapitalizmu odzwierciedlała tę nierównowagę: najważniejsze polskie miasta – Kraków, Sandomierz, Kazimierz, Warszawa, Toruń – nie rozwinęły własnej gospodarki ani silnego mieszczaństwa, pełniły bowiem niemal wyłącznie rolę punktów przeładunkowych zboża dostarczanego z wiejskiego interioru i wysyłanego statkami za granicę.

System folwarczny nie był żadnym reliktem feudalizmu. Przeciwnie, powstawał na jego gruzach jako specyficzna forma nowoczesności. Stał się modelem kapitalizmu peryferyjnego, powielanym później w różnych wersjach w innych regionach świata przyłączanych do systemu kapitalistycznego w roli obszarów zależnych obsługujących interesy zachodnio-europejskiego centrum. Niewolnictwo na Karaimach, w Brazylii i na południu Ameryki Pół-

nocnej było młodszym odpowiednikiem niewoli polskich (a także węgierskich i rosyjskich) chłopów. Podobnie jak w przypadku latyno-amerykańskich latyfundiów i plantacji na południu USA reżim pańszczyźniany zaostriął się od XVII w., a w pierwszych dekadach XIX w. w Galicji wyzysk osiągnął szczyt. Chłopi zmuszeni byli pracować dla panów trzy-cztery, czasem pięć dni w tygodniu i oddawać im ponad 50 proc. swoich przychodów, analfabetyzm sięgał 95 proc., kary cielesne były w powszechnym użyciu, a średnia długość życia mężczyzn wynosiła 27 lat i była najniższa w Europie.

Polak – pan i wróg

Wybuch i przebieg rabacji toną w fałszach, oskarżeniach i obelgach, jakimi natychmiast obrzuciły ją polskie elity w kraju i na emigracji. W polskich szkołach ciągle naucza się o tępych chłopach, których austriacki zaborca skutecznie poszczuła na powstańców. Horda pijanych, gwałcących, rabujących i palących wieśniaków, którzy rzną piłą szlacheckiego patriotę za wiekańskie srebreniki – to wszystko, co może zostać w głowie po takiej edukacji.

Rzeczywistość była na tyle inna, że do dziś zagraża fundamentom całej budowli oficjalnej tzw. historii narodowej. Zagrożenie to dobrze wyjaśnia prawdziwe intencje potwarców rabacji. Zdusić pamięć po niej to tyle, co usunąć skazę na ahistorycznej i kiczowatej opowieści o narodzie zjednoczonym, katolickim i bezklasowym, o ostojach ojczyzny w szlacheckich dworach, o matkach Polkach, o heroicznej młodzieży z dobrych szkół i ciemnym motłochu, który nie chciał pomagać w walce o wolność.

Podziały w XVIII-XIX-wiecznej Polsce szły w poprzek tej wizji. W Galicji jedynym ograniczeniem dla barbarzyńskiego systemu pańszczyzny i poddaństwa była austriacka administracja. Pierwsza szansa na wyzwolenie dla tutejszej ludności przyszła z rozbiorem Rzeczypospolitej. W latach 80. XVIII w., wraz z ustawodawstwem józeffińskim, po raz pierwszy w historii polscy chłopci zostali podniesieni do rangi istot ludzkich (było to kilka dobrych lat przed Konstytucją 3 maja, która poddaństwa nie znosiła). Reformy natrafiły wprawdzie na zaciekły opór patriotycznej szlachty i nigdy nie zostały wprowadzone

w życie, ale pamięć o nich stała się ważnym elementem świadomości zbiorowej chłopów galicyjskich.

W tej świadomości słowo „Polak” było synonimem pana, wroga reform i chłopskich praw. Polskie powstanie mogło mieć tylko jeden cel – wzmożenie ucisku i bezprawia. Dlatego rabacja rozprawiła się z pańskimi powstańcami, zanim ci w ogóle zaczęli swe powstanie. Ale ta kwestia była dla rabantów drugorzędna.

Chłopski gniew narastał przecież latami, wraz z zaostriżaniem systemu wyzysku i represji. Jeszcze w 1803 r. szlachta odzyskała nawet spory kawałek swej Rzeczypospolitej, zmuszając austriackiego zaborcę do przywrócenia jej prawa do bicia chłopów. Z prawa tego korzystano nader często i bezlitośnie. Przez dziesięciolecia opór przybierał najrozmaitsze formy z samokałeczeniem się w najbardziej radykalnej postaci.

W latach 40. rozpowszechnił się ruch trzeźwości wymierzony w plagę pijaństwa wynikającą ze szlacheckich przywilejów propinacyjnych. Przystąpił do niego także Jakub Szela. Szlachta miała monopol na produkcję alkoholu i mogła karać swoich poddanych za kupowanie go z innych źródeł. Był to rodzaj podatku, dodatkowej formy chłopskich powinności wobec pana. Nic dziwnego, że ruch przeciw alkoholizmowi stał się niewinną przygrywką do rabacji.

Mniej niewinny charakter miały liczne bunt i poruszenia wybuchające w poszczególnych majątkach i tłumione przy pomocy wojska austriackiego. Takie jak rozruchy w Chochołowie w 1831 r. czy w Andrychowie w 1835 r. Iskra, która wywołała wybuch, była jednak przemoc seksualna wobec chłopskich córek, jakiej notorycznie dopuszczali się panowie i ich ludzie.

Być może najbardziej skandaliczne w wystąpieniu galicyjskich chłopów jest to, że rabacja była niemal całkowicie wolna od barbarzyńskich ekscesów, które tak chętnie przypisuje się chłopskim buntownikom. W ruchu analfabetów nie było chaosu, ksenofobii, antysemityzmu czy gwałtów na kobietach. Okrucieństwo precyzyjnie skoncentrowano na panach i ich pomagierach – dworskich oficjalistach, karbowych, ekonomach. Nawet zagra-



Austriaccy oficerowie skupują głowy polskich panów – anonimowy staloryt z epoki

„Rabacja to krwawe pandemonium, ale tylko dla panów. Dla chłopów stanowiła racjonalne, sprawnie przeprowadzone i skuteczne wspólne działanie

bione w dworach dobra w dużej części odstawiono do siedzib władz. Chłopi nie chcieli się obłowić, chcieli zniesienia pańszczyzny, która była największą grabieżą w historii.

Za późno i za mało

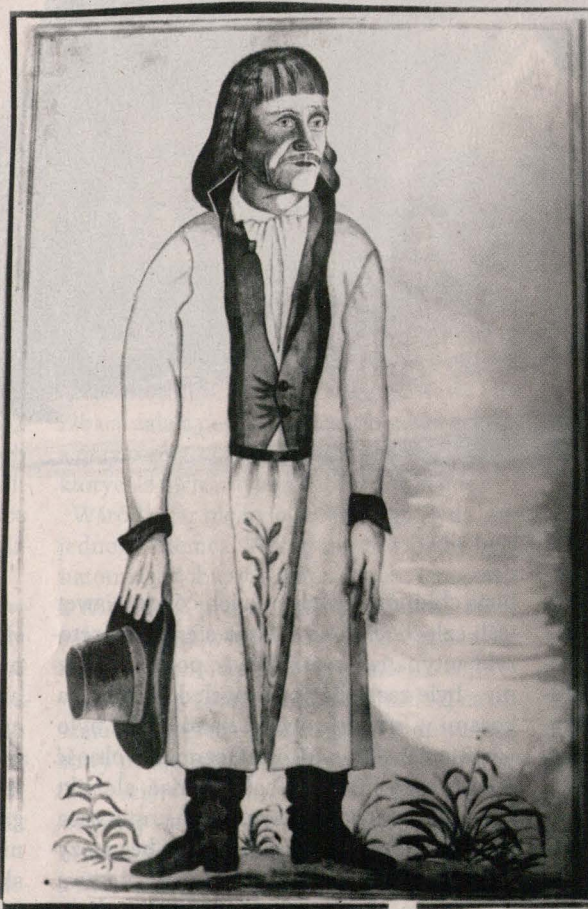
Rabacja zasługuje na miano krwawego pandemonium, ale tylko dla panów. Dla chłopów natomiast była czymś więcej niż odpłatą – stanowiła racjonalne, sprawnie przeprowadzone i skuteczne działanie. Przełożyła wielopokoleniowe doświadczenie poddaństwa i upodlenia na ruch zmiany społecznej. W wielu wsiach doprowadziła do podziału ziemi panów między chłopów. Zamiast formułowania postulatów i apeli do władz rabanci nauczyli się sami je realizować.

Do rabacji galicyjskiej znakomicie pasują słowa Slavoj Zizka: „za późno i za mało”. Została przeprowadzona za późno i miała zbyt

mały zasięg, by wykorzystać dziedzictwo poddaństwa. Dotyczy to zarówno sfery ekonomicznej, politycznej, jak i kulturalnej. Do dziś jednak Polska dzieli z krajami poniewolniczymi Ameryki Łacińskiej specyficzną dwukulturowość życia publicznego, w ramach której współistnieją obok siebie światy „panów” i „chamów”, a każde wejście przedstawicieli tego drugiego do polityki uznanej za domenę tego pierwszego uważane jest za niedopuszczalne.

Opuszczenie polskiej klasy robotniczej przez solidarnościową inteligencję po 1989 r., pogarda dla Andrzeja Leppera i moherowych beretów, wyśmiewanie obrońców krzyża i niemal nieskrywana nienawiść do związkowców to różne zjawiska. Łączy je jednak to, że biorą swój rodowód właśnie z 500 lat kacetu zafundowanego chamom przez panów, z pojmowania dziedziny spraw publicznych jako naturalnego monopolu elit. Tam też do pewnego stopnia należy szukać głębokich korzeni słabości i naskórkowości polskiej demokracji, braku szacunku dla praw człowieka wśród klasy politycznej, a z drugiej strony bierności klas ludowych biorącej się z powszechnego przekonania, że cokolwiek byśmy zrobili, „oni”, panowie, i tak postawią na swoim.

Dziedzictwo rabacji, być może jedynego autonomicznego ruchu samostanowienia ludu w polskiej historii, wydaje się bardzo aktualne i żywe. Nie potrzeba nam pomników dla Szeli, ale raczej twórczej kontynuacji jego dzieła. ●



Narodowe Archiwum Cyfrowe

Jakub Szela



Wieśniak w salonie

O związku między latyfundiami w XVII-wiecznej Polsce i plantacjami bawełny na amerykańskim południu a współczesnym systemem finansowym **MONIKA STRZĘPKA I PAWEŁ DEMIRSKI** opowiadają Przemysławowi Witkowskiemu

Czemu Jakub Szela? W podręcznikach przedstawiony jest jako oszalały wieśniak, podkupiony przez Austrię, który morduje szlachtę i na koniec podpala dworek – ostoję polskości w Galicji.

Paweł Demirski: – Rzeczywiście, jest dużo postaci historycznych, którymi można się zająć, ale z interesującej nas w tym wypadku klasy – czyli chłopstwa – niewiele. Szela to bramka, przez którą możemy się dostać do tej grupy i zacząć mówić o braku narracji chłopskiej w polskiej kulturze. Chłopi zawsze byli „opowiadani” przez inteligencję, ich obraz w polskiej kulturze jest, rzekłbym, specyficzny. Spiętrzeniem tych specyficzności jest wizerunek Szeli, który został przedstawiony jako zdrajca narodu polskiego.

Monika Strzępka: – W oficjalnej opowieści o dziejach ten człowiek utracił kolejne powstanie narodowe, które przecież mogło być zwycięskie i przynieść Polsce niepodległość, a nam chodziło o to, żeby z Szeli zrobić w pewnym sensie bohatera narodowego.

Czy jest w ogóle w polskiej literaturze czy kulturze masowej jakiś głos ludu, poza nielicznymi eksperymentami jak R.U.T.A. czy Kapela Ze Wsi Warszawa? Czy raczej zawsze to było środowisko opisywane z zewnątrz?

M.S.: – Są pamiętniki bezrobotnych, chłopów i emigrantów zbierane w Instytucie Gospodarstwa Społecznego w latach 30. XX w., gdzie przedstawiciele klasy ludowej sami spisywali swoje losy. A poza tym niewiele.

Co było punktem wyjścia, kluczowym elementem przy tworzeniu spektaklu?

P.D.: – Kategoria wstydu. Wstydu i obciachu. Zaczęło się od tego, że ktoś mnie kiedyś spytał, czy ja gotuję w domu. Odpowiedziałem, że owszem, gotuję. „A co gotujesz? Pewnie kotlety?” – pytała ta osoba dalej z wyraźną pogardą. Jakby zapytać o to samo Włocha, pewnie

by powiedział, że gotuje spaghetti. Nie byłoby grama obciachu w tym, że je włoskie potrawy ludowe, ale już polskie chłopskie jedzenie jest powodem do wstydu i poczucia niższości. Jesteś burakiem, bo jesz pierogi, bigos, kopytka, a nie sushi.

Punktem wyjścia do tego spektaklu był właśnie wstyd wsi, która przecież tkwi w nas wszystkich. To jest sedno sprawy – wstyd przed chłopskim pochodzeniem, bo przecież z takim zapleczem nie będziesz się umiał zachować w tym przewspaniałym, zachodnim, wytwornym salonie. A jebać to! Znajdźmy w końcu jakiś rodzaj zadowolenia z tego, kim jesteśmy. To idzie trochę w poprzek lewicowej opowieści, ale trudno. I to jest postulat poważny na maksa: powinno być takie święto narodowe – rocznica zniesienia pańszczyzny. To było wydarzenie, które zmieniło losy 90 proc. społeczeństwa. Mogłoby też pomóc zrozumieć nam swoje miejsce dziś. A do tego to jest po prostu bardzo wolnościowe, zajebyście święto.

To byłoby coś podobnego do upamiętnienia zniesienia niewolnictwa w Stanach?

M.S.: – Tak. Przecież polski szlachcic w latyfundiach na kresach prowadził akumulację w podobny sposób jak amerykański plantator z Południa, tylko rolę afrykańskiego niewolnika pełnił chłop. Bo jeśli masz przywiązanie do ziemi, to jak to inaczej nazwać? Kiedy opuścisz wioskę, to jesteś tylko zbiegiem, banitą wyjętym spod prawa.

Może Polacy nie chcą dopuścić do świadomości faktu, że ich przodek był niewolnikiem, i wolą żyć w iluzji antenata rezydującego w dworku?

P.D.: – Oficjalna narracja jest taka, że oczywiście wszyscy byliśmy po drugiej stronie, wśród jaśnie oświeconej szlachty.

M.S.: – Rozmawiałam kiedyś ze znajomą aktorką i ona mówi: „Wiesz, byłam w Łańcutie, oglądałam te karoce złote, patrz, jakie to były czasy, splendor, podróże, myśmy jeździli takimi karocami po tych Paryżach, po tych Zachodach, sława i chwała”. A ja pytam: „Jesteś przekonana? Spójrz w swoje drzewo genealogiczne, jeśli jesteś w stanie je odtworzyć, i zastanów się, czy ty aby na pewno siedziałabyś w tej karocy, czy może raczej by po tobie na konia wsiadano”.

Dominuje opowieść, że my wszyscy jesteśmy z Katynia, a nasi przodkowie walczyli w powstaniach i byli do tego profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tak się modeluje opowieść o naszych przodkach, o przodkach nie klasy ziemiańskiej, tylko całego narodu polskiego.

W spektaklu widać wyraźną paralelę między dwoma rodzajami zniewolenia – z jednej strony dawna pańszczyzna, z drugiej dzisiejszy kapitalizm. Czy neoliberalizm to nowa pańszczyzna?

M.S.: – W czasie pracy nad przedstawieniem to stało się oczywiste. Myśmy nie chcieli z tego robić jakiegoś wielkiego tematu, to miał być jedynie punkt wyjścia. Okazuje się jednak, że dla wielu ludzi jest to niemożliwe do przyjęcia. Jesteśmy już kilka miesięcy po premierze i znamy te wszystkie zarzuty oraz całą argumentację. Usłyszałam od pewnego nobliwego intelektualisty, że oskarżanie systemu finansowego i porównywanie go do pańszczyzny jest bardzo niebezpieczne i kojarzy mu się z antyżydowskimi nastrojami, które panowały przed wojną.

REKLAMA

ZMIENIAMY SIĘ RAZEM Z FUNDUSZAMI UNIJNYMI

Fundusze unijne to nie tylko bezzwrotne dotacje. To także preferencyjne kredyty i poręczenia. Są one wciąż dostępne. Chcesz z nich skorzystać?

Dowiedz się więcej sięgając po „Przekrój”, który przygotował specjalny cykl artykułów o pozadotacyjnych formach unijnej pomocy.

Od 23 kwietnia czytaj „Przekrój” w każdy trzeci poniedziałek miesiąca.



NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI
dla rozwoju Polski



MINISTERSTWO ROZWOJU REGIONALNEGO

UNIA EUROPEJSKA EUROPEJSKI FUNDUSZ ROZWOJU REGIONALNEGO



Cykl informacyjny realizowany w ramach konkursu dotacji organizowanego przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego Pomoc Techniczna.

→ Ja nie widzę związku...

M.S.: – A ktoś ten związek zobaczył. Pojawiają się też argumenty, że przecież pańszczyzna była nam narzucana i nie można było się z niej wyzwolić, natomiast nikt nam nie każe brać kredytu. Ale sorry, gdzieś trzeba mieszkać, mało kto z nas dziedziczy nieruchomości. Oczywiście możemy sobie mówić, że kredyt to nie obowiązek, że przecież nie trzeba na te niekorzystne warunki się zgadzać, że nikt nam tego nie narzuca. Otóż narzuca, otóż nie ma wyboru, bo jedyny wybór, jaki jest, to za te same pieniądze wynająć mieszkanie. P.D.: – Ja wychodzę z założenia, że współczesny kapitalizm jest formacją zniewalającą, ale wiele osób mi mówi, że ten sam kapitalizm, który ja widzę jako podstawę nowej pańszczyzny, daje im wielką wolność. Jednak teraz, w kryzysie, wiele się zmienia w postrzeganiu tej paraleli. Sporo osób tracących poczucie bezpieczeństwa zaczyna zmieniać poglądy ze strictly liberalnych na bardziej lewicowe.

M.S.: – Ludzie przychodzą do nas po spektaklu i mówią: „Zmienił się nam światopogląd i to nie dlatego, że nas zachwyciło jedno przedstawienie. My się zmieniliśmy jako ludzie”. Jest w nich odważa, aby inaczej konstruować swoją tożsamość.



Może gdyby temat pojawił się w prywatnej rozmowie, byłoby inaczej. Ktoś z kimś rozmawia i pada wyznanie: „Jestem chłopką z pochodzenia, nie wiem, co mam z tym faktem zrobić”. Ktoś by odpowiedział: „Nie ma się co wstydzić”. I to byłby koniec tematu. Teatr to jest jednak miejsce, które ma moc problematyzowania społecznych zjawisk. Po spektaklu przychodzą ludzie, także intelektualści, i mówią: „Ja pierdolę, próbowałam lepić moją tożsamość z najróżniejszych rzeczy, i teraz nagle mnie olśniło: ja jestem ze wsi, mój dziadek orał na roli”. To jest wymierna, realna zmiana.

Czyli podejście postkolonialne, gdzie Afroamerykanie szukają swoich afrykańskich korzeni, zamiast szczycić się jakimś jednym białym przodkiem?

M.S.: – Wolałabym nie wchodzić w ten dyskurs. Podstawowe pytania można wyrazić dużo prościej. Kto nam narzucił tożsamość? Kto spowodował, że wstydzimy się własnych przodków? Na przykład gwara. U nas się mówi o gwarze, nie o języku. Gwara jest czymś wstydliwym. Jak zapraszałam koleżanki do domu, to się wstydziłam, że moja babcia mówi gwara, a przecież język narodowy w większości krajów pochodzi wprost z kultury wiejskiej. Dużo o nas mówi to, jak traktujemy muzykę ludową: Bregović bardzo chętnie, Żydzi sefardyjscy bardzo chętnie, Ukraina bardzo chętnie – tylko nie nasi. To się też trochę zmieniło, bo mamy Kapelę Ze Wsi Warszawa czy kolektyw R.U.T.A., ale to jest przecież kilkunastu muzyków na całą Polskę.

To taka jej inteligencka wersja, sympatyczna, ale bez życia.

Czy to jest jak z Lepperem – jakieś zjawisko może być zapoznane i przyswojone, dopiero kiedy już go nie ma, kiedy jest martwe?

M.S.: – Lepper to był na pewnym etapie swojej działalności politycznej wybitny bohater ludowy. Ja nie rozumiem, dlaczego bohater ma mieć wyłącznie cechy pozytywne. Jeśli już posługujemy się tą kategorią, to nie rozumiem, dlaczego to słowo musi być zarezerwowane dla takich ludzi jak Wałęsa czy Piłsudski. Ja bym go też za bardzo nie obwiniała za tę opaleniznę i te buty za 1,3 tys. zł. On próbował udawać „pana”, dostosować się i wyszedł na tym najgorzej, bo chcąc być akceptowany przez system, przehandlował swój kapitał trybuna ludowego za te buty i tę opaleniznę. I to jest smutne.



Kapitalizm – korekta czy wymiana?



ADAM OSTOLSKI

Autor felietonu
jest socjologiem

Ostatnio jakby ciszej o Grecji, może dlatego, że 6 maja będą wybory. Dni „rządu technicznego” dobiegają końca. Niby nie bliższego niż wybory w kraju, który i tak nie decyduje o własnej polityce, ale zawsze to komplikacja. Lepiej nie kusić licha. Uwaga europejskich mediów zwraca się więc w stronę Hiszpanii. Półwysep Iberyjski kipi od społecznego gniewu, a rząd przygotowuje zmiany w prawie. Za wzywanie do „gwałtownych demonstracji” na portalach społecznościowych mają grozić minimum dwa lata więzienia. Przestępstwem będzie zakłócanie transportu publicznego, a nawet bierny opór. Demonstracje, wybory, Internet – te staroświeckie sposoby wyrażania przez ludzi opinii spotykają się z coraz większą niecierpliwością naszych rządów.

Kult zaciskania pasa na dobre zapanował w Europie. Nie zmienia tego greckie wybory. Więcej znaczą wybory prezydenckie we Francji. Ale nawet jeśli wygra je socjalista François Hollande, będzie to na razie oznaczało najwyższe złagodzenie kursu, a nie zasadniczą zmianę. „Europa zmierza do ekonomicznego samobójstwa” – ostrzega po raz kolejny Paul Krugman na łamach „New York Timesa”. Czy europejczy przywódcy nie wiedzą, co czynią? A może wiedzą, ale po prostu nie potrafią inaczej? A może wiedzą i potrafią, tylko nie chcą? Tak czy owak, żyjemy u kresu pewnej epoki. Obecny model kapitalizmu, budowany pie-

czołowicie przez 30 czy 40 lat, wyczerpał swoje możliwości. Pojawiają się różne pomysły na jego korektę. Niektórzy, jak cytowany wyżej Krugman, proponują powrót do sprawdzonych rozwiązań z epoki państwa opiekuńczego. Regulacja sektora finansowego, ustawy antymonopolowe, wspieranie ożywienia gospodarczego przez stymulację popytu – oto polityka, która przywróciłaby europejską gospodarkę na drogę wzrostu.

Zgoda. Ale czy to wystarczy? Zwolennicy Zielonego Nowego Ładu mają odmienną propozycję. Miarą dobrobytu nie jest wzrost gospodarczy, ale podnoszenie jakości życia ludzi. I to tak, żeby nie naruszać granic wytrzymałości ekologicznej planety. Oznacza to inwestycje w zieloną gospodarkę (np. energię ze źródeł odnawialnych), w gospodarkę opieki (np. ochronę zdrowia, edukację) i w gospodarkę wiedzy (np. przez reformę prawa patentowego). Zielona korekta kapitalizmu idzie dalej niż pomysły tych, którzy tęsknią do keynesizmu. Ale wciąż pozostaje próbą naprawienia kapitalizmu.

Co jednak, jeśli kapitalizm jest nienaprawialny? Jeśli fantazja o tym, że można go reformować, budując jakiś „kapitalizm z ludzką twarzą”, tylko oddala nas od rzeczywistego rozwiązania? Warto przyjrzeć się pomysłom i inicjatywom, które tu i teraz wykraczają poza kapitalistyczny horyzont w stronę ekonomicznej demokracji. Należą do nich wszelkiego rodzaju uspołecznione rynki: waluty lokalne, banki czasu, kooperatywy, powstające coraz liczniej w krajach dotkniętych polityką zaciskania pasa. Takie rynki i społeczności mogą oczywiście funkcjonować w kapitalistycznym otoczeniu, ale mogą też, jeśli ich liczba przekroczy pewną masę krytyczną, stać się zalążkiem nowego społeczeństwa.

Innym pomysłem jest audyt zadłużenia publicznego z udziałem obywateli i obywateli. Tę z pozoru skromną propozycję wysunął Komitet na rzecz Anulowania Długów Trzeciego Świata. W dzisiejszych czasach tylko pewna część długu publicznego to pienią-

dze pożyczone i zainwestowane przez państwo w rozwój gospodarczy. Reszta to „dług bezprawny”: zaciągnięty wbrew interesom obywateli, wciśnięty państwem przez banki, wygenerowany za pomocą wyrafinowanych instrumentów finansowych. W idei audytu zadłużenia rewolucyjny jest nie tylko zakwestionowanie prawomocności takich długów, ale przede wszystkim postulat ich demokratycznej oceny.

Inne pilne wyzwanie to zdefiniowanie na nowo praw własności tak, aby wspierać wszelkiego rodzaju dobra wspólne. Oznaczałoby to m.in. reformę praw własności intelektualnej, zwłaszcza patentów i praw autorskich. Ale równie ważne jest ograniczenie, a jeszcze lepiej zniesienie prywatnej własności ziemi w mieście. We własności jako takiej nie ma nic złego, chodzi tylko o to, aby to własność służyła ludziom, a nie odwrotnie.

To jednak nie wszystko. Potrzebne jest również wymyślenie na nowo pieniądza. W dzisiejszej gospodarce pieniądź nie jest tylko miarą długu, ale od początku kreowany jest jako dług. Powrót do parytetu złota, pieniądź z negatywną stopą procentową czy nawet – jak proponował Friedrich von Hayek – oparcie pieniądza na rezerwie towarowej to różne rozwiązania, z których każde ma swoje wady, ale też każde byłoby lepsze od dzisiejszego.

Czy za 20 lat będziemy żyć w ten czy inny sposób poprawionym kapitalizmie? Czy też kapitalizm upadnie i jego miejsce zajmą różnorodne formy ekonomicznej demokracji? A może kapitalizm w obecnej postaci zrobi nam dowcip i przetrwa? Tego ostatniego bym się akurat nie obawiał. Przez całe stulecie zapoczątkowane reformami Ottona Bismarcka i Benjamina Disraeliego obrońcy kapitalizmu przekonywali, że w istocie można go reformować tak, aby lepiej służył ludziom. Ale to już tak nie działa, bo dziś rządzący nie mają poczucia, że muszą się przed kimś tłumaczyć. Jedno, o czym nie pomyśleli, to to, że również my, społeczeństwa Europy, możemy im wypowiedzieć umowę.

Zbójnik podniósł broń

Romantyczna otoczka zbójnictwa ludowego w Karpatach przesłoniła fakt, że było ono formą chłopskiego ruchu oporu i ważnym elementem historii ruchów społecznych w Polsce



„Zbójnik” – drzeworyt Władysława Skoczylasa

DARIUSZ ZALEGA

Najbardziej znanym zbójnikiem jest Juraj Janosik pochodzący z Terechowej na Słowacji. Właściwie nie wiadomo, dlaczego to on stał się symbolem, gdyż jemu podobnych było wielu – i to takich, którzy mogli poszczycić się większymi wyczynami. Janosik miał po prostu szczęście do pośmiertnego marketingu – wcześniej odkryli go polscy artyści, a i rodzący się słowacki ruch narodowy potrzebował swoich bohaterów. Młody Janosik w 1711 r. na zamku w Bytczy zetknął się z więzionym tam zbójnikiem Tomaszem Uhorcikiem, który zwerbował go podczas ucieczki. Wkrótce sam Janosik stanął na czele bandy. Nie pozbójował jednak długo, ledwo przez dwa lata – tyle zresztą wynosił średni okres zbójowania – głównie na Orawie i Liptowie. Został stracony, gdy miał 25 lat – 17 lub 18 marca 1713 r. w Liptowskim Mikulaszu.

W latach 50. angielski historyk Eric Hobsbawm zwrócił uwagę na powszechność i podobieństwo mitów o dobrych bandytach, wymierzających sprawiedliwość i wspomagających biednych w różnych krajach Europy, a potem okazało się, że i na całym świecie. W 1959 r. ukazała się jego klasyczna już książka „Primitive Rebels”, wyciągająca na światło dzienne postać „bandyty ludowego”. „Rzucając wyzwanie tym, którzy posiadają władzę, prawo i dostęp do bogactw, bandytyzm rzucał wyzwanie łaadowi gospodarczemu, społecznemu i politycznemu. Takie jest historyczne znaczenie bandytyzmu w społeczeństwach i państwach naznaczonych przez podziały klasowe” – pisał Hobsbawm.

Wyróżnił trzy podstawowe modele bandyty ludowego. Pierwszy to budzący lęk krwawy mściciel, następnie hajduk (hajducy tworzyli ruch zbrojnych wspólnot wolnych ludzi w rodzaju ukraińskich kozaków czy greckich klephtów), a wreszcie szlachetny bandyta w stylu Robin Hooda. Właśnie do tej ostatniej kategorii można zaliczyć postacie Janosika i innych zbójników beskidzkich.

Zbójnicki panteon

Choć zbójnictwo było kontynuacją tradycji kulturowych wolnych pasterzy wołoskich, to jego największy rozkwit rozpoczął się w XVII w., kiedy w związku z rozwojem gospodarki folwarczej zaczęto masowo wywłaszczać góralskie ziemie i obarczać chłopów nowymi powinnościami (wcześniej, aby przyciągnąć osadników na mało zaludnione tereny, zwalniano ich z pańszczyzny na okres nawet 20 lat). Charakterystyczne dla tych nowych czasów były na Żywiecczyźnie rządy Mikołaja Komorowskiego, rugującego chłopów z ziemi, wprowadzającego folwarki i nowe daniny, zwiększającego pańszczyznę. „Akta spraw złoczyńców miasta Żywca” dowodzą, jak częstymi obiektami zbójnickich napadów były właśnie folwarki, bo też zbójectwo – podobnie jak zbiegostwo – stało się główną formą chłopskiego oporu.

Żywiecczyzna w zbójników obrodziła: tam zbójowali w XVII w. Klimczakowie Sobek Bury i Martyn Portasz, a pod koniec XVIII w. – Jerzy Proćpak. Z kolei na Skalnym Podhalu zbójeczką sławę zdobyli Mateja i Szymek Tatarowie, na Pokuciu Aleksy Dobosz, a na Morawach Ondrasz Szabesta.

Zbójnicy łączyli się w niezależne od siebie „towarzystwa”, zwani byli opryszkami, dobozami, beskidnikami. Rabowali dwory szlacheckie, karczmy, kupców, plebanie, czasem nawet w kilkudziesięcioosobowych grupach atakowali miasta. Sprzyjały im łatwość ukrywania się w terenie górskim, bliskość granicy, wsparcie i szacunek, jakim cieszyli się wśród górali (tzw. hyr – zbójnicka sława). Ich zazwyczaj krótka zbójnicka kariera kończyła się prawie zawsze tak samo – powieszeniem za pośrednictwem (uważane za honorową śmierć dla zbójnika), ale też ćwiartowaniem, strykiem i toporem. O skali zjawiska – i represji – świadczy rozprawa ze zbójnikami Proćpaka i jego współpracownikami z różnych żywieckich wsi. W 1795 r. wydano w sumie 28 wyroków śmierci, 70 osób skazano na ciężkie więzienia, a 100 na karę chłosty. Tylko w rodzinnej wsi harnasia – Kamesznicy – stanęło 21 szubienic. Często chwytało ich z powodu zdrady czy nawet podczas pijatyk urządzanych w gospodach – zbójcka fantazja zobowiązywała. I zazwyczaj do końca trzymali fason – ciągnięty przez kata na hak zbój Sobek Bury kpił sam z siebie, wołając: „Bury do góry!”.

Ale właśnie śmierć dawała zbójnikom drugie życie w legendach i pieśniach. W „Początku harnasi karpaccy” uderza fakt, że z każdym wiąże się ludowy mit – o tym, jak pomagał biednym czy wymierzał sprawiedliwość. Trudno nie zgodzić się z Hobsbawmem, że „rzeczywi-



Kadr z serialu „Janosik”, 1973 r.

stość ich egzystencji jest zupełnie drugorzędna dla mitu” (ciekawym wyjątkiem jest postać Martyna Portasza, który nie przetrwał w ludowej wyobraźni, co wiąże się prawdopodobnie z tym, że na tle innych harnasi wyróżniał się okrucieństwem).

Byli i tacy jednak, którzy za spokój dogadali się z władzą – kosztem miejscowej społeczności: w 1662 r. Jan Klimczak ze swą zbójeczką kompanią w zamian za darowanie kary przez króla Jana Kazimierza wspierał stacjonującego w Żywcu porucznika Stefana Bidzińskiego, który popadł w konflikt z miejscowymi chłopami w czasie ściągania zaległego żołąd dla swej chorągwi.

Chłopcy z ludu

Pochwyconego Sobka Burego na śmierć transportowano do Żywca tratwą po Sole z obawy przed odbiciem go przez miejscową ludność. Skąd brały się tak silne poparcie dla zbójnictwa wśród mieszkańców górskich wsi – co groziło przecież poważnymi represjami ze strony władz – i jego późniejsza idealizacja?

Po powrocie zbójnika z wyprawy zyskiwała często wieś, której przypadła część łupów, ale nie to jest najważniejsze. Bandyta ludowy to „chłop poza prawem, którego pan lub państwo uznają za kryminalistę, ale który pozostaje zakorzeniony wewnątrz społeczności chłopskiej, widzącej w nim bohatera, mściciela, cza-

sem nawet wyzwoliciela, a w każdym razie człowieka, którego wypada podziwiać, pomagać czy wspierać” (Hobsbawm).

Zbójnicy nie byli rebeliantami politycznymi, bardziej chłopami niechętnymi się podporządkować dominującemu systemowi – to była ich indywidualna ucieczka od pana i pracy, niemniej dowodzili, że sprawiedliwość jest możliwa i że biedni nie muszą być zawsze bezsilni. Nie opowiadali się jednak za zniknięciem panów, tylko za dobrymi panami, za powrotem do dobrych, starych czasów, gdy w chłopskiej wyobraźni było więcej równości, braterskości i wolności. Życie w leśnych ostępach dawało tego namiastkę. To na nich skupiały się ludowe marzenia o przeciwstawieniu się zalegalizowanemu bezprawiu pańszczyzny, wywłaszczaniu, narzucanym daninom.

Dobrze i do historii beskidzkich zbójników pasują słowa Jerzego Mazura opisującego bandyckie początki Francisco Pancho Villi, przywódcy meksykańskiej rewolucji z początków XX w.: „Nie chodzi tu o naiwną wersję Robin Hooda, dzielącego łupy wśród wieśniaków. Feudalna struktura własności ziemskiej wyraźnie wskazuje, kto na wsi uprawiał wówczas bandytyzm – hacjenderzy, obszarnicy. Ataki na ich posiadłości oznaczały więc przechwycenie przez bandytów części monopolu państwa na przemoc. Chłop na pana podniósł nie tylko rękę, również broń”.

Rewolucyjna pamięć w gminie Biecz

TOMASZ BOHAJEDYN

Płyta „GORE. Pieśni buntu i niedoli XVI-XX wieku” folkowego zespołu R.U.T.A., jak też sztuka „W imieniu Jakuba S.” Pawła Demirskiego wystawiona pod koniec 2011 r. na deskach Teatru Dramatycznego w Warszawie w reżyserii Moniki Strzępki stały się kulturalnymi wydarzeniami i udaną próbą odkłamania historii Polski, która od lat ustrojowej transformacji poddawana jest manipulacjom tzw. polityki historycznej prawicowych środowisk intelektualno-politycznych. Dla wielu odbiorców płyty „GORE”, przyzwyczajonych do sielankowych, folklorystycznych obrazków polskiej wsi, jednocześnie karmionych informacjami o jej całkowitym przywiązaniu do katolicyzmu i polskości (w sensie endeckim), przekaz, że chłopci mieli „świadomość rewolucyjną”, jest szokiem. Jednak dla człowieka, który urodził się i wychował na Podkarpaciu – a tak jest w moim przypadku – nie jest i nie może być zaskoczeniem.

Krwawa zapłata

Całe dzieciństwo (rocznik 1974) i wczesną młodość spędziłem w małej wiosce Sitnica (gmina Biecz), położonej na styku trzech byłych województw – krośnieńskiego, nowosądeckiego i tarnowskiego, czyli ziem, przez które przetoczyła się chłopska rabacja. Mój przeszło 80-letni dziadek, którego młodość przypadła na lata odzyskania przez Polskę niepodległości, wojny polsko-bolszewickiej, a później II Rzeczypospolitej i II wojny światowej, traktował te wydarzenia marginalnie i nie był wyjątkiem wśród okolicznych seniorów. Do końca życia twierdził, że jest „Austriakiem polskojęzycznym”, że niepodległość pogłębiła jedynie nędzę wsi galicyjskiej, i nie bardzo rozumiał, czemu musiał się bić z Moskalami aż nad Niemnem w 1920 r.

Dla niego i reszty mieszkańców Sitnicy wydarzeniem pierwszoplanowym w historii była ra-

Świadomość hańby pańszczyźnianej wsi jest mocniejsza od świadomości narodowej, a nawet religijnej

bacja – fakt przekazywany z pokolenia na pokolenie, że ich ziomkowie odważyli się zrzucić hańbę pańszczyzny. Nie bez znaczenia jest, że była to krwawa zapłata, która choć trochę wyrównała rachunek krzywd. Do dzisiaj większość miejscowych, nie wyłączając młodych, wie, jak palono okoliczne dwory (a przy tym dokumenty powinności chłopskich wobec dworu) i w wymyślny sposób zabijano znienawidzonych panów. Na przykład wrzucano ich do zwierzęcych żłobów, które zabijano gwoździami i następnie przecinano na pół ręcznymi piłami. Wyjątkowe okrucieństwo! Tak, ale był to de facto bunt niewolników, podludzi potrzebnych w systemie pracy folwarcznej, traktowanych – mimo wspólnoty religijnej i nieśmiały postulatów włączenia ich do „narodu” – jak własność dworu.

Folwarków i dworów już nie ma. Jedynym przedstawicielem i spadkobiercą modelu pańszczyźnianego, jaki pozostał na wsi, jest

Kościół katolicki. To może być zaskakujące, ale mieszkańcy wsi Podkarpacia w pamięci mają także powinności pańszczyźniane wobec „plebana”. Mimo całego szafarzu religijnego polskiego ludu, jaki się eksponuje na co dzień między innymi w mediach, wieś traktuje Kościół, delikatnie mówiąc, z dystansem, jako Kościół „pański” (na tym właśnie paradoksalnie wygrywa Radio Maryja o. Rydzyka). Świadomość hańby pańszczyźnianej wsi jest mocniejsza w wielu przypadkach od świadomości narodowej, a nawet religijnej. Jest nawet mocniejsza od antysemityzmu polskiego ludu. Jest autentycznym spoiwem społeczności – również za granicą, w czasie wyjazdów zarobkowych, pamięta się o „wrogu wewnętrznym”.

Pokazaliśmy siłę

Przy dyskusji na temat rabacji często podkreśla się okrucieństwo, prywatę i wreszcie zdradę na rzecz zaborcy (wynagrodzoną własnym

gospodarstwem na Bukowinie i medalem) jej głównego przywódcy Jakuba Szeli. Postać ta dla mojego dziadka i jego sąsiadów była drugorzędna. Podobnie fakt podburzania przez Austriaków. Tylko nienawiść wobec dworu, wyrównanie rachunków i głód ziemi liczyły się naprawdę. I mimo że „dworu już nie ma”, liczą się nadal.

W marcu tego roku wybrałem się w rodzinne strony, aby przekonać się, co dzisiaj pozostało z pamięci o rzezi galicyjskiej. Zapytałem o nią kilku mieszkańców wsi gminy Biecz. Henryk Czyżyk (86 lat), mieszkaniec Rożnowic (d. Rożembark), pamiętał nazwiska wszystkich miejscowych dziedziców i ich losy w czasie rabacji: „Chłopi rzucili się na dwory, bo wyzysk był straszny. Pięć dni musieli odrabiać pańszczyznę na polu dworskim, a dopiero szóstego mogli robić na swoim, jak je posiadali... W Rożnowicach dwór mieli Grabowscy; jak się chłopi ruszyli, to im udało się uciec, a chłopci chyba

nawet chcieli, żeby uciekli, bo nie o zabicie chodziło, ale o ziemię. Podobnie było w Sitnicy; tutaj rządził Weryha-Darowski. A na Bugaju był Próchniewski. On się przebrał za parobka i dzięki temu udało mu się uciec. Ale w dalszych wsiach, np. Ołpinach, Olszynach i Rzepiennikach, to już panów porzezali. Jak panowie uciekli, to się chłopci sami uwłaszczyli, każdy pobral z dworskiego ziemię dla siebie. W Olszynach na przykład dworskim majątkiem zarządzał sołtys Marcin Ryndak i dzielił chłopom ziemię. Po rabacji niektórzy dziedzice powracali, ale ziemi już odbierać nie chcieli, bo się bali. A księża wtedy siedzieli cicho. Chłopi ich nie ruszali i ich ziemi oraz lasów nie brali, to była świętość. Dopiero po 1945 r. ich upaństwowili, a dzisiaj im państwo to oddało, na przykład las na Bugaju, ale dworskie zostało już nasze. Pokazaliśmy siłę”.

Marian Fugiel (62 lata), mieszkaniec Bugaja, zapamiętał opowieść ojca o dziedzicu

z Ołpin: „To podobno wyjątkowo zły człowiek był. Przed czerniawą schował się w końskim żłobie w stajni. Jak go chłopci tam znaleźli, to zatkali żłób deskami i przecięli go w pół piłą. A jak piłowali, to mówili: »Chłopy, rznicie wolno, pomalutku, bo to dobry pan był«. W innych wsiach złapanych panów okracali słomą i te snopki też przecinali piłami. Panowie najbardziej bali się bandy Korygi z Turzy, to podobno był wcześniej rabuś i herszt bandy. Wieś się zjednoczyła przeciw ciemieniu i odpłaciła się strasznie!”.

Genowefa Firlić, mieszkanka Sitnicy, wspomina opowieść babci, o tym jak księża w kościele parafialnym głosili o karze bożej za rabację: „Krzyczeli na kazaniach, że zaraza i głód, które przyszedł rok po powstaniu [1847], to za mordstwa na panach. W parafii rożembarskiej umarło przeszło półtora tysiąca ludzi. Chowano ich na cmentarzu cholerycznym w przysiółku Raj. Kościół długo głosił, że to za rabację, za bezczeszczenie kościołów – chociaż w Rożembarku kościoła nikt nie sprofanował”.

Tadeusz Wszolek (58 lat), mieszkaniec Sitnicy: „W Sitnicy, jak pan uciekł, to chłopci dworu nie splądrowali i obcym nie pozwolili tego robić. Pilnowali, żeby nic nie zginęło. Tylko ziemię między sobą dzielili”. Józef Ryba (47 lat), mieszkaniec Rożnowic, dodaje: „Starsi opowiadali, że w Rożembarku był sam Jakub Szela i podobno zostawił swój autograf na drzwiach dworskiego lamusa”. Jerzy Prokop (38 lat), mieszkaniec Sitnicy, wie, że na rabacji jego rodzina zyskała gospodarstwo: „Moi przodkowie pochodzą spod Krosna. Po rabacji jako osadnicy sprowadzili się na ziemię podworską w Sitnicy i tutaj z kilkoma rodzinami zostali. Dwór po rzezi zrobił się bardzo ugodowy i dzięki temu ta część wsi do dzisiaj jest bogatsza”.

Tylko my i oni

Wszystkie te opowieści łączy brak jakiegokolwiek wzmianki o zaborcach, jakby liczyła się tylko rozgrywka między chłopami a szlachtą. Nie ma nic o uwłaszczeniu wsi przez Austriaków w 1848 r.; za to uwłaszczeniem nazywa się dzielenie ziemi należącej do wygnanych panów. Nikt nie wspominał też o jakichkolwiek ofiarach wśród licznej wtedy społeczności żydowskiej czy niemieckiej. Wróg był jeden i widać do dzisiaj, że Austriacy nie musieli się zbytnio wysilać z inspiracją rozruchów przeciw niemu, jak to starają się podkreślić niektóre współczesne podręczniki do historii.

Świadomość rewolucyjna polskich chłopów zaskoczyła młodą inteligencję. Nagle odnalazł się „piąty element” narodu. I nie jest on jedynie reliktem przeszłości. ●

Marek Zajdler/EAST NEWS

Hardy patrzy na Camerona

Brytyjska ekonomistka napisała wnikliwą książkę o polskiej transformacji. Teraz na łamach „Przekroju” będzie opisywać politykę londyńskiego rządu

Jane Hardy to profesorka ekonomii politycznej na University of Hertfordshire w Wielkiej Brytanii, która deklaruje zdecydowanie feministyczne przekonania. Poza tym działa aktywnie w związku zawodowym, należy do rady programowej kwartalnika „International Socialism”, prowadzi radiowe pogadanki na tematy gospodarcze i bacznie przygląda się polityce Davida Camerona. Jej spostrzeżenia i przemyślenia będziemy od czasu do czasu publikować na łamach „Przekroju” i nie będzie to pierwszy kontakt Jane Hardy z Polską.

Zwieńczeniem jej kilkunastoletnich badań nad polską transformacją, które prowadziła od połowy lat 90, jest książka „Nowy polski kapitalizm”. Spojrzenie Hardy jest wnikliwe i wielowymiarowe, bo patrzy ona jednocześnie z daleka i z bliska.

Do polskiej rzeczywistości podeszła z bagażem doświadczeń zachodnich, wyposażona w krytyczną wobec neoliberalizmu perspektywę wrażliwą na kwestie klasy i płci. Jednocześnie oparła się na rozległych badaniach terenowych, co pozwoliło jej skonfrontować założenia polityki transformacji z ich rzeczywistymi skutkami odczuwanymi przez Polaków i Polki.

Perspektywa oddolna

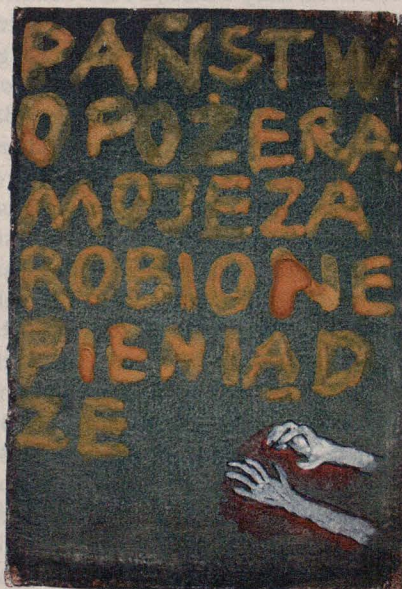
Hardy konsekwentnie unika tego, co w Polsce najbardziej przykuwa uwagę, czyli analizy rozgrywek w obrębie wąskiej klasy politycznej, od 20 lat resztą tej samej. W „Nowym polskim kapitalizmie” skupia się na analizach gospodarczych, śledząc aktywność zagranicznego kapitału, międzynarodowych instytucji finansowych oraz wpływ neoliberalnych rozwiązań na osłabienie polityki społecznej i usług publicznych. Pokazuje, jak jedna z wielu doktryn: „deregulować – liberalizować – prywatyzować” zmieniła się w Polsce w przezroczystą oczywistość organizującą sposób myślenia o roli państwa, własności i rynku pracy.

Jednocześnie, co odróżnia jej publikację od innych analiz z dziedziny ekonomii, wprowadza perspektywę oddolną, opartą na wywiadach prowadzonych z pracownikami, działaczami związkowymi, bezrobotnymi, społecznymi aktywistami – tymi, którzy transformację gospodarczą testowali na sobie i starali się na nią odpowiedzieć. Hardy stara się być rzeczniczką ich doświadczeń takich jak utrata pracy, przejście do sektora prywatnego, konfrontacja z nowymi stylami zarządzania przywiezionymi z Zachodu, dopinanie domowego budżetu. Łączy analizy ekonomiczne z narracjami dotyczącymi życia codziennego i doświadczeń wykraczających poza rynek pracy, związanych z życiem prywatnym i rodzinnym. Poświadcza zatem sporo uwagi podwójnemu etatowi kobiet i pogorszeniu się ich sytuacji w wyniku cięć w polityce społecznej, szczególnie rodzinnej oraz znacznemu ograniczeniu praw reprodukcyjnych. Istotnym elementem transformacji są dla niej również przemiany praw dotyczących sfery niezwiązanej z pracą – przygląda się zatem nowym ruchom społecznym, takim jak ruch feministyczny.

Nie chcemy wiedzieć

Książka Hardy, chociaż ukazała się w polskim tłumaczeniu w 2010 r., nie spotkała się z wielkim medialnym odzewem w Polsce, co niestety jest dość smutną regułą w przypadku zagranicznych badaczy i badaczek podejmujących próbę opisu polskiej gospodarki oraz przemian społecznych. Tacy autorzy jak Jane Hardy, Elisabeth Dunn („Prywatyzując Polskę”) czy David Ost („Kłęska Solidarności”) idą w poprzek podziałów obojętności w polskiej nauce i publicystyce. Pokazują, że nauka może być krytyczna i zaangażowana, ale pod warunkiem, że opiera się na solidnych podstawach teoretycznych i empirycznych. Hardy, Dunn czy Ost kwestionują mit homo sovieticus, który nie umiał pracować, dopóki nie nauczyli go tego zachodni menedżerowie, pozytywnie piszą o związkach zawodowych, traktując je jako ważnych aktorów w gospodarce kapitalistycznej, a nie jako pieśń przeszłości realnego socjalizmu. Dlatego zapewne wszystkie te książki znalazły miejsce w sylabusach zajęć na wielu uczelniach w Polsce.

JULIA KUBISA



Państwo się prywatyzuje

Prywatyzacja zaczęła wkradać się do brytyjskiego państwa opiekuńczego już pod rządami Nowej Partii Pracy w latach 1997–2009. Prywatne firmy otrzymywały lukratywne kontrakty na usługi medyczne i obsługę urzędów pracy. W edukacji wprowadzono rozwiązania umożliwiające firmom i instytucjom charytatywnym prowadzenie szkół niezależnie od władz lokalnych. Obecna koalicja rządowa – sojusz torysów (konserwatystów) z Liberalnymi Demokratami pod wodzą Davida Camerona – prywatyzuje państwo dobrobytu z uderzającą zawziętością.

Szkoły

Koalicja rządząca ułatwia rozwój niepublicznych akademii i tzw. wolnych szkół, stosując wiele finansowych zachęt, i to na dużą skalę. Instytucje te są współfinansowane ze środków budżetu państwa, ale powołać je mogą rodzice, organizacje charytatywne lub firmy.

Akademie i „wolne szkoły” nie będą musiały zatrudniać osób o kwalifikacjach dotychczas szczegółowo określanych, a wynagrodzenia będą kształtowane elastycznie. Pod hasłem autonomii i swobód, korzystając z publicznych środków, akademie będą poza kontrolą samorządów lokalnych. Tym samym skorzystają na nich dzieci klasy średniej, których rodzice mają twarde łokcie – obecnie to oni właśnie podejmują starania, by szkoły przekształcać w akademie, wbrew woli nauczycieli i innych rodziców. Publiczne środki przeznaczone będą na „wolne szkoły” będące poza publiczną kuratelą, ze szkodą dla szkół publicznych. To sprzyja rozwarstwieniu społecznemu, bo dzieci z klasy średniej będą chodzić do szkół kierujących się niekontrolowanymi zasadami dotyczącymi edukacji i zatrudnienia, korzystając ze środków publicznych, a jednocześnie dzieci chodzące do szkół publicznych ucierpią, bo na ich kształcenie będzie się przeznaczać mniej z puli środków publicznych, zatem jakoś ich edukacji może się pogorszyć.



JANE HARDY

Autorka felietonu jest ekonomistką

Uniwersytety

Angielski system uniwersytecki w niedługim czasie stanie się najdroższym i najbardziej u rynkowanym na świecie. Od września tego roku czesne za studia wyniesie nawet astronomiczną kwotę 9000 funtów (ok. 45 tys. zł). Oznacza to, że studenci ukończą naukę z długiem w wysokości około 27 tys. funtów (135 tys. zł) i to z wyłączeniem kosztów utrzymania czy podręczników! Dodatkowo nowe rozwiązania legislacyjne zliberalizują szkolnictwo wyższe tak, by było dostępne dla firm działających dla zysku – także tych prywatnych przedsiębiorstw, których działalność w USA była na tyle podejrzana, że znalazła się pod lupą Kongresu!

Innymi słowy, rząd chce rozbić system uniwersytecki – niektórym uczelniom grozi bankructwo. Uniwersyteckie wykształcenie stanie się dostępne jedynie dla najbardziej uprzywilejowanych i zamożnych studentów.

Prywatni dostawcy usług edukacyjnych będą mogli przebiegać w sektorze edukacji jak w ulegalkach i wyszukiwać najbardziej smaczne sposoby, by przemienić publiczne dotacje w prywatny zysk, co stanowi zagrożenie dla jakości kształcenia.

Niektóre kierunki już są zamykane jako niedostatecznie „realistyczne” – jeden z londyńskich uniwersytetów zamknął 70 proc. swojej edukacyjnej oferty – głównie z nauk społecznych i humanistycznych.

Ochrona zdrowia

Brytyjski system ochrony zdrowia National Health Service stanowi fundament państwa dobrobytu. Służba zdrowia dostępna jest nieodpłatnie i prawdopodobnie jest jedną z najbardziej lubianych instytucji.

Pomimo zmasowanych protestów lekarzy, pielęgniarek i położnych oraz po tysiącu poprawek koalicja przeforsowała w marcu tego roku nową ustawę o opiece zdrowotnej i społecznej. Jej sednem jest prywatyzacja ochrony zdrowia.

Dotychczas to regionalne ośrodki NHS decydowały o zamówieniach na określone usługi i procedury medyczne. Następnie zamawiały je w szpitalach, tak by były dostępne dla osób ubezpieczonych w systemie publicznym. Teraz sytuacja ma się zmienić – ich miejsce w dużej mierze zajmą „grupy zamówień klinicznych” („clinical commissioning groups”) składające się z lekarzy, którzy będą kupować bezpośrednio określone usługi medyczne w szpitalach (od pracujących tam lekarzy).

Nikt nie wie na razie, jak będzie to funkcjonować – wiemy natomiast, że lekarze nie mają zbyt dużo czasu, by na podstawie analiz podejmować decyzje, jakiego rodzaju usługi i procedury mają być dostępne.

Otwiera to drzwi prywatnym firmom konsultingowym, które odpłatnie, w zastępstwie lekarzy, będą decydować o liście publicznie dostępnych usług i procedur.

Ponadto „grupy zamówień klinicznych” mogą po prostu uznać, że niektóre procedury medyczne nie będą już dostępne poprzez National Health Service. Dla pacjentów oznaczać to będzie konieczność wykupywania usług medycznych poprzez prywatne ubezpieczenie. Nie masz pieniędzy, nie będziesz leczony. Jednym słowem – witamy w USA.

Ponura wizja

Wszystko to składa się na przygnębiający obraz uchylania drzwi wielkiemu biznesowi, by rozpoczął czerpanie zysków z edukacji i ochrony zdrowia. Oferta usług publicznych dostępnych dla osób mniej zamożnych mocno się skurczy.

Sektor publiczny ostro tnie miejsca pracy, podczas gdy niewiele ich przybywa w sektorze prywatnym. Rośnie bezrobocie, szczególnie wśród młodych osób. Alternatywą wobec pójsia na zasiłek jest zaciąganie olbrzymich długów na studia.

Jakąkolwiek iluzję sprawiedliwości rozwiął budżet ogłoszony 1 kwietnia. Zgodnie z nim 212 tys. rodzin zarabiających 18 tys. funtów straci 3870 funtów odpisów podatkowych. Do tej pory rząd ograniczył już zasiłki z tytułu niezdolności do pracy dla osób chorych i niepełnosprawnych oraz rozbudował upokarzające testy sprawdzające ich „sprawność do podjęcia pracy”.

Przewodniczący organizacji pozarządowej zajmującej się osobami psychicznie chorymi zrezygnował właśnie z uczestnictwa w grupie rządowych doradców, uznając, że rząd nie chce słuchać o zagrożeniach płynących z nowej polityki dla osób chorych psychicznie.

Jednocześnie koalicja tnie podatki korporacyjne dla biznesu i te dla najzamożniejszych. Torysi ostatnio ubabrali się widowiskowym skandalem – skarbnika ich partii sfilowano, gdy w zamian za gotówkę oferował dostęp do premiera i ważnych politycznych graczy. Nic dziwnego, że dwie na trzy osoby w Wielkiej Brytanii postrzegają ich jako partię bogaczy.

To wszystko stanowi wyjątkową szansę dla Partii Pracy, która gwałtownie ruszyła do góry w sondażach. Jednak prezentowany przez nią model bojaźliwej opozycji po prostu rozczarowuje. W rzeczywistości to związki zawodowe i ruchy społeczne muszą powstrzymać koalicję, która dokonuje demontażu państwa dobrobytu.



JESSICA rewitalizuje miasta

Unia Europejska wspiera budowę nawet galerii handlowych. Oczywiście nie wszystkich, tylko tych w zdegradowanych częściach miasta. I nie daje pieniędzy, ale je pożycza

ANNA CIEŚLAK-WRÓBLEWSKA

W Kościerzynie, niewielkim mieście w woj. pomorskim, zaraz przy samym rynku trwają intensywne prace budowlane. Powstaje tam galeria handlowa, nie za duża, na 6 tys. mkw., dostosowana do lokalnych potrzeb.

Niby nic w tym dziwnego, w końcu centra handlowe otwierają się teraz w coraz mniejszych miastach. Ale to centrum się wyróżnia, bo ma wsparcie z funduszy Unii Europejskiej. Zwykle z europomocy korzystają albo inwestorzy publiczni, albo prywatni, ale wtedy, gdy stawiają na innowacje. Galeria handlowa w Kościerzynie to inicjatywa prywatna, o innowacjach zaś trudno tu mówić. Skąd więc wsparcie?

Atrakcyjna pożyczka

– To burmistrz podpowiedział nam, że istnieje możliwość skorzystania ze środków unijnych – mówi Robert Misztal, pełnomocnik spółki Stary Browar Kościerzynski. – Na początku chcieliśmy finansować ją sami, ale gdy okazało się, że nasz projekt świetnie wpisuje się w plan rewitalizacji miasta, samorząd wskazał dodatkowe ścieżki uzyskania wsparcia – dodaje.

Dla projektów odnowy miast w ramach funduszy UE na lata 2007–2013 istnieje specjalny instrument – JESSICA – skrót od angielskiego Joint European Support for Sustainable Investment in City Areas. To wspólna inicjatywa Komisji Europejskiej, Europejskiego Banku Inwestycyjnego i Banku Rozwoju Rady Europy. Umożliwia członkom Unii wspieranie inwestycji w obszarach miejskich w formie instrumentów zwrotnych – głównie pożyczek, ale także wkładów kapitałowych czy gwarancji.

To co prawda nie są bezzwrotne dotacje, ale nawet unijna pożyczka może być atrakcyjna. Całkowity koszt inwestycji w Kościerzynie wynosi ponad 20 mln zł, z czego niecałe 7,6 mln zł pochodzi z programu JESSICA. – Oprocentowanie tej części pożyczki jest bardzo korzystne, wynosi poniżej 2,5 proc. – wyjaśnia Misztal.

To spory zysk dla inwestora. Zwykły kredyt to WIBOR (obecnie ok. 4,5–5 proc.) plus marża bankowa, która sięga 2–3 proc. W sumie więc roczne odsetki od 7,6 mln zł nie wynoszą np. 600 tys. zł, ale mniej niż 190 tys. zł.

– Główna korzyść, jaką daje JESSICA w stosunku do „zwykłych” kredytów inwestycyjnych, to korzystniejsze warunki pozyskania pieniędzy – wyjaśnia też Liliana Bielas-Kostyra z Wydziału Rozwoju Miasta i Funduszy Euro-

pejskich w Urzędzie Miasta Tychy. Samorząd tyski za 11 mln zł, z czego 4,5 mln zł to pożyczka z programu JESSICA, buduje Pasaż Kulturalny Andromeda. Te preferencyjne warunki to przede wszystkim oprocentowanie poniżej WIBOR 3M o 2,5 pkt proc. (zwykły kredyt dla samorządów, choć odsetki są niższe niż dla firm, i tak jest oprocentowany powyżej WIBOR). Do tego warto wymienić brak prowizji przy udzielaniu kredytu, dłuższy okres kredytowania (do 15 lat, przy normalnym kredycie – do 10 lat) czy dłuższy okres karencji w spłacie.

Tychy, jako inwestor publiczny, mogłyby skorzystać z bezzwrotnych dotacji, ale tylko teoretycznie. – Mechanizmy zwrotne, takie jak JESSICA, przeznaczone są na realizację projektów dochodowych, a takim ma być Pasaż Kulturalny Andromeda. Nasze przedsięwzięcie od samego początku przygotowywane było jako projekt komercyjny i w związku z tym miasto nie występowało wcześniej o dotację – wyjaśnia Liliana Bielas-Kostyra.

Odnowa miasta

Zakładana dochodowość inwestycji nie jest warunkiem koniecznym, by uzyskać wsparcie z programu JESSICA. Za to musi się one

bezwzględnie naprawiać to, co w miastach zniszczyły czas i postęp. I wpisywać w program rewitalizacji przygotowany przez lokalne władze.

W Kościerzynie, jak wskazuje sama nazwa Stary Browar Kościerzynski, projekt powstaje na ruinach Starego Browaru Kościerskiego. Został tam tylko jeden budynek przemysłowy – słodownia. Sam w sobie nie jest zbyt interesujący i nie jest zabytkiem, ale będzie ważnym elementem centrum handlowego. Znajdzie się tam stylizowany pub z kadziami do warzenia świeżego piwa. W podziemiach słodowni, pod przeszklonymi posadzkami, urządzone zostanie minimum muzeum kościerskiego browarnictwa, gdzie złożona zostanie część eksponatów znalezionych podczas prac archeologicznych przy budowie. – A do tego miasto odzyska własną markę piwa – dodaje Misztal.

W Lesznie, przy współudziale programu JESSICA, powstaje o wiele większe centrum handlowe – Galeria Goplana. Ma mieć 28 tys. mkw. powierzchni najmu (prawie pięć razy więcej niż ta w Kościerzynie). Koszty też są większe – w sumie 180–200 mln zł, z czego 50 mln pożyczka UE. Buduje się, wchłaniając pozostałości po zaniebanych fabrykach Goplany i Metalplastu Leszno.

Prezydent miasta Tomasz Małolepszy cieszy się, że nowoczesny obiekt ożywi stare miasto i nada mu nowy wizerunek. A przede wszystkim przyczyni się odnowy społecznej, gospodarczej i przestrzennej najbardziej zdegradowanych części miasta.

Inwestor, spółka Goplana MGC Inwest, zapewnia, że galeria ma się stać perłą architektoniczną regionu, nawiązując jednocześnie do charakteru Starówki. – Zwiększą się funkcje reprezentacyjne miasta i poszerzy się oferta kulturalna i rozrywkowa – mówi Lech Chudy, prezes spółki. Bo w Galerii Goplana powsta-

ną: biblioteka multimedialna, kino, fitness, restauracje i atrium, w którym będą organizowane różnego rodzaju przedsięwzięcia kulturalne, takie jak koncerty, pokazy, występy teatrów ulicznych itp.

Tyski projekt jest nieco skromniejszy. To kolejny etap modernizacji jednego z centralnych miejsc w mieście – placu Baczyńskiego. W ostatnich latach plac zamienił się z mało interesującego ciągu ulicznego w przyjazną dla mieszkańców przestrzeń publiczną. Teraz przyszedł czas na nadanie nowego charakteru budynkowi po kinie Adromeda – ma się przekształcić w Pasaż Kulturalny Adromeda.

Na parterze działać będą firmy usługowe i gastronomiczne, na piętrze – Miejska Galeria Sztuki, Mediateka i sala konferencyjno-audiowizualna. – Planuje się, że Pasaż Kulturalny Adromeda będzie proponował szeroką ofertę gastronomiczną, usługową i kulturalną, w tym koncerty, wystawy, przedstawienia, wykłady i imprezy. Będzie przestrzenią kulturotwórczą nowej jakości w mieście – przekonuje Liliana Bielas-Kostyra.

Ponad miliard złotych do wzięcia

W sumie z programu JESSICA firmy prywatne i samorządy mogą ubiegać się o ponad 1 mld zł (257 mln euro). Na jego wdrożenie zdecydowało się pięć województw: wielkopolskie (ok. 67 mln euro), śląskie (60 mln euro), pomorskie (57 mln euro), mazowieckie (40 mln euro) oraz zachodniopomorskie (33 mln euro). Pieniądze pochodzą z Regionalnych Programów Operacyjnych.

Funduszami zarządzają banki wybrane w konkursach. To one analizują projekty, oceniają je pod względem formalnym i merytorycznym oraz decydują o finansowaniu. W całym woj. śląskim, w części woj. pomorskiego (bez Trójmiasta i Słupska) oraz w woj.

zachodniopomorskim (bez Szczecińskiego Obszaru Metropolitalnego) rolę zarządzającego pełni BOŚ Bank; w woj. wielkopolskim oraz Gdańsku, Gdyni, Sopocie i Słupsku – Bank Gospodarstwa Krajowego. Zarządzającym w Szczecińskim Obszarze Metropolitalnym i okolicach jest BZ WBK. Mazowsze na razie nie wybrało zarządzającego JESSICĄ.

Dotychczas podpisano siedem umów o pożyczki. Oprócz wyżej opisanych są to rewitalizacja zdegradowanego obszaru przy ul. Małachowskiego w Poznaniu oraz budowa Centrum Biurowego Podwale. Inwestycja, prowadzona przez prywatną spółkę Machura Bros Corporation, kosztować ma 30 mln zł (pożyczka z programu JESSICA to 22,5 mln zł). Z kolei spółka AAD 21 S.C. za 5,7 mln zł (pożyczka – 3,6 mln zł) zaadaptuje powojenny budynek (byłe kasyno oficerskie) w Ostrowie Wielkopolskim na Centrum Konferencyjno-Szkoleniowe.

Dwie pozostałe inwestycje to przedsięwzięcia samorządowe. Wielkopolskie Centrum Wspierania Inwestycji (spółka należy do miasta Poznania) tworzy Poznański Park Technologiczno-Przemysłowy. Z JESSIKI dostała 18,5 mln zł na budynek dla firm utworzonych w inkubatorze przedsiębiorczości (koszt inwestycji to 30 mln zł). Obszar parku zlokalizowany jest w strefie poprzemysłowej, w niewielkiej odległości od centrum miasta, którego potencjał obecnie nie jest w pełni wykorzystywany.

Na 1 mln zł pożyczki zdecydowała się także gmina Koźmin Wielkopolski. Nieciekawym budynkiem biurowo-warsztatowym zamienia się w lokalne Centrum Kultury. Znajdą się tam pracownia muzyczna, studio nagrań, pracownia plastyczna, sala taneczna wraz z szatniami, pomieszczenia dla chóru i orkiestry dętej, sala widowiskowa oraz sala konferencyjna. To mały projekt o wartości 1,5 mln zł, ale dla lokalnej społeczności niezwykle ważny.



NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI
dla rozwoju Polski



MINISTERSTWO ROZWOJU REGIONALNEGO

UNIA EUROPEJSKA EUROPEJSKI FUNDUSZ ROZWOJU REGIONALNEGO



Cykl informacyjny realizowany w ramach konkursu dotacji organizowanego przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego Pomoc Techniczna.

Polonia magistra historiae

Wydana w czterystu egzemplarzach książka Jana Sowy „Fantomowe ciało króla” powinna zrewolucjonizować debatę o historii Polski. I nauczanie o niej. Dlatego się o nią kłócimy

Piotr Laskowski: Wszyscy czworo mamy poczucie, że jest to książka wyjątkowa i ważna...
Bogna Świątkowska: Najwyraźniej mamy problem z naszą historią, z przeszłością, problem nierozwiązany, niewyjaśniony, co powoduje, że czytanie tego rodzaju książek jest absolutnie fascynujące. Chcemy reinterpretować historię, ponieważ dotychczasowe wyjaśnienia nie pasują do rzeczywistości, jaką odczuwamy, nie sklejają się z nią. I książka Janka pokazuje jedną z możliwych metod odczytywania historii, którą natychmiast chce się wziąć pod uwagę w tym poszukiwaniu przyczyn braku synchronizacji. Druga rzecz, która wydaje mi się ważna, to zauważenie, że narracja dominująca w debacie publicznej ma bardzo krótką perspektywę czasową. A mój duży entuzjazm wywołało to, o czym pisze Janek, że najkrótsza sensowna narracja obejmuje 250–300 lat – to powoduje, że wydarzenia zaczynają uzyskiwać jakiś sens, nie doraźne znaczenie objawiające się w chaotycznych rozmowach, w przerzucaniu się inwektywami przez polityków. Nagle przez przeszłość możemy zobaczyć szerzej to, co się dzisiaj dzieje, zmniejszyć poczucie chaosu, które śledzenie bieżących komentarzy tylko wznaga.

Krzysztof Nawrotek: Jan Sowa otwiera oczy dzisiejszym prawicowym wyznawcom. Kolejno punktuując uświęcone mity: zacołania Polski spowodowanego ingerencją osób trzecich, multikulturalizmu I Rzeczypospolitej, Polski jako spichlerza Europy i wiele, wiele innych. Uniemożliwia również prowadzenie takiej narracji, jaką w ostatnim czasie proponował profesor Jerzy Hausner w swoim raporcie „Kurs na innowację. Jak wyprowadzić Polskę z rozwojowego dryfu?” – kiedy przeczytamy tę książkę, ciężko będzie nam akceptować hasła

w rodzaju: „Polsce grozi trwała peryferyzacja”. Z tego prostego powodu, że od co najmniej kilkuset lat jesteśmy w kondycji peryferyjnej i podporządkowanej. Po lekturze „Fantomowego ciała króla” te kwestie wydają się oczywiste i zrozumiałe.

Krzysztof Nawrotek: Ta książka daje intelektualną przyjemność. Natomiast nie jestem pewien, czy wytrąca oręż prawicy. Może prawicy neoliberalnej, najbardziej mainstreamowej, natomiast prawicy narodowej – niekoniecznie.

Ja ją czytam z punktu widzenia człowieka, który ma lewicową wrażliwość, ale prawicową przeszłość. Może ją odczytuję w specyficzny sposób, ale żeby się upewnić, czy moje intuicje nie są całkowicie wyssane z palca, kiedy skończyłem, sięgnąłem do „Myśli nowoczesnego Polaka” Dmowskiego. Jak wytniecie antysemitki wtręty, to intuicje Dmowskiego i to, co pisze Jan Sowa, są tak zbieżne, że momentami to wygląda tak, jakby Sowa z Dmowskiego przepisował...



jest naród, a bardziej... chyba muszę użyć paskudnego słowa „Lacan”...

Świątkowska: Macie prawo do trzech razy: trzy Lacany, trzy Żizki i trzy Markszy.

Szadkowski: Tylko trzy Markszy?!

Laskowski: Chodzi o to, że psychoanaliza lacanowska wymusza pisanie z perspektywy władzy, bo bez niej społeczeństwo nie może się upodmiotowić. Stąd jest w tej książce teza, że to brak uznanego miejsca władzy stanowi fundamentalny problem. I to mi się wydaje całkowicie ślepa uliczka. Tam jest wyraźny moment, przed kluczowym trzecim rozdziałem, w którym analiza społeczno-ekonomiczna, zresztą świetna, mocno akcentująca kondycję chłopską w Polsce, zostaje zawieszona na rzecz myślenia w kategoriach psychoanalitycznych. Teza, że Polska XVII–XVIII w. egzystuje jak zombi, żywy trup, jest szalenie fatalistyczna i wyklucza możliwość istnienia czegoś autonomicznego, twórczego i pojedynczego poza centrum i bez relacji do centrum. Jednak doświadczenie polskie mogłoby być ciekawe w zakresie produkowania autonomii wolnościowej, oczywiście zaraz zamkniętej w ramach jednego stanu i już nieprodukującej żadnej wolności, tylko reprodukującej własne formy. Ale jednak w tej szlachetczyźnie jakiś impuls wolnościowy był. W tej książce nie ma słowa o arianach...

Szadkowski: Matko!

Laskowski: ... nie ma też słowa o żydowskiej autonomii w XVI w. Nie chodzi o to, żeby afirmować tradycję szlachecką, tylko żeby pokazać potencjał wolnościowej oraz pojedynczej autonomii i nie tłumaczyć jej degeneracji brakiem w miejscu władzy.

Szadkowski: We mnie się gotuje, ale chyba o to chodziło. Od czego zacząć, żeby naprostować? Moim zdaniem książka Jana Sowy jest podskórnie marksistowska, pisana z perspektywy analizy konfliktu klasowego i odpowiadających mu form państwowości lub obumarłych form państwowości. To jest zadanie, jakie Sowa sobie postawił, nawiązując do bułgarskiego historyka Kiosseva i jego teorii samokolonizujących się kultur Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej – problem, jaki ponadczasowo, w perspektywie długiego trwania, peryferia mają z kapitalizmem. I jaką rolę w uperyferianiu kraju odgrywają elity kompradorskie, czyli – w przypadku analizy XVII i później XVIII w. – jaką rolę ma tutaj sarmacka szlachta. Może jestem za bardzo skażony tym, że tę książkę czytam jako książkę, która ma nam powiedzieć coś o nas tu i teraz. Nie mamy w tej dyskusji

Szadkowski: To idziemy na konfrontację...

Nawrotek: Biorąc pod uwagę moje lektury młodości, ta książka brzmi jak kontynuacja stańczyków czy endecji. I z takich pozycji wydaje mi się istotna, bo kieruje poważne pytanie do ludzi, którzy uważają się za lewicę czy choćby nieprawicę: czy biorąc za podmiot rozważań naród, można napisać nieprawicową, nieendeccką, nienacjonalistyczną książkę?

Laskowski: Ja mam podobną intuicję, przy czym mniej chodziłoby mi o to, że podmiotem

ZE WSTĘPU

Tak zarysowany projekt należy wyraźnie odróżnić od wszelkiego rodzaju dociekań dotyczących procesu kształtowania się polskiego narodu i problemów polskiego nacjonalizmu. Nie są one w tej książce głównym przedmiotem mojego zainteresowania. Kwestie te są bardzo obszernie omawiane i analizowane w polskiej humanistyce oraz naukach społecznych. Jak jednak zauważył klasyk badań nad nacjonalizmem Hans Kohn, nowoczesne państwa narodowe są „wynikiem fuzji pewnego stanu umysłu z pewną polityczną formą”. W polskiej nauce i debacie publicznej mamy do czynienia z nadreprezentacją zainteresowania owym stanem umysłu (problematyka tożsamości narodowej) przy relatywnym zaniedbaniu problemu politycznej formy. Przy czym „politykę” należy tu rozumieć zarówno w wąskim sensie jako organizację oraz sprawowanie władzy, jak i w szerszym, o który upominają się często myśliciele francuscy, czyli pewien sposób konstytuowania wspólnoty i bycia razem. W niniejszej książce będę interesował się przede wszystkim tą właśnie zaniedbaną kwestią formy. Niedocenywanie jej roli w dziejach Polski i całego regionu jest poważnym błędem, bo – jak przekonuje Ivan T. Berend – to właśnie brak struktur państwowych skierował w XIX w. środkowoeuropejskie nacjonalizmy na zainteresowanie etnicznością, językiem i innymi ekskluzywnymi kryteriami wyznaczania zbiorowej tożsamości oraz granic wspólnoty. Stan umysłu był więc i jest w znacznej mierze determinowany polityczną formą. Kwestia formy jest również zasadniczym wyzwaniem praktycznym. Wbrew pozorom skonstruowanie narodu jest stosunkowo proste – wystarczy sobie coś wyobrazić, o czym przekonuje Benedict Anderson w znanej książce „Wspólnoty wyobrażone”. Nie jest więc niczym dziwnym, że Polacy i inne narody oraz grupy etniczne Europy Środkowo-Wschodniej pozbawione przez długi czas własnej państwowości lub skazane na zależność od obcych mocarstw, chętnie uciekały do królestwa wyobraźni. Zdecydowanie większym wyzwaniem jest konstrukcja nowoczesnej formy politycznej. Wymaga to zarazem zabiegów na poziomie dyskursywnym – a więc manipulowania sposobami, w jakie nadajemy światu sens – jak i gigantycznego wysiłku materialnego oraz organizacyjnego: stworzenia infrastruktury, administracji, sprawnego systemu edukacji, armii, mechanizmów gospodarczych, instytucji społecznych itd. Jestem przekonany, że to właśnie kwestia formy determinuje obecną kondycję Polski i Europy Środkowo-Wschodniej, dlatego przede wszystkim jej chciałbym poświęcić uwagę w niniejszej książce.

JAN SOWA



Jan Sowa „Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą”, Universitas, Kraków 2012

→ embarga na używanie Lenina, więc posłużyć się cytatem: „Państwo jest produktem i przejawem nieprzejednanego charakteru sprzeczności klasowych”. I moim zdaniem Jan Sowa w analizie późnego XVI w. i formowania się tego fantomowego ciała króla wskazuje, że klasy uprzywilejowane, klasy dominujące, są w stanie stworzyć na peryferiach taką formę państwowości, w której ten charakter sprzeczności klasowych staje się zatar-ty. Dla mnie to jest watek wiodący tej książki i w ogóle myślenia Sowy od czasu jego poprzedniej książki „Ciesz się, późny wnuku!”. Fakt, że Sowa nie kładzie nacisku na to, że w tym okresie historycznym rozwijały się autonomiczne i wolne formy organizacji poza-państwowej, jest związany z tym, że chce nam powiedzieć coś o nas dzisiaj.

Świątkowska: Sądziłam, że powiesz coś o tej przedziwnej bliskości, którą ja obserwuję z dużą przyjemnością, bliskości wypowiedzi czy też deklaracji płynących z lewej i z prawej strony, gdzie za pomocą delikatnych zabiegów redakcyjnych można tak naprawdę sprawić, że

i o państwie polskim. Nie mówi nic o Ukrainie, o Białorusi, o Litwie. Gdyby było tak, jak twierdzisz, to ta książka powinna się w pewnym momencie rozciągnąć i pokazać różne ścieżki, którymi ta Rzeczpospolita szlachecka się potem rozwinęła. Sowa tego nie robi, wszystkie analizy marksistowskie są podporządkowane konsekwentnie przyjętemu, endeckiemu rdzeniowi, myśleniu właśnie o narodzie. **Świątkowska:** Mnie się wydaje, że ta książka powoduje w nas wielkie ożywienie. Z jakiegoś powodu jest nam potrzebna teraz. Istotnym pytaniem jest, dlaczego publikacja Jana Sowy dzisiaj wydaje się nam najważniejszą książką, która ukazała się w ostatnim czasie, i do czego mamy ją stosować?

Nawratek: Podobnie jak Krystian, ja też ją czytałem tu i teraz, szukając odpowiedzi na pytanie „szto diełat” i do pewnego stopnia wydaje się, że tam jakieś światło w tunelu się pojawia.

Relacja między peryferiami a kapitalizmem to istotny aspekt tej książki, tylko w gruncie rzeczy tam się daje wy-czytać pewną zgodę na to, że kapitalizm jest uniwersalną, hegemoniczną narracją centrum, która tak naprawdę niweluje możliwości upodmiotowienia się peryferii.

nieodłącznie związany z rozwojem i postępem kapitalizmu, akumulacji kapitalistycznej, i skończy się, kiedy zniśmiemy ten system produkcji jako całość. Moim zdaniem to jest przesłanie książki, a reszta to chłodna analiza, dokładnie tak samo posępna jak ta na kartach „Buntu sieci”, i ciężko mi winić Edwina Bendy-ka za to, że realistycznie podchodzi do sytuacji i szkicuje obraz niemożności oporu. Będą chcieli nowoczesnego państwa, nie sądzę, by Sowa żywił te same pragnienia.

Laskowski: Ano właśnie, tu jest istotny moment. Chyba zgadzamy się z twoją tezą, że w świetle tej książki tylko zniesienie systemu kapitalistycznego mogłoby zatrzeć podział na centrum i peryferia. Teraz pojawia się pytanie, jaka jest funkcja państwa w tym procesie. No i jednak tu jest tęsknota za nowoczesnym państwem. To znaczy żal, że inni je mają i że trzeba jednak to nowoczesne państwo zrobić.

Szadkowski: Ale Jan Sowa po prostu wskazuje na funkcje państwa w rozwoju kapitalizmu w wersji centralnej, zachodniej i na funkcję szczytowego państwa w kapitalizmie peryferyjnym. Dzisiaj mamy to samo obumarłe państwo, związane z tą samą peryferyjną kondycją, mamy te same elity kompradorskie. Leszek Balcerowicz domaga się wprost zdemontowania resztek państwa i robi to przez ostatnie 20 lat. W książce Sowy specjalnie omijam fragmenty lacanowskie, które może was skłaniają, żeby ją umieszczać na prawicy. Sowa pisze o roli elit w okresie kolonizacji i podkreśla, że wszystkie okresy kolonizacyjne, to znaczy takie, gdzie spotykamy się z nagą

Laskowski: W takim razie gdzie jest ten podmiot, który ma wytworzyć świat bez kapitalizmu, po kapitalizmie, inny świat? Ja też czytam tę książkę jako opowieść o świecie dzisiaj i jeśli mówię o arianach i Żydach, to dlatego, że wydaje mi się, iż to pominięcie ma istotne znaczenie. U Sowy nie ma autonomicznego społecznego wytwarzania zmiany. Społeczeństwo może się upodmiotowić tylko wobec czegoś, co jest ponad nim, i z tym ja mam podstawowy problem, przy całkowitej zgodzie co do trafności opisu roli elit w społeczeństwie postkolonialnym. No więc gdzie jest ta siła, ten punkt, który pozwala na ruch zmiany?

Szadkowski: Tego w tej książce nie ma. I mogę się przychylić do „tezy kontrlacanowskiej”: książka jest napisana z perspektywy walki klas prowadzonej przez klasy dominujące i tutaj narracja jest bardzo trafnie uszyta, ale to, że Sowa przyjmuje aparat lacanowski, mówiąc, że istnieje jakieś Realne, które jest napędem historii, zaciera w ogóle możliwość zainteresowania się upodmiotowieniem klas zależnych.

Nawratek: Te wszystkie rzeczy, o których mówicie, są w „Myślach nowoczesnego Polaka” – dokładnie ten sam mechanizm opisu, co się stało ze szlachtą, jak ona skolonizowała państwo. Porządny nowoczesny endek mógłby Sowę przeczytać i postawić go sobie na półce. I to jest niebezpieczeństwo tej książki. Rozwiązanie, które oferuje, jest proste i oczywiste – upodmiotowienie narodu jako całości: nie może być tak, że jedna klasa przeważa nad innymi, dominuje, należy wszystkie klasy zmobilizować i zbudować silne, absolutystyczne państwo, które włączy się w projekt uniwersalnej, kapitalistycznej modernizacji.

Świątkowska: Praca, którą Janek Sowa wykonuje, dotyka przecież pytania nurtującego nie tylko nas, ale w tej chwili pół świata. Bo tak przy okazji, powiedz Krystian, jak liczny jest ten drugi stosik książek, które dają ci odpowiedź?

Szadkowski: Nie ma ich zbyt wiele...

Świątkowska: Prześlij nam listę, bo ja też chcę wiedzieć. Oczekiwanie, że Jan Sowa napisze nam, jak żyć, jest oczywiście złudne. Nie znajdziemy tam odpowiedzi, których dopiero zaczynamy szukać. Kryzys i podkopanie w dyskursie popularnym pozycji kapitalizmu jako jedynej słusznej drogi to jest coś, czego wcześniej tak naprawdę nie doświadczaliśmy. I to jest wyjątkowy moment, w którym książka Janka może popchnąć sprawy do przodu, ale nie je rozwiązać. Czy ta książka we Francji czy w Wielkiej Brytanii byłaby tak samo ekscytująca jak w Polsce? Czy też Jan Sowa po prostu stosuje metodę, która została już przepracowana

w innych krajach i która jest rewelacją, bo jest w Polsce na tę skalę po raz pierwszy?

Nawratek: Do pewnego stopnia Janek przyznaje, że jesteśmy peryferiami i sami się kolonizujemy. I on też nas kolonizuje, ponieważ skonstruował swoją maszynę badawczą z teorii, które zostały wypracowane w centrum. Pod tym względem ta książka może być interesująca za granicą, w krajach centrum, ponieważ Janek posługuje się językiem centrum.

Szadkowski: Sposób pisania preferowany przeze mnie to raczej ruch myśli i ruch teorii, a nie aplikowanie teorii do przykładów. Jan Sowa zdobył się na rzeczywisty ruch teorii tylko w rozdziale trzecim, kiedy konstruuje koncept fantomowego ciała króla. Czy książka da się przełożyć? Myślę, że musiałaby być znacznie szersza, zresztą Jan Sowa sygnalizuje w wielu miejscach analogie między peryferiami w centrum Europy a Ameryką Łacińską. Moim zdaniem na tamtym gruncie ta książka by się przyjęła. Ale myślę, że musiałaby być zdecydowanie bardziej marksistowska, niż jest, i tego bym jej życzył.

Świątkowska: Jeszcze pytanie związane z nakładem – 400 egzemplarzy. Ta książka powinna być czytana. Istnieje zagrożenie, że ta zdrowa lektura, która jest tak bardzo nam potrzebna, znowu utknie w jakiejś wąskiej grupie związanej z pracą intelektualną. Jak to zrobić, żeby przełożyć ją na szerszy odbiór? Dopiero wtedy zaczęłaby mieć istotny sens, kiedy weszłaby trochę dalej, głębiej niż ta grupa, dla której obracanie ideami jest dniem codziennym.

Szadkowski: Ale Krzysztof powiedziałby, że byłby to prawdopodobnie projekt wzmocnienia i budowania prawicowych projektów w Polsce, więc może faktycznie Sowa, który może gdzieś pod koniec uświadomił sobie, jakiego potwora stworzył, stwierdził, że nie, nie... **Nawratek:** Ta książka jest napisana fajnym językiem, płynnie i dobrze się to czyta, ale nakładu paru tysięcy to ona nie przekroczy. Jednak nie jest to język i nie jest to aparat pojęciowy, który w Polsce jest powszechny i nauczany w liceach.

Laskowski: A ja bym właśnie powiedział z perspektywy nauczania w liceach, że to jest lepszy podręcznik do historii niż te, które mamy do dyspozycji, naprawdę. Zwłaszcza że Sowa używa teorii filozoficznych, dbając o ich wcześniejsze jasne wyłożenie. Ja bym chciał, żeby tak uczyć historii już w liceum.

Świątkowska: I w dodatku posłowie wszystkich frakcji się zgodzą.

Szadkowski: Może to jest pułapka zastawiona na ministerstwo?

ROZMAWIALI:



Bogna Świątkowska – założycielka Fundacji Nowej Kultury Bęc Zmiana, z którą zrealizowała szereg projektów interdyscyplinarnych łączących sztukę, architekturę, projektowanie, refleksję nad mechanizmami kultury. Redaktor naczelna czasopisma „Notes na 6 tygodni” (www.funbec.eu).



Dr. Krzysztof Nawratek – urbanista, teoretyk miasta. Dyrektor studiów magisterskich w School of Architecture, Design and Environment w Plymouth University. Autor m.in. książki „Ideologia w przestrzeni. Próba demistyfikacji”, „Miasto jako idea polityczna”, „Miejskie rewolucje”.



Krystian Szadkowski – redaktor naczelny czasopisma naukowego „Praktyka Teoretyczna” (www.praktykateoretyczna.pl). Współredaktor książki „Edufactory. Samoorganizacja i opór w fabrykach wiedzy” (2011).



Piotr Laskowski – historyk idei, nauczyciel, autor książki „Szkice z dziejów anarchizmu” (2006), „Maszyny wojenne. Georges Sorel i strategię radykalnej filozofii politycznej” (2011).

„To lepszy podręcznik do historii niż te, które mamy dzisiaj. Chciałbym, żeby tak uczyć historii

PIOTR LASKOWSKI

one staną się tą samą wypowiedzią.

Szadkowski: Ale subtelna różnica między prawicowymi narracjami a narracją Sowy jest w przedmiocie analizy. W prawicowych narracjach jest to naród jako forma ideologiczna zacierająca różnice klasowe, a Sowa skupia się właśnie na klasie, szlachcie, elitach.

Nawratek: Wyda mi się, że nie masz racji. Mówisz, że tutaj są przede wszystkim rozważania klasowe, w porządku, ale jak to się dzieje, że ta książka traktuje o Rzeczypospolitej szlacheckiej, natomiast w momencie, gdy zaczyna pokazywać związki z dniem dzisiejszym, mówi tak naprawdę o narodzie polskim

Szadkowski: Też mam problem, że nie jest to książka, która potrafi napęlić nas nadzieją. Kończąc ją wczoraj, stwierdziłem: „Cudownie, 500 stron i znowu żadnego wyjścia”. Czytałem niedawno „Bunt sieci” Edwina Bendyka i też odłożyłem go na stertę książek „beznadziejnych”, bynajmniej nie w sensie deprecjonującym. Jest jednak małe zdanie u Sowy, którego chwycę się jak tonący brzytwy. Sowa chce nam na samym końcu powiedzieć, że podział na centrum i peryferia jest

siłą zewnętrznego wroga, na przykład rozbiory, były dla Polski modernizacyjne. Oddaje za- borcom choćby to, że uwolnili nasze chłopstwo. W jego narracji dokładnie to samo zrobiła PRL i czytając tę książkę dzisiaj, musimy umieścić się w momencie dekolonizacji i od- czytać te fragmenty, które Sowa nam podsuwa, mówiąc: „Spójrzcie, co się dzieje z państwem i pojęciem narodu, w jaki sposób uprzywilejowane warstwy burżuazji narzucają nam pro- jekt narodowy i utrzymują państwo w atrofii”.

Zróbmy antyśmieciową rewolucję

Polskie przepisy odbierają milionom pracujących prawo do zrzeszania się

BOJAN STANISŁAWSKI

Gdy na forum Międzynarodowej Konfederacji Pracy przyjmowano Konwencję nr 87, nikomu się nie śniło, iż ponad 60 lat później w Polsce trzeba będzie kruszyć kopie o ten – jakże podstawowy – akt. W 1948 r. zapisano w nim najważniejsze zasady regulujące stosunki między światem pracy i biznesu. Jedną z tych zasad jest „prawo do koalicji”, gwarantujące pracownikom swobodę tworzenia organizacji zawodowych bez potrzeby uzyskiwania zezwoleń. W Polsce działa ono połowicznie, a winna jest nasza definicja „pracownika”.

Kłopotliwa ustawa

Problem skutecznego egzekwowania prawa do koalicji pojawił się wraz z uchwaleniem

ustawy o związkach zawodowych w 1991 r. Ustawa określa, kto ma prawo do tworzenia związków zawodowych i przystępowania do nich. Prawo takie ma „pracownik”, czyli – jak określa to Kodeks pracy – „osoba zatrudniona na podstawie umowy o pracę, powołania, wyboru, mianowania lub spółdzielczej umowy o pracę”. Tymczasem Polska stała się liderem w zatrudnianiu na podstawie zupełnie innych umów i tym samym podstawowe prawo do koalicji odebrano milionom osób. Jest jednak szansa, że to się wkrótce zmieni. Dwie największe polskie centrale związkowe podjęły dość stanowcze działania.

Blisko rok temu z inicjatywą wystąpił NSZZ „Solidarność”, kierując skargę do Międzynarodowej Organizacji Pracy. W marcu tego roku

MOP odpowiedziała, potwierdzając, że wszyscy świadczący pracę powinni mieć możliwość swobodnego, dobrowolnego zrzeszania się w obronie swoich interesów. MOP sformułowała też szczegółowe rekomendacje dla polskiego rządu.

Jednocześnie Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych, powołując się właśnie na brak możliwości skutecznej realizacji prawa do koalicji przez samozatrudnionych czy pracujących na umowach śmieciowych, podjęło decyzję o złożeniu wniosku do Trybunału Konstytucyjnego w celu zbadania zgodności z konstytucją przepisów ustawy o związkach zawodowych. – Chodzi o definicję, które mają wbrew pozorom ogromne przełożenie na porządek społeczny – wyjaśnia prawnik

ty ustaw mających zablokować patologiczny rozrost „strefy śmieciowej” i – jak mówią działacze – „uratować ZUS”. Ustawy mają doprowadzić do wyrównania dodatkowych kosztów pracy na etacie i na wszystkich „śmieciówkach”. Pracodawcy nie czuliby się wtedy zachęceni do nadużywania cywilnoprawnych form zatrudnienia.

NSZZ „Solidarność” chce objąć kampanią również pracowników etatowych, którzy podpisali umowy na czas określony. Bo w Polsce obok śmieciowych umów cywilnoprawnych funkcjonują też śmieciowe etaty. – Chcemy zaproponować rozwiązania premiujące pracodawców zatrudniających na etaty. Na przykład wysokie odprawy dla osób zatrudnionych na czas określony zwalnianych przed terminem – mówi rzecznik „S” Marek Lewandowski. To ważne posunięcie, bo możliwość ograniczenia czasu trwania umów o pracę jest jedną z najważniejszych barier w zrzeszaniu pracowników. Przystąpienie do związku zawodowego skutkuje albo natychmiastowym wypowiedzeniem, albo nieprzedłużeniem umowy.

Media głównego nurtu sugerują, że „Solidarność” zachłysnęła się sukcesem przy zbieraniu podpisów do referendum emerytalnego. Ale pomysł kampanii antyśmieciowej zrodził się wcześniej. Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, już w październiku zeszłego roku wskazywał na bezradność młodych ludzi, przypominając porażkę demonstracji polskich Oburzonych. – W Polsce tylko NSZZ „Solidarność” potrafi dziś zmobilizować i wyprowadzić na ulice kilkadziesiąt tysięcy ludzi – komentował na konferencji prasowej.

Istotnie, jak pokazują badania CBOS, zaufanie do związków zawodowych rośnie. Tylko między rokiem 2010 a 2011 wskaźnik ten wzrósł z 24 do 35 proc. Wśród osób w wieku 18–24 zaufanie deklarowało 49 proc. badanych. Pytanie tylko, czy deklaracje te wynikają ze zrozumienia możliwości działania związków zawodowych i korzyści, jakie dają przynależność do nich.

Niewykluczone, że rekomendacje MOP i ewentualny wyrok Trybunału Konstytucyjnego spowodują, że więcej osób świadczących pracę będzie miało możliwość zrzeszania się. Pytanie – co to da?

Związki, i co dalej?

Ani rząd, ani pracodawcy nie są dziś zainteresowani tworzeniem warunków prawnych umożliwiających skuteczne działanie związków zawodowych. Kwestia zrzeszania samo-

zatrudnionych i zleceniowców czy dzieloborców już od dawna jest przedmiotem ostrych dyskusji na forum komisji trójstronnej. Nic jednak z tego nie wynika. Rząd i strona biznesowa ucinają zwykle kwestię, odwołując się do obowiązujących przepisów.

Problemem jest nie tylko niemożność zrzeszania się pracujących bez umowy o pracę, ale też brak możliwości realnego reprezentowania tej grupy. – Trzeba sobie zadać pytanie, co możemy dla tych ludzi zrobić. Gdyby udało się wywalczyć dla nich prawo do koalicji, byłby to krok naprzód, ale to dopiero początek. Później trzeba będzie stworzyć instrumentarium prawne, które umożliwi związkom zawodowym działanie w tym obszarze. Do tego jednak potrzebne są chęć i dobra wola rządu – mówi Paweł Śmigieński.

Wola uporządkowania stosunków z organizacjami pracowniczymi to ostatnia rzecz, jakiej można się dziś spodziewać po PO i Donaldzie Tusku. Ekspert w dziedzinie stosunków i prawa pracy prof. Jerzy Wrątny uważa za konieczne utworzenie „hybrydy z elementów prawa cywilnego i prawa pracy”, która stanie się platformą dla skutecznych działań związków zawodowych w tym nowym dla nich obszarze. Mowa jest więc o bardzo poważnym wyzwaniu.

Jak umożliwić? Jak zachęcić?

Niektórzy działacze związkowi patrzą pesymistycznie. – Związki zawodowe już w obecnym prawie, choć kulawym, mają wiele możliwości działania i nie wszystkie wykorzystują. Nie miejmy jednak złudzeń, że „dzielowicze” i „zleceniowicze” zapalają nagle do nas miłością. I nie chodzi nawet o to, że niewiele możemy dla nich w tej chwili zrobić, ale o nasz wizerunek. Młodzi ludzie na śmieciówkach raczej nie ubolewają z powodu braku możliwości zapisania się do takiej organizacji. Nie o tym młodzież rozmawia dziś przy piwie – mówi Janusz Śniadecki, przewodniczący Zrzeszenia Związków Zawodowych Energetyków. – Zachęcić pracowników do wstępowania w nasze szeregi można jedynie tworząc komplementarną, innowacyjną ofertę, której nadal nie mamy – podkreśla.

Już w trakcie debaty na temat referendum emerytalnego pojawiły się jednak głosy, że związki zaczęły wdrażać nową taktykę. Biorą na tapetę nośny temat i starają się działać bez konieczności przeprowadzania realnych mobilizacji, choć powołując się na swój masowy potencjał. Trzeba mieć nadzieję, iż rzeczywistość pozostawia w pełnej gotowości – wszak jest o co walczyć.

Paweł Śmigieński, ekspert OPZZ. – Angielski czy francuski termin, który na polski przekłada się jako „pracownik”, ma w tych językach szersze znaczenie i obejmuje praktycznie wszystkich świadczących pracę w jakiejkolwiek formie. Tymczasem w polskim prawie pracy definicja pracownika jest niezwykle wąska, a na dodatek wylicza się w niej wszystkie kategorie osób, które mogą się organizować w związki zawodowe. Absurdem jest, iż znajdują się wśród nich np. emeryci i renciści, a samozatrudnieni nie – podsumowuje.

Antyśmieciowa „Solidarność”

To nie koniec inicjatyw w tej sprawie. „Solidarność” zapowiada bowiem prawdziwą rewolucję, której spiritus movens będą dwa projek-

Podczas spotkania z Klubem Parlamentarnym Ruchu Palikota Donald Tusk odzegał się od wszelkich ideologii i opowiedział po stronie pragmatyzmu. Mianem ideologii określa się zbiór poglądów – religijnych, politycznych, przyrodniczych, czy artystycznych – służących ludziom o tożsamy poglądach do objaśniania otaczającego ich świata. Społeczną funkcją ideologii jest wyrażanie celów i dopuszczalnych sposobów ich osiągania oraz uzasadnianie ich względami wyższymi niż jednostkowy interes. Zapotrzebowanie na ideologię wynika z właściwego ludziom pytania o sens i sposób istnienia.

Polityka bez ideologii to zatem polityka bez wartości, sprowadzona do skuteczności rzą-

sowani, jest neoliberalny, konserwatywny projekt polityczny?

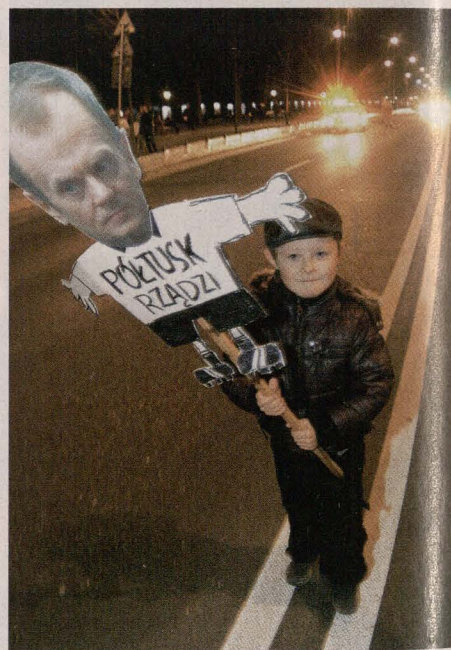
Donald Tusk jest dość inteligentny, aby rozumieć, że ideologia ta z istoty swojej okazuje się skuteczna i satysfakcjonująca dla garstki tych, którzy darwinowską walkę wygrywają, a coraz bardziej frustrująca dla przegrywającej większości. Dlatego premier coraz częściej robi do nas oko, dając do zrozumienia, że on w nic nie wierzy, nawet w hasła wypisane na sztandarach własnego ugrupowania.

Ta ukształtowana przez speców od wizerunku władza staje się więc tylko formą bez treści, która poza igrzyskami (Euro 2012) niczego już nie obiecuje. Nie może nikogo zawieść, bo nie ma jej z czego rozliczać. I taki charakter – w od-

tej głęboko zideologizowanej wizji narodowej wspólnoty budowanej przez PiS przeciwstawia premier swój indywidualistyczny nihilizm.

W epoce hucpy celebrytów upominanie się o interesy kogokolwiek poza sobą samym wychodzi na frajerstwo i zacofanie. Tym to łatwiejsze, im bardziej groteskowe są napoleońskie grymasy Kaczyńskiego. Wielu bowiem obserwatorów tych zmagani słusznie zauważa, że otwarty cynizm premiera jest przynajmniej szczery, podczas gdy pełne samouwielbienia upominanie się o wyższe racje prezesa to nieudolnie kamuflowana żądza władzy.

Czyżby więc nie istniała możliwość uprawiania polityki nasyconej wartościami istotnymi dla społeczeństwa? Ależ istnieje i takie nuty,



Krzysztof Skłodowski

Przeciw polityce bez wartości

Premier robi do nas oko, dając do zrozumienia, że w nic nie wierzy, nawet w hasła ze sztandarów własnego ugrupowania. Ale polityka bez ideologii to czysty egoizm

PIOTR IKONOWICZ

dzenia, a raczej zdolności do utrzymywania się przy władzy. Taką właśnie politykę Tusk prowadził, co dało wymierny efekt w postaci drugiej z rzędu kadencji. Pytanie tylko – w imię czego, a raczej jakich ponadjednostkowych celów i wartości premier trzyma się władzy?

W imię egoizmu. Egoizm pragmatyczny i zdroworoządkowy, bo nie wykracza poza moralność Kalego. Pozostawanie u władzy daje jednostce wiele przyjemności: doskonałe samopoczucie, bycie w centrum uwagi, „życie pełnią życia”. Jednocześnie projekt polityczny Platforma Obywatelska, który dał jednostce – Tuskowi – te wszystkie przyjemności, egoizm ma właśnie na sztandarach. Czym, jeżeli nie uwzniośleniem darwinizmu społecznego, w ramach którego zwycięzca bierze wszystko, a przetrwają tylko najlepiej przysto-

różnieniu od poprzedniego, kiedy to Tusk obiecywał cuda – nosiło exposé premiera ogłoszone po drugim zwycięstwie wyborczym.

To oczywiście nie oznacza, że ta odzeglunująca się od ideologii władza nie ma charakteru klasowego. Rządy PO sprawowane są w interesie najsilniejszych, dużych pracodawców, korporacji, kamieniczników, banków. Tych, których premier lubi spotykać na snobistycznych rautach, gdzie rozdając sobie rozmaite odznaczenia, statuetki i tytuły, sakralizuje się elita.

Świat Tuska jest światem ludzi, którymi się otacza, samców alfa, zwycięskich jednostek, które już dawno zapomniały o możliwości istnienia wspólnoty. A jedyną wspólnotą, jakiej na scenie politycznej i medialnej wolno zaistnieć, jest naród, w który niestrudzenie próbuje się wcielić Jarosław Kaczyński. I to właśnie

odwołujące się do zbiorowej tożsamości przegranej większości, trącając zarówno Solidarną Polskę w wydaniu Tadeusza Cymańskiego upominającego się o opodatkowanie najbogatszych czy nawet Janusza Palikot, którego posłowie blokują eksmisję na bruk, a klub zgłasza „prawo ostatniej koszuli” do nielicytowania jedynego dachu nad głową dłużnika.

Ci politycy także kierują się osobistymi ambicjami, ale nie są przynajmniej tak otwarci cynicy jak główni gracze na scenie. Być może usłyszeli już ciche pomruki wielkiego nieobecnego polskiej sceny politycznej, czyli społeczeństwa.

Piotr Ikonowicz jest lewicowym politykiem i aktywistą. Prowadzi Kancelarię Sprawiedliwości Społecznej, udzielając darmowych porad prawnych

Pożytki z krytyki

LUKASZ PAWŁOWSKI

W opublikowanym w „Przekroju” artykule „Prekariuszki wszystkich zawodów łączcie się” (nr 14/2012 z 2 kwietnia br.) Aleksandra Bilewicz i Julia Kubisa polemizują z felietonem Wojciecha Orlińskiego „Smutek walkoweru, czyli Kasia Tusk jak ojciec Rydzyk”. Orliński zarzuca nowej lewicy przeintelektualizowanie, nadmierną wsobność i ignorowanie tzw. biurowej klasy średniej. To ludzie pracujący w urzędach lub korporacjach, ale żyjący za pensję niższą od średniej krajowej, często zatrudnieni na umowę-zlecenie, pozbawieni świadczeń socjalnych, zależni od finansowego wsparcia rodziny.

Choć na pierwszy rzut oka tego nie widać – wszak to zwykle kobiety w eleganckich garsonkach i panowie w garniturach – zdaniem Orlińskiego są to ludzie biedni. Ich bieda jest jednak „za mało spektakularna”, by wzbudzić zainteresowanie nowej lewicy, która nad ich los przedkłada „tak doniosłe problemy jak dekolonizacja Afryki czy sloterdijska dekonstrukcja baletu awangardowego”. Odmieną grupę tych ludzi oddaje więc lewica walkowerem w ręce innych sił politycznych oraz bezmyślnego konsumpcjonizmu, który biedę nakazuje przykryć modnym ciuchem i korporacyjnym uśmiechem. Ze względu na ich styl życia – owe garnitury, garsonki, elektroniczne gadżety i pociąg do popkultury – lewica ich nie szanuje, twierdzi Orliński.

W odpowiedzi Bilewicz i Kubisa przyznają, że „młoda lewica bywa elitarna, przesiaduje w warszawskich klubokawiarniach i czasem posługuje się językiem, który trudny jest do przyjęcia dla nieinteligentnych środowisk”. Jednocześnie zarzucają jednak publicyście „Gazety” złą wolę i przyjęcie postawy malkontenta, który wskazuje na maluczkim, „gdzie są braki, gdzie posprzątać i odkurzyć oraz gdzie jeszcze zostały zacieki”.

Czytając odpowiedź autorek, odnosi się wrażenie, że Wojciech Orliński zbiera od nich cięgi trochę niesłusznie, bo – jak same przyznają – lewica potrafi być hermetyczna. Publicyście „Gazety” nie musi przecież chodzić wyłącznie o to, by lewicę poszturchać, tym bardziej że głosy zgodne z jego diagnozą wypływały i nadal wypływają ze środowisk samej lewicy.

Przed Dniem Kobiet na stronie internetowej Młodych Socjalistów pojawił się artykuł

Lewica już nie raz wpadła w tarapaty, bo zbyt mocno rozbija swój język na „kulturowy” i „ekonomiczny”

„Manifa dla wybranych”, w którym Justyna Samolińska krytykuje hasło marszu „Przecinyamy pępowinę” nawiązujące do „przecięcia więzów pomiędzy światem polityki a światem Kościoła”. Autorka pisze, że dla niej jako osoby o poglądach lewicowych konieczność rozdzielania Kościoła od państwa jest rzeczą zrozumiałą i że Kościół ma szkodliwy wpływ na działalność feministek. Hasło jest jednak przeciwna. Dlaczego? Otóż feminizm nie musi iść w pakiecie z poglądami antykościelnymi. Przecież kobieta, „która pracuje w sklepie spożywczym, śmieje się z homofobicznych dowcipów, chodzi do kościoła, chrzci dzieci, [...] także może być feministką, której przeszkadza fakt, że szef szczytnie ją w tyłek, że zarabia mniej niż jej kolega z tego samego sklepu, że ma w domu drugi nieodpłatny etat przy garach, mężu i dzieciach, że chce jej wydłużyć wiek emerytalny”. Tymczasem hasło tegorocznej Manify takie osoby najzwyczajniej obraża lub przynajmniej zniechęca do udziału w pochodzie. A szkoda – twierdzi Samolińska – bo choć wiele nas różni, przynajmniej w pewnych kwestiach moglibyśmy się porozumieć.

Brak zrozumienia dla różnorodności potencjalnych sprzymierzeńców lewicy to nie specyfika polska. Lewica w innych krajach także popada w tarapaty, kiedy zbyt mocno rozbija swój język na „kulturowy” oraz „ekonomiczny” i ciąży w kierunku tego pierwszego. Właśnie w tym zjawisku doszukiwał się słabości amerykańskich lewicowców (tam nazywanych „liberałami”) Richard Rorty, którego o niezyczliwość wobec myślenia lewicowego trudno posądzić. W latach 60. XX w. amerykańscy liberałowie – pisze Rorty w książce „Spełnianie obietnicy naszego kraju” – tak przechylili się w kierunku obrony praw mniejszości oraz walki z konserwatyzmem kulturowym, że stracili poparcie konserwatywnych obyczajowo robotników.

Amerykański socjolog Daniel Bell twierdził, że po lewej stronie sceny politycznej nastąpiło „przesunięcie od gospodarki do kultury”. Rorty dodaje, że w jego dokonaniu pomogli akademickiej lewicy intelektualni konserwatywni, ponieważ przechodząc na pole kultury, lewica zniechęcała do siebie znaczną część dawnego elektoratu, a także zostawiała prawicy wolną rękę w sferze gospodarczej.

Nie znaczy to, że walka o zniesienie segregacji rasowej czy lepsze traktowanie gejów była niesłuszna. Problemem był brak proporcji. Rezygnując z zaangażowania w sprawy gospodarcze, lewica – jak twierdzi Rorty – ponosi część odpowiedzialności za wzrost nierówności społecznych, który zaczął się w czasach Reagana.

Z tej lekcji polska lewica powinna wyciągnąć wnioski, tym bardziej że podobną do Rorty’ego diagnozę znajdziemy w wydanej przez Krytykę Polityczną książce „Co z tym Kansas?” amerykańskiego historyka Thomasa Franka. Na zasadnicze pytanie dlaczego mieszkańcy najbiedniejszych części Ameryki wbrew własnemu interesowi ekonomicznemu nie chcą głosować na lewicę, Frank odpowiada podobnie jak Rorty. Zniechęca ich do tego kulturowy wymiar lewicowości, w którym rozplynęły się propozycje naprawy systemu gospodarczego.

„Frank szczegółowo i dowcipnie pokazuje, jak populistyczna prawica zajęła tradycyjne miejsce lewicy na scenie politycznej, a problemy kulturowe wyparły kwestie gospodarcze ze sfery politycznej rywalizacji. [...] Jacek Żakowski w swoim wprowadzeniu dowodzi, że opisany przez Franka proces można odnieść także do Polski, gdzie ogłoszony przez prawicę program solidarnego państwa trafił do ludzi, którzy wydawali się naturalnym elektoratem lewicy”. Czytamy na okładce polskiego wydania tej książki. Polscy lewicowcy są więc świadomi problemów własnego środowiska, rzecz jednak w tym, że nie chcą mówić o nich otwarcie. Zamiast obrażać się na ostre słowa Wojciecha Orlińskiego i innych autorów, warto poświęcić im nieco więcej uwagi.

To bowiem ani pierwsza, ani ostatnia tego rodzaju krytyka lewicy i naprawdę niekoniecznie wpływa ona ze złej woli.

Łukasz Pawłowski jest socjologiem, członkiem redakcji tygodnika „Kultura Liberalna” (www.kulturaliberalna.pl) i doktorantem w Instytucie Socjologii UW.

Dwa lata temu, gdy przymierzałam się do badań nad zjawiskiem „prekariat” w Łodzi, termin ten nie tylko nie był powszechnie znany, ale nawet popularna wyszukiwarka odsyłała do stron obcojęzycznych. Dziś zadomowił się nie tylko w dyskursie naukowym, ale i popularnym. Jego w nim nawiązanie do marksowskiego terminu „proletariat” oraz odniesienie do zjawiska „precarious life”, opisywanego między innymi przez Zygmunta Baumana. Prekariat to nowa klasa, uciskana jak niegdyś proletariatus, lecz niebę-

się na rozmowy kwalifikacyjne i porównać traktowanie kandydatek i kandydatów. Planowaliśmy porównanie liczby odpowiedzi na oferty i liczby zaproszeń na rozmowy – ale tu spotkało nasz zespół badawczy pierwsze zaskoczenie.

Choć grupa badawcza składała się głównie z osób studiujących drugi czy nawet trzeci kierunek, mających już dyplomy magistrów w „rynkowych” zawodach i doświadczenie zawodowe, przez półroczne trwania projektu odpowiedzi na ich oferty było tak mało, że nie

ce sobie z zadaniami, jakie stawia się w tych „pracach”, uważa się, że mają niższe oczekiwania płacowe od kolegów, a to czyni je pożądanymi kandydatkami.

Yuppies nie mogą założyć rodziny

Pierwsze polskie badania nad prekariatem prowadzone były dzięki współpracy z think tankiem feministycznym Ekologia i Sztuka, a potem lewicową siecią feministyczną Rozgwiazda, a ich wyniki opublikowane zostały w sieci w 2010 r. Pierwszy etap badania stano-

Choć uczestnicy badania opisywali swe kariery zawodowe w kategoriach neoliberalnego sukcesu, po kilkunastu minutach dyskusji dochodzili do wniosku, że wszyscy jadą na tym samym wózku: płaca niewystarczająca do założenia rodziny, niepewność zatrudnienia i brak perspektyw na zmianę tej sytuacji. Zarabiali średnio 1,4 tys. zł netto, większość korzystała z pomocy rodziców, niektórzy wciąż z nimi mieszkali. Zarobki wystarczały im na jedzenie, dojazdy, koszty mieszkaniowe – i niewiele więcej. Wszystkie kobiety

czucie. Robili dobrą minę do złej gry, nie skarżyli się na swój los, do nikogo nie mieli pretensji. O niskie płace, brak szansy awansu czy mobbing w pracy nie oskarżali ani szefa, ani rynku pracy. Co najwyżej mieli pretensje do zbyt liberalnej polityki edukacyjnej, na skutek której przegrywają niekiedy konkurencję z posiadaczami mniej prestiżowych dyplomów, którzy zrobili licencjat, by utrzymać się na stanowisku magazyniera czy operatora wózka widłowego. Jedynym elementem ich wspólnej tożsamości było poczucie wyższo-

trudnionym w rozumieniu prawa pracy. Pracujących przy taśmie od „wykształciuchów” różniły: brak poczucia prestiżu związane z pracą za biurkiem i dyplomem, uciążliwość dojazdu do pracy na peryferiach miasta i krytyczna ocena warunków pracy i własnego statusu. Część z nich niezadowolone wyjechała na pracowniczym internetowym forum, gdzie porównują swój zakład do obozu pracy, a siebie do podłogi, którą każdy może deptać. Wykazują też postawę, która w neoliberalnym dyskursie nazywana jest „roszczeniową”, czyli po prostu oczekują od pracodawcy tego, co im się należy, i odwołują się do pewnych wyobrażeń sprawiedliwości społecznej w relacjach pracy.

Jedni i drudzy żyją w świecie, w którym nawet jeśli dziś pracujesz, to jutro niekoniecznie. Pracujący „przy taśmie” „niebieskie kołnierzyki”, tak samo jak zatrudniony w położonym w centrum miasta biurze „różowy kołnierzyk”. Tego drugiego dyplom uniwersytecki nie chroni ani przed bezrobociem, ani przed niskimi zarobkami, ani przed wyzyskiem.

Kobięca twarz prekariatu

Czy prekaryjny wyzysk zrównuje kobiety i mężczyzn? Wydaje się, że nawet wśród nowej klasy prekariatu różnice płci mają znaczenie. Kobiety mogą się godzić na gorsze warunki pracy i niższe zarobki, bo z tego powodu stają się bardziej pożądanymi pracownikami – zarówno przy taśmie, jak i w biurach. Prekariusze płci obojga częściowo mieszczą się w definicji nowych biednych, pracujących, ale mimo to niezarabiających na zaspokojenie podstawowych potrzeb.

Z wieloletniego dorobku badań nad biedą wynika, że kobiety są bardziej narażone na popadnięcie w biedę, a ryzyko to zwiększa się, gdy mają na utrzymaniu dzieci lub innych członków rodziny. Kobiety odpowiedzialne są nie tylko za opiekę nad bliskimi, ale także za zaspokojenie ich potrzeb materialnych: karmienie czy odzież. Sfaminiżowane gospodarstwa domowe w większym stopniu narażone są na popadnięcie w biedę, podobnie jak rodziny wielodzietne lub matki samodzielnie wychowujące dzieci. Niski wskaźnik urodzeń, mimo funkcjonowania restrykcyjnej ustawy antyaborcyjnej, jest wyraźnym sygnałem świadomości tej sytuacji nie tylko wśród naukowców i polityków społecznych.

Izabela Desperak jest socjolożką, feministką, wykłada w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego

Różowe i niebieskie kołnierzyki w świecie niepewności

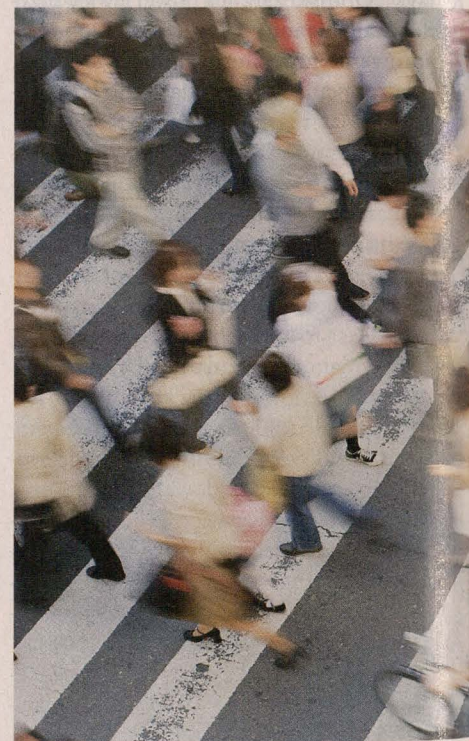
Co łączy młodych absolwentów prestiżowych uczelni i pracujących przy taśmie? W każdej chwili mogą stać się „ludźmi zbędnymi”. O badaniach naukowych nad prekariatem pisze **IZABELA DESPERAK**

dać już klasą robotniczą. Doświadcza prekaryjności – czyli niepewności życia, w którym nic nie jest stałe: ani zawód, ani posada, ani małżeństwo.

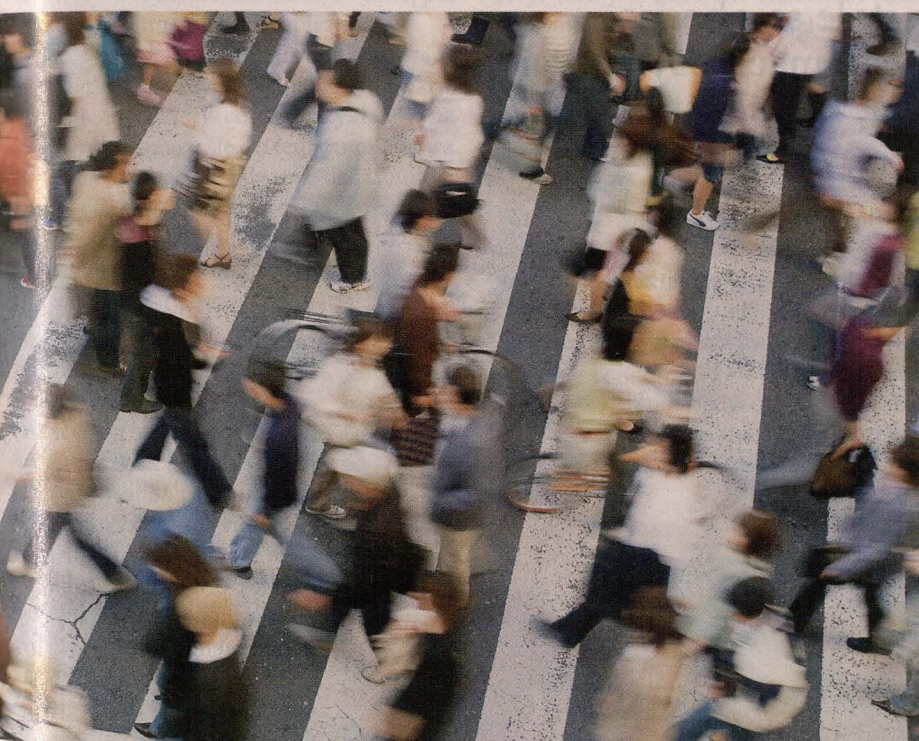
Odpowiedzi na ofertę brak

Łódzkie badania nad prekariatem zainspirowane zostały zaskakującymi wynikami eksperymentu przeprowadzonego w 2007 r. Jego celem było zbadanie, czy i w jaki sposób płeć wpływa na traktowanie kobiet i mężczyzn w procesie rekrutacji. Studenci i studentki Uniwersytetu Łódzkiego w parach przygotowywali profile zawodowe, które dla każdej z par były identyczne, poza danymi osobowymi i płcią. Przez kilka miesięcy rozsyłali CV i odpowiadali na ogłoszenia, by wreszcie udać

można było przeprowadzić zaplanowanej analizy ilościowej. Zaskakujący był również fakt, że na rozmowy nieco częściej zapraszano kobiety niż mężczyzn i miały one trochę bardziej obiecujący przebieg, nawet gdy zadawano dyskryminujące pytania o stan cywilny czy sytuację osobistą. Zjawisko to można wytłumaczyć jedynie tym, że zarówno kandydaci, jak i kandydatki (którzy nie ujawniali, że są osobami studiującymi) otrzymywali propozycje, które wcale nie prowadziły do zatrudnienia: szkoleń, bezpłatnej akwizycji, stażów lub w najlepszym razie „zatrudnienia” w bliżej nieokreślonej przyszłości, ale bez umowy o pracę. Były to zazwyczaj Mcprace operatorów call center czy pracowników obsługi klienta. Kobiety uchodzą za lepiej radzą-



wił wywiad z grupą, którą do niedawna nazywano yuppies: młodymi, wykształconymi, wielkomiejskimi specjalistami. Byli to w większości absolwenci studiów magisterskich na renomowanych uczelniach, część skończyła więcej niż jeden kierunek studiów, dwoje w trakcie badania było doktorantami, wszyscy pracowali zarobkowo. Większość znała języki, miała doświadczenie zawodowe, umiejętności autoprezentacyjne i znała marketingową nowomowę – nie byli „loose-rami” z nikomu niepotrzebnym licencjatem marketingu trzeciorzędnej prywatnej szkoły. Dla potrzeb badania nazwani zostali „wykształciuchami”. Nie byli świadomi, że kryterium rekrutacji była przynależność do nowej klasy prekariatu.



zgadzały się, że w ich sytuacji zawodowej nie ma mowy o planowaniu dziecka (mówił też o tym jeden z mężczyzn).

Pierwszą z opublikowanych analiz zatytułowaliśmy „Młodzi z Łodzi”, co pesymistycznie nawiązywało do lokalnej akcji mającej za trzymać w mieście wykształconych i ambitnych. Ale nie tylko w Łodzi, gdzie zarobki są niskie, a rynek pracy wyjątkowo niepewny, młodzi wykształceni odkrywają, że mimo łatwej edukacji i zdobycia wymarzonego dyplomu grozi im zasilenie kategorii „ludzi zbędnych” – o których zresztą uczyli się na studiach. Odwoływali się jednak nie do Baumana czy Czarnowskiego, lecz do dyskursu dzielącego ludzi na przedsiębiorczych homo oeconomicusów i beznadziejnych nieudaczników na własne ży-

ści związane z prestiżem dyplomu i z tym, że nie muszą pracować przy taśmie.

Roszczeniowi pracujący?

W kolejnym etapie badania porównaliśmy grupę „wykształciuchów” z pracującymi przy taśmie, przebadanymi w ramach niejawnego obserwacji przez Judytę Śmiałek. Byli to pracujący, choć niekoniecznie pracownicy: mimo że funkcjonowanie specjalnych stref ekonomicznych ma służyć zatrudnianiu, pracujący tam dzielą się na „stałych” i „tymczasowych”. Jedni i drudzy zarabiają mniej więcej tyle co „wykształciuchy”, choć „zatrudnienie” przez agencję pracy tymczasowej oznacza dla części z nich zarobki poniżej ustawowej pensji minimalnej, przysługującej wyłącznie za-

Męski orzeł, krwawa flaga

O symbolach narodowych nie mówi się na co dzień, a jednak ledwo zauważalne stale są obecne: na monetach, pikietach, w reklamach czy sporcie. Nie trzeba specjalnego święta, by nieustannie żyły w świadomości społecznej

JACEK WAJSZCZAK

O tym, że „Ojczyznę kochać trzeba i szanować, nie deptać flagi i nie pluć na godło” śpiewał Muniek Staszczuk, a wraz z nim spora część społeczeństwa. Podczas zakrapianych imprez obywateli przypominają sobie, jak znaczące w ich życiu są symbole narodowe. I choć nie wszystkim to się podoba, jej słowa są bardziej popularne niż „Katechizm polskiego dziecka” Władysława Bełzy z orłem białym jako znakiem twoim.

Piewcy narodowej tradycji często wyrażają żal, że Polacy nie obnoszą się ze swoimi symbolami tak dumnie jak np. Amerykanie czy Brytyjczycy. Niedostępnym przykładem zdają się tu być amerykańskie flagi na stacjach benzynowych czy minimorisy z Union Jackiem. Komercyjnego użycia narodowych symboli zabrania wprowadzić ustawa, ale to chyba nie tu tkwi problem.

Ten latawiec nie poleci

Niechęć do narodowych symboli może wynikać z powiązania ich z martyrologią – według popularnej interpretacji czerwien pol-

skiej flagi symbolizuje krew tych, którzy za nią polegli.

O tym, jak silne to skojarzenia, parę lat temu przekonał się „ojciec branding” Wally Olins poproszony o stworzenie Narodowej Strategii Promocyjnej dla Polski. Jego wizja marki Polska, oparta na takich atrybutach jak ener-



Drink Teraz Polska

gia, ambicja, talent i pragmatyzm, a streszczona hasłem „Twórcze napięcie”, spotkała się z całkowitym niezrozumieniem i współpracę zawieszono. Z podobnie chłodnym przyjęciem spotkało się również logo latawiec mające promować Polskę za granicą. Zarzucano mu, że jest zbyt lekkie, a przede wszystkim niewiele mówi o polskiej historii. Wysiłek projektantów, którzy na latawcu umieścili białą-czerwoną szachownicę mającą być gestem w stronę polskich lotników z czasów II wojny światowej, nie został doceniony.

Nie znaczy to bynajmniej, że polskie symbole narodowe występują jedynie od wielkiego patriotycznego dzwonu. Wraz z upadkiem PRL skończył się państwowy monopol na używanie barw białą-czerwonych i orla białego. Do tego czasu pojawiały się one głównie przy okazji partyjnych wieców lub też po drugiej stronie barykady – podczas robotniczych strajków.

Pierwszym znaczącym przykładem innego zastosowania polskiego symbolu narodowego jest istniejące do dziś godło promocyjne Teraz Polska. Pomysł na jego stworzenie pojawił się w czasie inicjacji wol-

nego rynku, kiedy to – jak można przeczytać w materiałach promocyjnych – „otwarcie granic na towary importowane pozwoliło społeczeństwu poznać nowe możliwości konsumpcji”. Godło Teraz Polska jest objęte patronatem prezydenta, stając się pieczęcią polskiej jakości, czy raczej swojskości. Można na nie trafić właściwie wszędzie: na białym serze, wędlinie, na koszuli, kosmetykach, na posadzce, na świątecznej choince, na tachografie do pojazdów szynowych i w agencji ubezpieczeniowej. Wszystkie przypadki zebrane przez 20 lat funkcjonowania godła tworzą barwną kolekcję osobliwości. Nagradzano nim to, co tradycyjne, ale też to, co do tej polskiej tradycji miało zostać wpisane.

Godło Teraz Polska stało się inspiracją do tworzenia licznych nieoficjalnych wariacji. Do najbardziej znanych przykładów należą te odwołujące się do tematu pijaństwa. Wpisana w kwadrat falująca flaga cudownie przemienia się w rozkołysany napój zamknięty w butelce, kieliszku lub w szklance. Po kształcie naczyń można się domyślać, że czerwien w nich zawarta to już nie krew poległych, ale raczej wino. Czerwono-biały kieliszek znalazł się na okładce płyty Stasia, którego krytycy muzyczni ze względu na teksty porównują do Kazika, autora znaczącej w tych okolicznościach piosenki „Polska”. Nie należy także zapominać o wersji 3D promocyjnego godła, czyli bezbarwno-czerwonym drinku Teraz Polska. I chociaż wymienione przykłady nie są tak popularne jak oryginalne logo, to pokazują, jak flaga narodowa dosłownie napęla się znaczeniami. W tym przypadku jest to słynny „saoul comme un Polonais”, czyli znany w kraju i za granicą urok polskiego pijaństwa.

Polska jest kobietą, a orzeł nie

Afirmacja swojskości to zresztą jeden z ważniejszych tropów, który pomaga zrozumieć praktyczne zastosowanie narodowych symboli.

Jeden z browarów promował swoje produkty reklamą, w której dwa orły częstują strusia mocnym piwem. Chwilę później struś zanurza głowę w piasek, a „mocne orły” idą dalej. Reklama staje się utworem ku pokrzepieniu narodowych serc: oto białe drapieżniki kon-

frontują się z obcym, egzotycznym ptakiem i oczywiście wychodzą z tej potyczki zwycięsko. Śmiało więc zamiast reklamowego hasła „Tylko dla orłów!” można zawołać „Tylko dla Polaków!”. Orzeł-Polak jest waleczny, silny, a czasem lekko zadziorny. Wizerunek taki pojawia się również na logo pewnej partii, przy okazji sportowych wydarzeń czy na T-shirtach skrajnie prawicowych organizacji.

Cztery lata temu jeden z dzienników z okazji meczu Polska – Austria na swojej okładce umieścił hardo spoglądającego orla ze wskazującym palco-pięcią, a pod nim hasło: „Orle Białe, prowadź naszych!” i dopiskiem „Wywieśmy tę gazetę w oknach! Pokażmy, że tu mieszkają Polacy”. Orzeł biały znany

jaźni”. Jako idealne typy takich wspólnot prof. Janion wymienia staropolskich „panów-braci”, husarów i ułanów, filomatów i filaretów, a także legionistów Piłsudskiego, tworzących nierozwalny łańcuch pokoleń. Jedynie męska wspólnota okazuje się mieć moc tworzenia państwa – w przeciwieństwie do rodziny, która jest tylko w stanie umożliwić przetrwanie gatunku.

O tym, jak silne jest to wyobrażenie, świadczą protesty i zaproszenie przed sąd grupy Łódź Kaliska, która orłem białym uczyniła nagą i pewnie spoglądającą kobietę. Etykieta narodowej obrzędowości przewiduje miejsce dla kobiety, ale po pierwsze nie może być ona dzielnym godłem orłem, a po drugie dobrze, żeby była umęczona, a najlepiej częściowo odarta z białą-czerwonych szat.

Biało-tęczowa

Za białą-czerwoną flagi chwyta się również na różnego rodzaju manifestacjach, strajkach oraz protestach i to nie tylko w miesięcznicy pod Pałacem Prezydenckim

czy na marszach skrajnej prawicy. Coraz częściej sięgają również po nie ci, którzy hasła „narodowe” wcale nie mają wpisane w nazwę. Biało-czerwona pojawia więc na Manifie, Kolorowej Niepodległej czy Marszu Wyzwolenia Konopi; czasem z dodatkiem jakiegoś elementu, na przykład liścia marihuany. Z jednej strony to przeciwstawianie się monopolizowaniu dyskursu wartości przez środowiska konserwatywne. Z drugiej jednak zdaje się to być symbolicznym

odwołaniem do wyobrażonej wspólnoty narodowej, która popierać ma postulaty demonstrujących.

Procesowi globalizacji towarzyszy wzrost zainteresowania lokalnością, a idea narodu jest nadal atrakcyjna. Używanie flagi i godła wspiera wiarę w odnalezienie się we wspólnocie silnej, zwartej i swojskiej, chroniącej przed niepojętą różnorodnością tego świata.

Jacek Wajszczak jest antropologiem kultury z UW, prowadzi badania nad banalnym nacjonalizmem w Polsce



Projekt okładki na 15. urodziny polskiej edycji „Playboya”; logo i plakat Patriotycznych Walentynek, czyli akcji Kocham Polskę zainicjowanej przez Młodzież Wszechpolską

z nudnych tablic na ścianach urzędów okazuje się być atrakcyjnym, umięśnionym i zadowolonym z siebie mężczyzną. Dla zdobycia większej sympatii często demonstruje różne familiarne zachowania jak mrugnięcie okiem, gest pozdrowienia czy podniesiony kciuk. W stosunku do wrogów grozi jednak palcem lub pięścią, demonstruje bicepsy.

Jak pisała Maria Janion w „Niesamowitej Słowiańszczyźnie”: „polska kultura narodowa jest kulturą wybitnie męską. W jej obrazie na plan pierwszy wysuwają się związki homospołeczne, więzi męskiego braterstwa i przy-

Biało-czerwona flaga obok tęczęj LGBT na feministycznej Manifie



„Umarłem... Zmartwychwstałem
w wieku 50 lat”

Zza zasłony odurzenia

ZDJĘCIA I TEKST ULA WIZNEROWICZ

Pokryte kurzem rzeczy, koty biegające w poszukiwaniu resztek jedzenia, pajęczyny i odór alkoholu. To tylko część chaosu, który zastałam w rodzinnej wsi Palmowo w Wielkopolsce. Przez 15 lat byłam częścią tej społeczności i tak jak większość akceptowałam egzystencję w takim otoczeniu. Projekt „Behind the Curtain” to cykl zdjęć, które pokazują moją podróż poprzez historie mężczyzn i kobiet borykających się z alkoholizmem. W ciągu roku przeprowadziłam kilkanaście wywiadów z osobami, które fotografowałam, ich rodzinami i specjalistami od uzależnień. Chciałam lepiej zrozumieć, w czym tkwili moi dawni sąsiedzi.

Najbardziej poruszające było uczestnictwo w zajęciach terapii uzależnień. Osoba decydująca się na leczenie musi podpisać zobowiązanie do przestrzegania zasad. Nawet jednorazowe ich złamanie powoduje usunięcie z terapii. Tylko ok. 30 proc. uczestników terapii przestaje pić alkohol, kolejne 30 proc. pije od czasu do czasu, a reszta wraca do nałogu. Ludzie niechętnie akceptują fakt, że alkoholizm to choroba a nie własny wybór. Większość rodzin zupełnie nie wie, w jaki sposób może pomóc osobie chorej, a często same nieświadomie pomagają w picciu. Członkowie tych rodzin cierpią na chorobę nazywaną współuzależnieniem. Kiedy próbowałam wytłumaczyć synowi sąsiada, na czym ono polega. On przerwał mi, mówiąc, że przecież nie ma problemu z alkoholem. W rzeczywistości współuzależnienie polega na zaburzeniu prawidłowych relacji między członkami rodziny uzależnionego i nie ma nic wspólnego z samym spożywaniem alkoholu. Problem ten dotyczy najczęściej żon, gdyż to one przejmują na siebie odpowiedzialność za rodziny.

Ula Wiznerowicz jest absolwentką Wydziału Fotografii Middlesex University w Londynie. Jej projekt „Behind the Curtain” zajął trzecie miejsce w konkursie FotoVisura Grant w Nowym Jorku oraz otrzymał nagrodę londyńskiej Saatchi Gallery i Channel 4. Zdjęcia można będzie obejrzeć w czerwcu w Suwałkach, a następnie w Rybniku, Łodzi i we Wrocławiu.



↑ „Kiedy próbowałem przekonać brata, aby zapisał się na terapię antyalkoholową, obraził się i nie odwiedzał mnie przez trzy miesiące. Martwiłam się, więc poszłam sprawdzić, czy wszystko OK. Po długim czasie nawoływania i pukania do drzwi jego domu udało mi się wejść. Byłam zaszokowana tym, co ujrzałam”

→ „Czasami budzę się w nocy i w strachu nasłuchuję, czy mąż jeszcze oddycha”



← Józef K. (1965–2012), Kwiatkowo

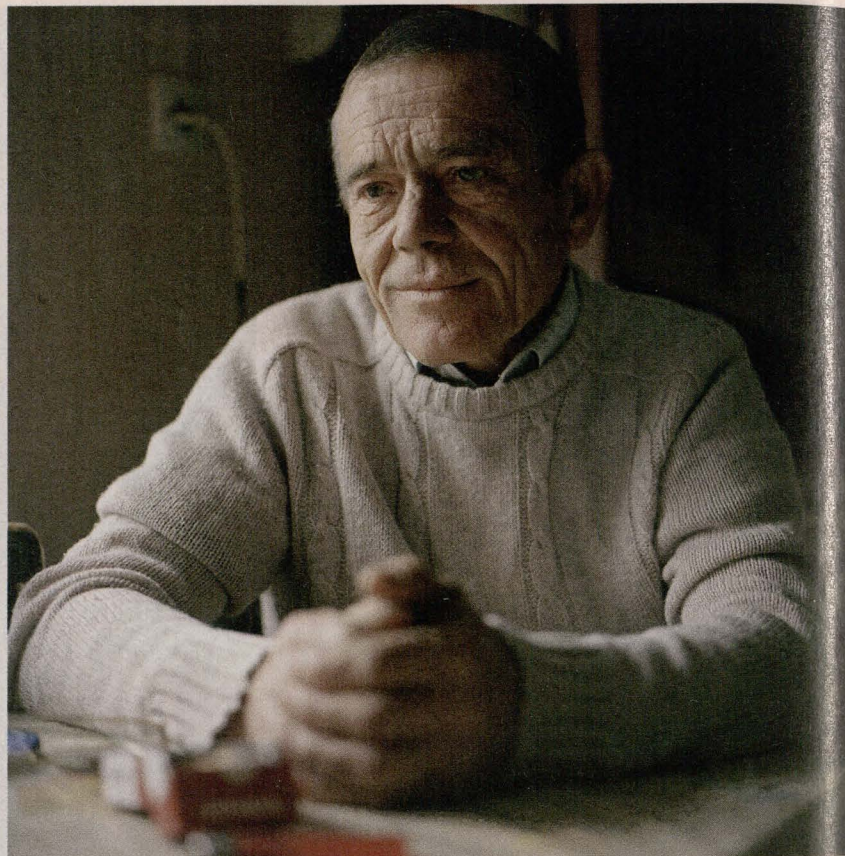
↓ „Było nas czterdzieścioro w grupie, a skończyło tylko czworo”





↑ „Tutaj powinna stać teraz willa, gdybym tych pieniędzy nie przepił. Budziłem się w nocy i sprawdziłem, czy została jakaś setka na rano”

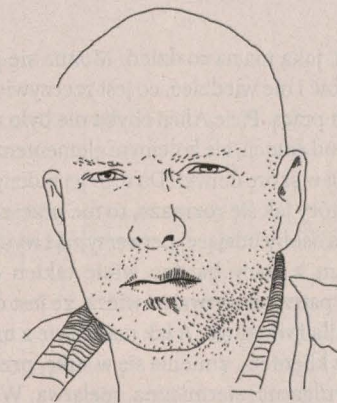
Palmowo



↑ „Kiedy nie ma alkoholu do zaoferowania, nie ma też znajomych. Wtedy jest ciężko”

← „Gdyby teściowa nie zawiadomiła policji, to by mnie już tu nie było”

Plagiaty i pastisze



HUBERT KLIMKO-DOBRZANIECKI

Autor felietonu
jest pisarzem

Nie o płytę Lecha Janerki pt. „Plagiaty” tu idzie. Idzie o polityków i naukowców oraz o sportowców, którzy naukowcami byli i politykami zostali. Pod koniec marca świat nasz mały obiegła wiadomość, że prezydent Węgier, medalista w szermierze z doktoratem, Pal Schmitt został pozbawiony tytułu naukowego z powodu plagiatu. Bardzo kompetentna komisja uniwersytecka udowodniła mu, że zakosił 197 z 215 stron pracy Bułgara Nikołaja Georgiewa na potrzeby własnej dysertacji. Plagiat, w skrócie pisząc, to kradzież cudzego utworu lub pomysłu. Na przykład przedstawienie pod swoim nazwiskiem cudzej pracy magisterskiej lub doktorskiej. W świecie nauki plagiat jest szczególnie niechlubnym przestępstwem dyskwalifikującym autora całkowicie z uczestnictwa w środowisku i dotyczy to zarówno studentów, jak i pracowników naukowych. Prezydent nie miał wyjścia. Podał się do dymisji, a dymisję zatwierdziło 338 posłów. Pięciu było przeciw. Sześciu się wstrzymało.

Dawno temu, w Polsce, nie na Węgrzech, studiowałem filozofię. Miałem kolegę na roku o wdzięcznej ksywie Syn Rzemieślnika. Ponieważ ów student z uporem mania podkreślał, że jest potomkiem kaletnika, obdarowaliśmy go takim przezwiskiem. Otóż kaletnika syn nie należał nigdy do zbyt bystrych w temacie, ale był pracowity, regularnie chodził na zajęcia, nie pił alkoholu, nie palił fajek, nie przeklinał, nie łamał serc niewieścich czy chłopięcych, wszystko dokładnie notował, nie wychylał się, chodził na mszę i przyjmował do buzi komunię. Aż doszedł do piątego roku. Obronił pracę magisterską i na czas złożył podanie o przyjęcie na studia doktoranckie. Moja koleżanka, wybitna studentka, wybitna w temacie, nie dostała się w tamtym rozdaniu. Na czas papierków nie złożyła. Potem nasze drogi się rozeszły. Koleżanka wyjechała do Paryża. Ja też wyjechałem, a Syn Rzemieślnika pozostał na uczelni. Po latach, a dokładnie w grudniu 2010 r., spotkaliśmy się we Francji. Przebywałem tam, akurat, promując przekład mojej książki. Już rane

siny pukał do drzwi i kończyliśmy następną butelkę wina, gdy Tamara powiedziała: „A wiesz, że Syn Rzemieślnika, no, pamiętasz go, jest profesorem na naszej uczelni?”. „Wiedziałem, że daleko zajdzie. Upór, systematyczność, brak własnych pomysłów – to klucz do kariery akademickiej w Polsce” – zażartowałem. „Otóż to. Brak własnych pomysłów” – podchwyciła Tamara. „Była ponoć afera przy jego dysertacji. Okazało się, że zakosił pracę jakiemuś Gruzinowi i się podpisał. Wiesz, te gruzińskie literki... Myślał, że nikt się nie pokapuje, bo zapłacił innemu Gruzinowi, który znał polski, za przekład. Tyle że chyba za mało mu zapłacił, bo tamten zaczął go szantażować. Syn Rzemieślnika nie chciał więcej zapłacić za swój przełożony doktorat, więc tłumacz plagiatu doniósł na uczelnię. I kiedy zrobiło się gorąco, świeży doktorek wyskoczył z portfela z zaległym procentem. Szantażysta odwołał swoje rewelacje, a kariera naukowa naszego kolegi przebiegła już prosto i spokojnie. Choć pewnie musiał iść potem do spowiedzi i przeprosić Boga za popełniony grzech. Gruzina, któremu zakosił pracę, z pewnością nie przeprosił. Nie byłby teraz profesorem” – dodała koleżanka. Więc sy-

tuacja jest następująca: Węgrzy będą musieli sobie wybrać nowego prezydenta. Jeśli ten nowy będzie miał jakiś tytuł naukowy, trzeba go będzie prześwietlić. Myśmymy nie mieli takich problemów z Lechem Wałęsą. Jego kwalifikacje i wykształcenie były transparentne, a doktoraty ma pewne, bo honorowe. Mało, to był elektryk z powołania, bo takiego spięcia jak on jeszcze nikt nie wywołał w tej części Europy. Nie wspominając o jego pozazawodowym hobby, czyli skakaniu przez płoty. Druga rzecz to stan nauki polskiej. Myślę, że „Synów Rzemieślników” jest więcej. W ostatnich latach wręcz się mnożą, szczególnie na niepaństwowych uczelniach wyższych. Przecież jeden z głównych oszołomów kościelnych, ksiądz Natanek, doktorat ma. Ja nie wierzę, że to jest prawdziwy doktorat. Kto wie? Może jego promotorzy, komisja i tak dalej też mieli doktoraty pozałatwiane w podobny sposób jak Syn Rzemieślnika? Kurczę, a może mi i im się wszystko pokićkało i mówimy tu o pastiszu, który często bywa mylony z plagiatem? Bo według definicji pastisz to utwór naśladowujący cechy dzieła lub stylu autora. Często łączy i cechy, i styl. Przecież pastisz ma pełnić rolę żartobliwą. Ma być zabawą literacką. Ja sam napisałem kiedyś opowiadanie pastiszujące styl i cechy jednego z moich ulubionych pisarzy. Nawet zatytułowałem je „Plagiat” i się podpisałem. Może prezydent Węgier, Pal Schmitt, został niesłusznie pozbawiony doktoratu i niesłusznie podał się do dymisji? Może on tylko napisał pastisz na podstawie pracy Nikołaja Georgiewa? Może komisja naukowa dyskwalifikująca doktorat prezydenta zrobiła sobie jaja na prima aprilis? Nie wiem. Sprawy do końca nie znam. Nie studiowałem z prezydentem i nie znałem Georgiewa. Syna Rzemieślnika natomiast znałem. Studiowałem z Synem Rzemieślnika i w gruzińsko-polskie pastisze trudno mi uwierzyć. Więc wolałbym, żeby kolega poszedł w ślady swego ojca i zajął się uczciwą robotą kaletniczą. Filozofia to jednak umiłowanie mądrości i niech tak pozostanie na wieki wieków. Amen.



Gdy już się nie prostytuuję

Ludzie są tak zablokowani albo zakłamanii, że żyją daleko od swoich prawdziwych pragnień. Czasem je realizują z prostytutkami, zamiast z partnerkami – opowieść byłej prostytutki spisała **JUSTYNA POBIEDZIŃSKA**

Na „Sponsoring” Małgorzaty Szumowskiej poszłam sama. Po tym filmie chciało mi się wymiotować. Z kina do domu mam blisko, ale szłam prawie godzinę. Nogi miałam ciężkie, jak nie moje, powłóczyłam nimi. Właściwie to nie pamiętam tej drogi.

To tak, jak przeżywasz szok – nagle ci odchodzi wszystkie siły.

Rozpłakałam się już na początku. Było tam takie zdanie, dosyć popularne, że z tym nałogiem jest jak z papierosami, że trudno od niego odejść. Utarta prawda, ale jak się ją usłyszy i też tak czujesz, to bardzo dotyka.

Cały film trzymałam w rękawie chusteczki. Bardzo mnie ten obraz dotknął, choć nie było w nim dużo treści, agresywnego przekazu. Może są dziewczyny z branży, które jakoś lekko do tego podchodzą – myślą sobie: było to było – może podchodzą do tego mniej emocjonalnie, bo to wszystko nigdy nie robiło na nich takiego wrażenia jak na mnie.

Jakie to wrażenie? Że nie byłam w porządku w stosunku do siebie samej.

Ten film jest prawdziwy. Naprawdę tak jest. Widać, że przed napisaniem scenariusza ktoś się bardzo postarał. Aktorki też zagrały wspólnie. Dla mnie to było realne, jakbym tam wszędzie z nimi była.

Maski

Bliższa mi jest Lola. Nie dlatego, że była delikatna albo krucha, ale dlatego, że pokazany był jej dom, zwykła relacja z rodzicami i jej dyskomfort spowodowany tym, że żyje w kłamstwie.

I ta jej naiwność.

Bardzo prawdziwie też wyglądała Alicja. Znam takie dziewczyny. Ukrywają się pod maską wulgarności. Alicja robiła z siebie sucz. To wszystko jest grane, to jest tłumienie swoich prawdziwych emocji. Wiadomo, jak uprawiasz seks za pieniądze, musisz sobie z tym jakoś radzić. Nie każda w pracy potrafi zachować taką

twarz, jaką ma na co dzień. Można się potem pogubić i nie wiedzieć, co jest rzeczywistością, co jest pracą. Picie Alicji chyba nie było uciekiem od emocji, ale kolejnym elementem wchodzenia w skórę dziwki. Do tego jej mocny makijaż, który jak się rozmaże, to nie przeszkadza. Maską osoby udającej perwersyjną i wyuzdaną.

Znam z pracy bardzo wiele takich dziewczyn: patrzysz na twarz i wiesz, że jest delikatna, miła i wrażliwa. A jak ma relację z mężczyzną, z klientem, zmienia się w sukę, przeklina, jest wulgarna, siemiężna, niełatwa. Widzisz, że to się kłóci z tym, jaka jest naprawdę.

A jaka jest naprawdę, widzisz w momentach, kiedy się zamyśli albo robi coś, nie myśląc, że ktoś ją obserwuje.

Dziewczyny ubierają się w grubą skórę, żeby chronić siebie. Żeby nikt nie miał wglądu do środka ciebie.

Lola siebie nie chroniła. Nawet jej lekki makijaż na dzień i na wieczór, jej lekkie, niemal dziewczęce sukienki podkreślały jej niewinność. Fajnie, że to tak zostało pokazane. Że prostytutką może być dziewczyna, która tak właśnie wygląda: delikatnie, dziewczęco, świeżo; która jest infantylna i piegowata.

Ale niegłupia.

Zwyczajna namiętność

Była tam taka scena, jak Lola kocha się czule i namiętnie z młodym mężczyzną. Myślałam, że to jej chłopak, i bardzo się zdziwiłam, kiedy okazało się, że on jej płaci.

Taki układ może być pułapką, można się w nim zatracić. To było widać u Loli, bo potem miała problem ze swoim chłopakiem, nie chciała się z nim kochać. Przy tym kliencie musiała się czuć piękna, pożądana. Dostawała to, czego pragnie każda kobieta od mężczyzny, który ją kocha.

Miałam tak z moim chłopakiem.

Był klient, z którym mam kontakt do dziś. E-mailowy i telefoniczny – bardzo się lubimy. To starszy, bardzo mądry i zadbany mężczyzna.

Niezwykle miło spędzało nam się razem czas. Każde nasze spotkanie było optymalne, wyreżyserowane, celebrowane jak święto. Kolacja, wino i świetny seks. Wracałam potem do domu i niby miałam w nim to samo, ale zawsze brakowało paru elementów. Chłopak był może mniej przystojny, do kolacji siadał w zwykłym podkoszulku, nie w pięknej koszuli... Niby drobiazgi. Ale mogą się przekładać na to, jak jest w łóżku.

Wiesz, co możesz mieć, i może ci tego brakować.

Lola miała tak z tym młodym klientem. Było widać, że to dla niej coś ważnego, coś innego. Potem z chłopakiem w domu... no, jak z chłopakiem w domu.

Zwyczajnie.

Krucha materia

Myślę, że takie delikatne dziewczyny jak Lola, takie, które nie kreują się na wampy, lepiej czują się z mężczyznami, którzy są – jak by to powiedzieć – taką kruchą materią.

Ta scena w biurze, kiedy dojrzały mężczyzna płacze: to była krucha materia. Wielu mężczyzn, którzy do mnie przychodzili, potrzebowali mojego wsparcia, nie ciała. Z takimi mężczyznami jesteś na jednym poziomie. Nie czujesz się zagrożona.

Zdumiały mnie reakcje ludzi w kinie. Podczas tej sceny, kiedy ten mężczyzna płakał, publiczność dosłownie wyła ze śmiechu. A ja zastanawiałam się, dlaczego płakał. Może był impotentem, a może dawno nie miał kobiety? Może żył w złym związku? Może jego żona nie pozwalała mu dotykać miejsc intymnych?

Sama miałam wielu klientów, którzy płakali. Jeden, bardzo znany w mieście biznesmen, ma piękną żonę, małe dziecko. Zawsze płakał. Mówił, że nie ma po co wracać do domu. „Tam jest mój syn, muszę tam wrócić” – mówił. I płakał. Nie był rozumiany w swoim związku. Pamiętam też klienta, który w środku nocy wyszedł z domu i przyszedł do agencji. Pokłócił się z żoną o dziecko, zakrzyczała go,



→ obraziła. Mówił, że żona traktuje go jak powietrze, że go nie widzi. Był zdruzgotany. Przyszedł, bo chciał z kimś pogadać.

Ja zawsze widziałam w moich klientach ludzi. Może dlatego, że ludzie mnie ciekawią, lubię ich obserwować, zastanawiać się, dlaczego są, jacy są i dlaczego robią to, co robią.

Nie wiem, co w tej scenie tak bardzo rozśmieszyło publiczność.

Reakcje

Film widziałam w weekend: premiera, pełna sala, głównie pary. Nie tylko młodzi ludzie, ale też tacy koło pięćdziesiątki, dojrzały.

Chyba nie zrozumieli.

Może nie chcą rozumieć? A może czegoś innego się spodziewali?

Obok mnie siedział starszy mężczyzna z bardzo młodą dziewczyną. To nie była jego córka, zresztą podsłuchałam ich – dopiero się poznawali. Może to był taki układ jak w filmie. Mężczyzna skomentował film dwoma słowami: „Dość trywialny”. Żalowałam, że nie mogę z nim porozmawiać, zapytać, dlaczego tak myśli. Potem powiedział jeszcze do niej: „Zobacz, sponsoring i od razu pełne kino”.

Zastanawiałam się potem, czy w którejś z męskich ról zobaczył siebie.

Z drugiej strony siedziała inna para, z jakąś dziewczyną, chyba ich przyjaciółką. Przed seansem wręczyli jej zaproszenie na swój ślub, rozmawiali o przygotowaniach. Potem, kiedy w filmie była scena, w której klient obsikuje Joannę, ta przyszła żona powiedziała głośno: „A fu!”.

Pomyślałam sobie, że przez to jej „a fu” ten chłopak nigdy już jej nie powie, że może chciałby tego spróbować.

A jeśli będzie chciał, zrobi to z inną kobietą. Nie z nią.

Ta dziewczyna zachowała się tak, jakby nie wiedziała, że takie rzeczy są, że ludzie je robią, że to może kogoś podniecać.

Publiczność też ostro zareagowała, kiedy zobaczyła nagą Joannę. Jakby pierwszy raz w życiu widzieli kobietę nago.

Wabiki na Polaków

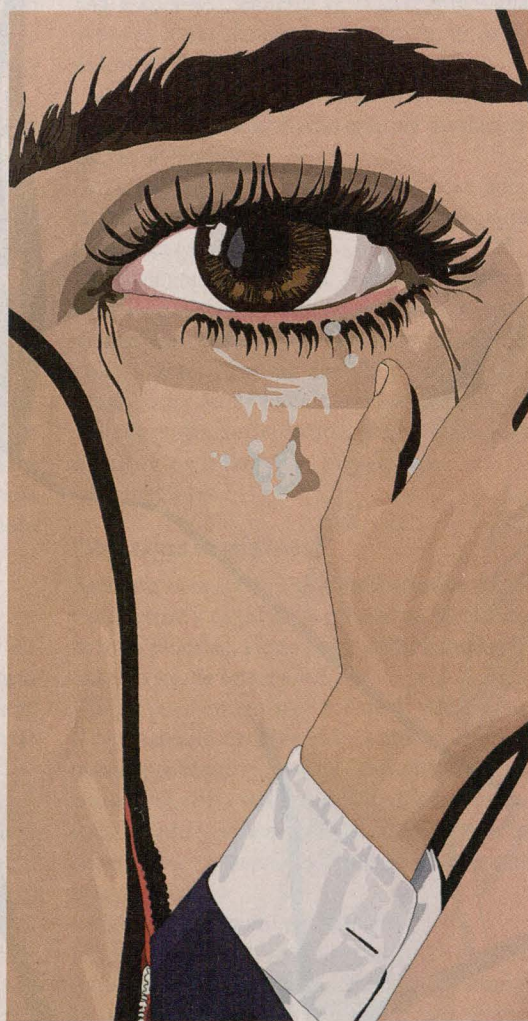
Plakat, który reklamuje ten film, nie wiem, do czego się odnosi. I ten tytuł: dlaczego w oryginale jest „Elles”, czyli „One”, a w polskim tłumaczeniu to „Sponsoring”? Może to chwyt rekla-

mowy? Sponsoring to temat, który Polaków wciąż interesuje, o którym się mówi. Kontrolerska, którą każdy chciałby zobaczyć. I ten tekst na plakacie, który mówi, że film pokazuje to, czego wszyscy pragniemy, ale wstydzimy się to powiedzieć. Polacy są ciekawi, jak wygląda seks.

Takie wabiki na Polaków. To wszystko chyba mówi o naszej zaściankowości, o naszym zakłamaniu.

Przecież każdy może w seksie próbować wszystkiego. Sama w pracy wielu rzeczy nie robiłam, nie godziłam się na nie. Ale teraz, kiedy

„Teraz, kiedy już się nie prostytuuję i jestem w związku z miłości i zaufania do mojego mężczyzny, jestem jak otwarta księga



już się nie prostytuuję i jestem w związku z miłości i z zaufania do mojego mężczyzny, jestem jak otwarta księga.

Pozwalam na rzeczy, o które nigdy bym siebie nie podejrzewała, że mogę mieć na nie ochotę.

A ludzie się zamykają. Wyśmiewają to, czego nie znają, albo mówią „a fu!”. Są tak zablokowani albo zakłamanymi – sama nie wiem, jak to nazwać – że żyją daleko od swoich prawdziwych pragnień i emocji. Czasem realizują swoje pragnienia z prostytutkami, zamiast z żonami i partnerkami. Obrzydliwe.

Tabu

Być może to wina tego, że jesteśmy wychowani w strasznej pruderii. Seks jest u nas tabu. On się boi powiedzieć jej, czego pragnie, a ona jemu. Żeby to drugie nie pomyślało: „jesteś zboczony/zboczona”. Ludzie sami pchają się w rozstania. Albo robią takie desperackie ruchy jak ta dziennikarka z filmu. Po kolacji, na której się upiła, kiedy wróciła nad ranem do domu i klękła przed mężem. To była bardzo delikatna rzecz, coś to w końcu takiego miłość oralna w związku? Czegośkolwiek by wtedy nie chciała, byłoby OK. Ale mąż ją odrzucił.

Kiedy coś takiego dzieje się w związkach, jest źle, ktoś, kto kogoś odrzuci, robi wielki błąd.

Taka kobieta, która się raz obnażyła i tak została potraktowana, już się więcej nie odważy.

Myślę, że warto sobie pokazać, iż sobie ufamy i że możemy sobie pozwolić na wszystko, czego pragniemy. Możemy być ze sobą szczerzy.

To podstawa.

Teraz

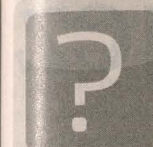
Prostytuowałam się przez dwa lata. Od czterech lat już tego nie robię, jestem w związku z mężczyzną starszym ode mnie o 13 lat. Bardzo go kocham. Wie o mojej przeszłości, powiedziała mi na samym początku. Nie był moim klientem, choć znam bardzo dużo takich związków, kiedy klient wiąże się z prostytutką. Część dziewczyn też ukrywa swoją przeszłość i ich mężowie nie wiedzą, co robiły ich żony przed ślubem.

Mój mężczyzna nigdy mi nie wypominał mojej przeszłości. To dojrzały, mądry człowiek, dużo się od niego uczę. Mieliśmy trudności w związku, przez jakiś czas zdradzaliśmy się nawzajem. Ale zawsze dużo rozmawiamy. Szukaliśmy przyczyn, znaleźliśmy je. Wybaczyliśmy sobie.

Kończę w tym roku studia.

Ostatnio pomyślałam, że chciałabym mieć dziecko.

TEŻ PYTANIE



Ten, kto pyta, nie błądzi. A my szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres: nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

JOANNA OMORSKA



1. O co tak naprawdę chodzi w logice? Czy jeżeli kłamię, że kłamię, to znaczy, że mówię prawdę?

Nieemożliwym jest wyjaśnienie krótko i przejrzyście zasad tej nauki, jej podstawy wykładane są na każdym kierunku studiów przez co najmniej rok. Tak więc zajmijmy się tylko podanym w pytaniu przykładem. Stwierdzenie „Kłamię, że kłamię” możemy zapisać jako zdanie „Nie jest prawdą, że nie mówię prawdy”, czyli jako zdanie oznajmujące (w sensie gramatycznym), któremu w sposób jednoznaczny da się przypisać ocenę. A więc tak, że możliwym jest określenie, czy zawiera ono prawdę czy fałsz. W ten sposób ustalamy wartość logiczną zdania. Rozkładając nasze zdanie na części, widzimy w nim dwa zaprzeczenia, bo „NIE jest prawdą, że NIE mówię praw-

dy” (podobnie jak np. „Nieprawda, że nie skończę tego zadania”). A skoro tak, to mamy tu do czynienia z prawem podwójnej negacji lub prawem podwójnego przeczenia, regułą rachunku zdań stwierdzającą, że zaprzeczenie negacji zdania jest równoważne ze zdaniem wyjściowym. W analizowanym przypadku domyslną sentencją wyjściową jest „Mówię prawdę” (w drugim przykładzie „Skończę to zadanie”). Zgodnie z prawem podwójnej negacji jednoznacznie określamy więc wartość logiczną naszego zdania jako prawdę. Reasumując – jeśli nasz czytelnik kłamię, że kłamię, oznacza to, iż mówi prawdę (czyli nie kłamię).

2. Moja pięcioletnia córka spytała mnie ostatnio, dlaczego trutka na szczury jest koloru różowego i czy szczury lubią ten kolor. Czy czasem takie kolory nie ostrzegają drapieżników przed niebezpieczeństwem?

Jaskrawe kolory rzeczywiście są u niektórych gatunków zwierząt ostrzeżeniem przed drapieżnikami. Ale część zwierząt, walcząc o przetrwanie, jedynie markuje swoją jadowitość. W tym przypadku mamy do czynienia jednak z czymś zupełnie innym. Szczury mają tak zbudowane oko, że w widmie widocznym dla człowieka widzą bardzo niewiele (komórki oka tego gryzonia są dodatkowo czułe na ultrafiolet). W naszym rozumieniu postrzegania kolorów szczur widzi obraz czarno-biały (a raczej po prostu szary) i potrafi rozróżnić z niego tylko barwy niebieską oraz zieloną. Różowy kolor trutki jest więc



raczej ostrzeżeniem dla człowieka (dla szczura to barwa ciemnoszara), by wiedział dokładnie, gdzie i w jakiej ilości wyłożył toksyczną substancję.

3. Czy zapach wpływa na nasze zachowania w sklepach?

Tak, to możliwe, choć nie ma w tej kwestii jednoznacznych naukowych odpowiedzi. W 1991 r. dr Alan Hirsch przeprowadził doświadczenie w kasynie hotelu Hilton w Las Vegas, rozpylając w nim dwie substancje zapachowe. Jedną z nich wywołała wzrost wydawania pieniędzy przez graczy aż o 45 proc.! Skład tego „finansowego zapachu” nie został nigdy ujawniony, ale są firmy, które poprzez przyjemną woń w swoich salonach starają się skłaniać konsumentów do określonych zachowań. Na przykład Samsung (elektronika) rozpyła aromat żółtego melona, a Westin (hotele) – aromat białej herbaty.

Nasza nagroda:



Gary Marcus „Prowizorka w mózgu”

– wydawnictwo Smak Słowa

REKLAMA

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci opiekuje się nieuleczalnie chorymi dziećmi w ich własnych domach. Hospicjum istnieje dzięki wsparciu ludzi, którym bliski jest los ciężko chorych dzieci. Przekaż 1 % podatku dzieciom z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci.

KRS: 0000097123

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci

Twój 1% - mój powrót do domu

www.hospicjum.waw.pl



Kogo śmieszy mięsny jeż

Fenomen Magdy Gessler i urągającej ludzkiej inteligencji piosenki o „mięsnym jeżu” jest idealną ilustracją dyskursu o różnych rodzajach aspiracji, jakimi żyjemy

MARTA KARAŚ
ILONA WITKOWSKA

Jedzenie mięsa jest uznawane w wielu kulturach za symptom dobrobytu. W międzywojniu mięso było rarytatem, posiłek mięsny zaś wydarzeniem dla większej części społeczeństwa. Po wojnie stopniowo zaczęliśmy nadrabiać te „straty cywilizacyjne”. „Przejęciowe problemy aprowizacyjne” czy po prostu puste haki i ocet na półkach w okresie PRL tylko wzmogły apetyty konsumpcyjne. Kapitalizm przyniósł rzeszy Polaków to, na co sobie pozwolić przez całe dekady nie mogli: stały i niemal nieograniczony dostęp do wieprzowiny, wołowiny, tanich kurczaków, przeróżnych wędlin. Posiłek oparty na mięsie stał się nie wydarzeniem, ale standardem. Jedzenie mięsa kilka razy w tygodniu stało się synonimem dobrobytu, a nawet normalności. Wciąż jeszcze daleko nam do społeczeństw, w któ-

W tym kontekście trzeba spojrzeć na najnowszy internetowy mem, czyli „mięsne go jeża”. Jeż pojawił się w jednym z odcinków polsatowskiego serialu z gatunku docu-soap pod tytułem „Pamiętniki z wakacji”. Jak czytamy w materiałach promocyjnych, serial przedstawia „wakacyjne przygody w profesjonalnej i kuszącej oprawie”, a widzowie „poznają najszybsze tajemnice bohaterów i będą towarzyszyć w rozwiązywaniu zawiłych problemów”. Jeden z tych zawiłych problemów



miał zostać zażegnany właśnie dzięki wprowadzeniu na stół półmiska wędlin zaaranżowanych w coś opisanego przez bohaterkę serialu jako „mięsny jeż”.

Zasady to ważna rzecz

Idiotyczny „mięsny jeż” jest aspiracją ogromnej rzeszy ludzi, którzy mają problem z opłaceniem czynszu. Których jedyną „hańbą” jest to, że są biedni, że muszą wykonywać kiepskie prace za nędzne pieniądze, że nie stać ich na spełnienie „normy”, jaką jest kotlet na obiad. Ogólnonarodowy wybuch śmiechu, wywołany przez rozpowszechnienie filmu z „mięsnym jeżem” w Internecie, ozna-

cza: dla nas takie danie nie jest żadnym wydarzeniem. Jesteśmy na to za bogaci. Półmisek wędlin ułożonych w zwierzątko jest dla nas tylko śmieszny, bo stać nas na mięso codziennie.

Szczebelek wyżej stoi zdanie: „Stać nas na wyrzucanie żywności”. Drastyczne normy wielkich korporacji i uniemożliwiające dzielenie się żywnością prawo skutkują marnowaniem ogromnych ilości jedzenia. Pracownicy sieciówek nie tylko nie mogą podać klientom jedzenia, które jest

za stare o parę minut, ale nie wolno im nawet oddać go ani zjeść samemu. Jeśli chcieliby podzielić się teoretycznie niehandlową żywnością z potrzebującymi, pożegnali się z pracą. – Ludzie oddają jedzenie, które mają wyrzucić, innym pracownikom centrum handlowego, ale tylko tym zaufanym. Czasem wynoszą je koło śmietnika, żeby mogli je wziąć bezdomni, którzy tu przychodzą, ale większość boi się tak robić. Muszą się do brze chować, bo ich sprawa-

dza. Śmietnik jest zamknięty, nie można się do niego dostać – mówi Maciej, pracownik centrum handlowego.

W kraju, w którym 250 tys. dzieci jest niedożywionych, do wyrzucania całkiem dobrego jedzenia, niespełniającego wyśrubowanych norm, niezwiązanych z jego przydatnością do spożycia, namawia się w najlepszym czasie antenowym. Do marnowania żywności zmusza uczestników swojego programu Magda Gessler. Niejednokrotnie zupełnie jałdarna, ale nienależąca do najdroższych żywności lądowała w jej programie w koszu. Kiedy właściciele „uzdrawianych” przez Gessler restauracji chcieli zachować ją dla siebie, restau-

ratorka zmuszała ich do wyrzucenia zdyskwalifikowanego jedzenia do kosza, co rejestrowały kamery. Być może faktycznie w restauracjach nie należy podawać mrożonek podgrzanych w mikrofalówce, ale warto pamiętać, że można je zjeść.

Jedzenie dla dzieci czy do śmieci

Promowanie przez kulturę masową marnowania jedzenia jest po prostu niemoralne. W 1993 r. Kevin Carter uchwycił w obiektywie sudańskie dziecko, ofiarę klęski potwornego głodu, za którego plecami czai się sęp. Fotografia obiegła świat. Później przez całe lata 90. podobnych zdjęć były setki. Może to stepiło naszą wrażliwość? A może jest to tak niewyobrażalne cierpienie, że oszalelibyśmy, patrząc na nie?

Dla wszystkich, którzy tak tłumaczą fakt, że notorycznie odwracamy wzrok od głodnych ludzi (nie tylko w Afryce, ale i w Polsce), odpowiedzią mogą być poglądy Petera Singera. W „Życiu, które możesz ocalić” filozof wzywa do zmierzania się z biedą. To, że nie można pomóc wszystkim, nie oznacza, że zwalniamy nas to z moralnego obowiązku pomagania choć tej części, którą wesprzeć jesteśmy w stanie.

Poza przekazywaniem części swoich dochodów na cel walki z biedą, głodem i ubóstwem możemy przeciwstawić się niemoralnemu, a legitymizowanemu przez polskie i międzynarodowe prawo trendowi masowego marnowania żywności. Według danych ONZ-owskiej Agencji ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) za rok 2011, na świecie wyrzuca się 1,3 mld ton żywności, z tego 670 mln ton w krajach najbogatszych.

Główną przyczyną marnowania żywności na Północy jest promowana w mediach konsumpcja ponad miarę: zbyt duże zakupy i niezdolność późniejszego pełnego ich wykorzystania. Tylko w ciągu ostatniej dekady ceny żywności na świecie skoczyły z 96 do 216 punktów indeksowych FAO. Nietrudno się domyślić, że utrzymanie tego trendu jest na rękę przemysłowym producentom i dystrybutorom żywności. Sprawę dodatkowo pogarsza fatalne – takie jak polskie – prawo. Ustawa o podatku od towarów i usług restrykcyjnie ogranicza możliwość przekazywania żywności organizacjom pożytku publicznego. Bez odprowadzania VAT mogą to robić jedynie producenci żywności, a analitycy są zgodni, że najwięcej jedzenia marnuje się u dystrybutorów: w sklepach, piekarniach, restauracjach. Zmiana kuriozalnego prawa jest potrzebna natychmiast.

Jem jelenia, pijam krewetkę

Tymczasem telewizyjna „kreatorka smaku i stylu” Magda Gessler raczy nas tragicomicznymi wypowiedziami o wyższości drogiego jedzenia nad tanim. Ostatnio jeszcze schudła i postanowiła podzielić się radami dotyczącymi diety z osobami, które nigdy nie będą mogły pozwolić sobie na jedzenie w jej restauracji, ale kupują gazety za mniej niż 2 zł: „Jeżeli niejedzenie jest drogie, to tak, jestem na drogiej diecie. Po Meksyku zmienił mi się metabolizm, jem teraz surowe ryby i piję dużo soku z limonki. Wieczorem jest czas, kiedy jem to, na co mam ochotę. I jest to jelenina. Może zieloni będą się czepiać, ale mi to mięso służy”.

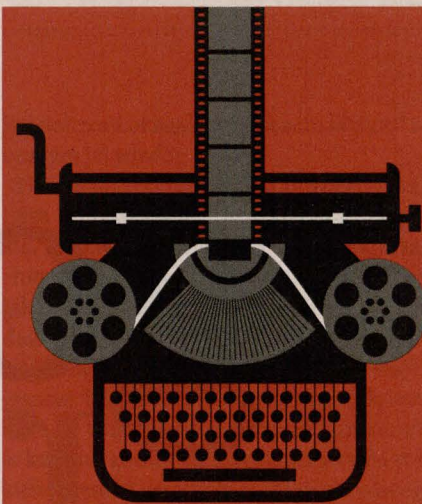
Chwalenie się w tabloidzie ekskluzywną dietą i zamiłowaniem do dziczyzny stoi w zabawnym kontraście z postawą jej młodszego brata, lewicowego polityka i aktywisty, Piotra Ikonowicza. Ten ostatni, przy okazji spotkania z Magdą w telewizji śniadaniowej, wyraził nadzieję, że „Polska stanie się krajem cywilizowanym, takim jak wiele krajów starej Unii, i że osoby takie jak Magda będą odpowiednio opodatkowane”. W tym kontekście nie dziwi, że Ikonowicz, który zdecydował się na dużo mniej medialną karierę, jaką jest pomaganie potrzebującym, spotyka chlubiącą się wydawaniem fortuny siostrę głównie na korytarzach telewizji. Bo co może sądzić społecznik z powołania o takiej deklaracji? „To dieta bardzo droga, luksusowa. Dlatego nie nadaje się do polecenia każdemu”.

Wydaje się, że Magda Gessler tym zdaniem przesadziła. Wyśmiewanie jej otyłości, niezbyt inteligentnych wypowiedzi i mocno podkoloryzowanych wspomnień z dzieciństwa do tej pory nie wyszło poza twarde elektorat Pudelka. Teraz jednak każdy widz „Kuchennych rewolucji” powinien zadać sobie pytanie, kim trzeba być, żeby czuć potrzebę przechwalania się w tabloidzie tym, że jest się na „luksusowej” diecie.

Budowanie wizerunku na „arystokratyczności” wynikającej z fortuny, zawdzięczanej nawiskowi byłego męża, przestaje chyba być dobrym pomysłem. Wynurzenia typu „są takie ogromne, czerwone krewetki »karabińczyki«”. Ich głowa ma w sobie mnóstwo płynnego, purpurowego mózgu. (...) Wypicie takiego drinka wspólnie z osobą, na którą masz apetyt, doprowadza atmosferę do zenitu” przysparzają sympatii wśród coraz mniejszej grupy.

Może zamiast wydawać fortunę na jeleninę czy katować się sokiem z limonki, lepiej byłoby spojrzeć na zdjęcie Kevina Cartera?

REKLAMA



SCRIPT PRO

Gratulujemy Finalistom:

Dariusz Glazer
Nagroda Główna HBO
Henryk Dederko
Nagroda Druga PISF
Małgorzata Sobieszczańska
ex aequo Nagroda Trzecia PISF
Marta Matuszak
ex aequo Nagroda Trzecia PISF

Cezary Iber
Rafał Kapeliński
Jacek Lusiński
Łukasz Walczak

Dziękujemy:

Partnerom:



Patronom medialnym:



Organizatorzy:



www.scriptpro.pl



Nie tylko gotycki romans

Siostry Brontë pisały nie tylko o miłości – ale krytyczne wątki ich powieści giną w adaptacjach filmowych

JAKUB MAJMUREK



Po kin weszła właśnie nowa adaptacja „Wichrowych Wzgórz” w reżyserii Andrei Arnold, zrealizowana w surowej poetyce brytyjskiego kina społecznego. Jesienią ubiegłego roku mogliśmy z kolei oglądać kolejną adaptację „Jane Eyre”, powieści siostry Emily – Charlotty. Wyreżyserował ją Carly Fukunaga, który wcześniej zasłynął społecznym, sensacyjnym filmem „Sin nombre” (w Polsce znanym też pod tytułem „Ucieczka z piekła”) o grupie uchodźców z Meksyku i Gwatemali próbujących przedostać się nielegalnie do amerykańskiego raju. Jego adaptacja „Jane Eyre” nie ma jednak nic z estetyki tamtego kina – przypomina raczej kostiumowe dramaty psychologiczne Jane Campion.

Filmy Arnold i Fukunagi potwierdzają nie słabnące zainteresowanie kina prozą sióstr Brontë. Portal Internet Movie Database wylicza ponad 15 filmowych adaptacji „Wichrowych Wzgórz” i ponad 20 ekranizacji „Jane Eyre”. Powstała nawet meksykańska, osadzona w świecie tamtejszych latyfundystów adaptacja „Wichrowych Wzgórz” zatytułowana „Ochłanianie namiętności”, którą nakręcił Luis Buñuel w 1954 r.

W niemal wszystkich filmowych adaptacjach prozy sióstr Brontë widać jednak ten sam mechanizm – redukcję prozy do jej romantycznego wątku i „gotyckiej” ikonografii – wizosowisk północnej Anglii, ponurych rodowych siedzib, zapuszczonych dworów itp. Tymczasem w prozie tej możemy znaleźć o wiele więcej: ukażuje ona w metaforycznym skrócie procesy społeczne i ekonomiczne nadające kształt angielskiemu społeczeństwu XIX w.

Wojny klasowe na wichrowych wzgórzach

Emily Brontë pisze „Wichrowe Wzgórze” między 1845 a 1846 r., u szczytu imperialnej i przemysłowej potęgi wiktoriańskiej Anglii. Akcja powieści toczy się prawie pół wieku wcześniej – od lat 70. XVIII w. do roku 1801. Wielkim miłośnikiem powieści był Karol Marks, który uważał, że siostry Brontë, czy szczególnie przez niego uwiellbiany Balzac, znacznie lepiej są w stanie oddać sprzeczności rodzącego się kapitalistycznego społeczeństwa niż zadeklarowanie „społeczni” czy „socjalistyczni” autorzy. „Wichrowe Wzgórze” można za Marksem czytać jako powieść o relacjach klasowych w wiktoriańskiej Anglii – konfliktach i sojuszach

między arystokracją, szlachtą ziemską (gentry), mieszczaństwem, proletariatem i chłopstwem. Taką lekturę proponuje np. brytyjski literaturoznawca i filozof Terry Eagleton w pracy „Mity władzy – marksistowska lektura sióstr Brontë”.

W przeciwieństwie do sytuacji na kontynencie w Anglii to gentry i arystokracja budowały kapitalizm. Jednak obie te grupy współpracowały z elitami mieszczaństwa, wiążąc się z nimi więzami społecznymi i małżeńskimi. Rewolucyjne energie, jakie wyzwalała mieszczaństwo i kapitalizm, budzą tyleż fascynację, ileż niepokój. W powieści reprezentantem tych energii jest Heathcliff – w równej mierze, jeśli nie bardziej, w jakiej jest romantycznym, byronicznym bohaterem, nieszczęśliwym kochankiem czy „dzieckiem natury” zniszczonym przez opresyjną kulturę i cywilizację.

„Mała Katarzyna Earnshaw prosi ojca, by przywiózł jej z miasta bicz. Ojciec zamiast bicia przywozi Heathcliffa – który dla rodziny Earnshaw okaże się biczem bożym”

Bohater trafia do Wichrowych Wzgórz (majątku ziemskiego na północy Anglii) znaleziony przez dziedzica – pana Earnshawa – na ulicach Liverpoolu. W tym czasie Liverpool jest gwałtownie rozwijającym się portem. Miasto bogaci się między innymi na zyskach z handlu niewolnikami, który w imperium kwitnie aż do lat 30. XIX w. O ile Liverpool pogrążony jest w kapitalistycznej gorączce handlu i spekulacji, o tyle wiejskie okolice Wichrowych Wzgórz ciągle wydają się funkcjonować według odmiennego rytmu. To świat patriarchalnych relacji dworu i jego dzierżawców, „idiotyzmu życia wiejskiego”.

Mała Katarzyna Earnshaw prosi ojca, by przywiózł jej z miasta bicz. Ojciec zamiast bicia przywozi Heathcliffa – który dla rodziny Earnshaw okaże się biczem bożym, niszczącym jej dotychczasową pozycję społeczną i patriarchalny, feudalny styl życia. Podobnie uwolniona przez arystokrację energia

kapitalizmu okazała się „biczem bożym” niszczącym jej władzę.

Heathcliff reprezentuje w powieści dwa oblicza tej rewolucji – proletariusza i kapitalistę. Jako młody chłopak jest proletariuszem – nie ma nic poza własnym ciałem (i pracą, jaką może ono wykonać), które musi sprzedawać, by przeżyć. Jako dorosły mężczyzna zmienia się w kapitalistę, ale wtedy staje się jeszcze bardziej rewolucyjny niż jako proletariusz. Uosabia siłę pieniądza zmienionego w kapitał, zdolnego do profanowania wszelkich świętości, strącania w dół swoich dawnych panów. Heathcliff przejmuje Wichrowe Wzgórze za długi niegdyś prześladowającego go Hindleya; Haretona, syna Hindleya, uczy pogardy dla nauki, sztuki, literatury – tego wszystkiego, co wchodzi w kształt mieszczańskiego Bildung. Bohater wykorzystuje wszystkie środki mieszczańskiego i arystokratycznego społeczeństwa przeciw niemu samemu. Mści się nie tylko na Hindleyu, ale także na Katarzynie, która odrzuciła kiedyś jego miłość na rzecz spadkobiercy sąsiedniego majątku Edgara Lintona. W końcu przejmuje kontrolę nad całym społecznym światem, w którym kiedyś nie było dla niego miejsca. Jednak, jak zauważa Eagleton, Heathcliff staje się w końcu częścią świata, który chciał zniszczyć, tak jak angielskie mieszczaństwo, które w wiktoriańskim społeczeństwie zbudowało kompromis ze starą klasą wyższą i zapomniało o swoich rewolucyjnych korzeniach.

„Czarny diabeł” i „wariatka ze strychu”

Inność Heathcliffa w świecie Wichrowych Wzgórz podkreśla jego wygląd – bohaterowie powieści porównują go do Cygana czy Hindusa, przezywają „czarnym diabłem”. W adaptacji Arnold w tej roli został obsadzony po prostu czarny aktor James Howson. Ta etniczna „inność” Heathcliffa, jego ciemny kolor skóry, odsyłają do kolonii imperium. Na długo przed rewolucją przemysłową pierwszymi kapitalistycznymi przedsięwzięciami były niewolnicze plantacje w Ameryce Południowej czy na Karaibach. Europejska emancypacja dokonywała się dzięki pracy setek zniewolonych „czarnych diabłów”.

Ten sam wstydlivy wymiar wychodzi na jaw także w Jane Eyre. Fortuna Rochester'a i wspólna jego starożytnego, posępnego dworu opierają się na pieniądzu jego żony – Kreolki, dziedziczki działającego dzięki pracy niewolniczej majątku z Indii Zachodnich. Przywiezioną do Anglii kobietą wariuje, jest więziona →

„Wiele adaptacji „Wichrowych Wzgórz” i „Jane Eyre” to dobre kino, które jednak okalecza krytyczne konteksty powieści

→ na strychu rodowej siedziby. Wyzwolenie Jane Eyre jako kobiety, fakt, że może ona zwać się z Rochesterem jako równa mu osoba, dokonuje się dzięki potężnemu spadkowi po wuju, który fortunę zdobył w koloniach, i po trupie zmarłej w pożarze „wariatki ze strychu”. Wraz z jej śmiercią w płomieniach angielskie mieszczaństwo wypiera kolonialne źródła własnej emancypacji. W powieści Charlotte Brontë „wariatka” pozostaje niema. O jej głos upomniała się w XX w. postkolonialna pisarka Jean Rhys w dwukrotnie ekranizowanej powieści „Szerokie Morze Saragassowe”, która „przepisuje” Jane Eyre z punktu widzenia żony Rochester.

Kalekie adaptacje

Wiele adaptacji „Wichrowych Wzgórz” i „Jane Eyre” to dobre kino, które jednak okalecza

krytyczne konteksty powieści (wyjątkiem jest być może adaptacja Buñuela, podkreślająca klasowy aspekt dramatu Heathcliffa). Podejście to nie dziwi w przypadku klasycznych adaptacji z lat 40., gdy proza sióstr Brontë ciągle była odczytywana w romantycznym i gotyckim kluczu. Taka jest też adaptacja „Jane Eyre” z 1943 r. z Orsonem Wellesem w roli Rochester. Jednak współcześnie, gdy marksistowskie czy postkolonialne interpretacje stanowią już część humanistycznego kanonu, nieobecność tych wątków razi, jak w skrajnie akademickiej wersji Zeffirellego z 1996 r. (z Charlotte Gainbourg w tytułowej roli), nie mówiąc o współczesnym filmie Fukunagi.

W filmie Arnold widać wyraźną intencję, by zekranizować „Wichrowe Wzgórze” poza gotyckim i romantycznym kluczem. Reżyserka konsekwentnie pozbawia świat Wichrowych



„Wichrowe Wzgórze” w reż. Petera Kosminskyego – ekranizacja z 1992 r. Na s. 62: kadr z filmu Andrei Arnold z 2012 r.

Wzgórz wzniosłości – wszystko jest tu surowe, szare, tytułowy majątek wygląda jak postawiona w polu szopa, a Earnshowie bardziej przypominają zamożne chłopstwo niż gentry. Paradoksalnie może właśnie dlatego próby tej nie da się uznać za udaną. Zabieg „proletaryzacji” szlacheckiego dworu spłaszcza obecny w powieści motyw klasowego konfliktu. Poza tym obsadzenie czarnego aktora w roli Heathcliffa czyni postkolonialny wątek przesadnie jednoznaczny: koniec końców reżyserce zostaje obraz dziecka natury zaszczonego przez cywilizację. Siostry Brontë ciągle więc czekają na kogoś, kto zdoła w kinie odpowiedzieć właściwie na całe bogactwo ich prozy.



Dylemat św. Aptekarza



TOMASZ PIĄTEK

Autor felietonu jest pisarzem

robi to, co robi (albo raczej dlaczego nie robi tego, czego nie robi), ale dlaczego ja robię to, co robię? Czemu postawiłem Zebka przed takim trudnym wyborem?

– To proste – odezwał się nagle Zebek – Wypróbujesz na mnie tak zwany Dylemat św. Aptekarza.

– A to mądre ptaszysko! – wykrzyknąłem głośno, a traszka pokiwała skwapliwie głową, nawińcie sądząc, że jej to coś pomoże.

Rzeczywiście, Zebek ma rację. Nie wiem, czy Państwo wiedzą, że w Polsce mamy coś, co wygląda jak gigantyczna klatka dla papugi (i zresztą nią jest). To tak zwany Sejm. W Sejmie pracuje Parlamentarny Zespół na Rzecz Ochrony Życia i Rodziny. Ciekawi państwa, jak oni chronią to Życie, Życie przez wielkie Ż? Czy na przykład interesują się tym milionem Irakijczyków, których pomogliśmy wybić? Nie, proszę państwa, w Polsce życia Irakijczyków nie pisze się przez wielkie Ż. Przez Wielkie Ż pisze się wyłącznie Życie Poczęte. A właściwie nawet Niepoczęte. Bo państwo myślą, że oni w tym zespole walczą z aborcją? Nie, oni walczą z antykoncepcją. Oni wymyślili sobie, żeby aptekarz katolicki miał prawo odmówić sprzedaży środków antykoncepcyjnych kobiecie (i mężczyźnie zresztą też). Żeby kobieta musiała biegać po mieście w poszukiwaniu jakiejś apteki niekatolickiej. A taką trudno znaleźć, bo we wszystkich, które znam, wiszą katolickie krzyżyki. Czyli tak naprawdę parlamentarzyści z Zespołu na Rzecz Ochrony Życia walczą o to, żeby więcej było niechcianych ciąży. Czyli walczą o to, żeby było więcej aborcji. Dla ochrony Życia Niepoczętego gotowi są poświęcić nawet to ich ukochane, to Poczęte. W Zespole jest poseł PO Jacek Żalek (tak zwany Gorzki Żalek), który uważa, że jego partia poprze projekt ustawy dającej farmaceutom władzę (Władzulę!) nad płodnością swoich pacjentek. Przypomnijmy, PO

to partia, którą ludzie tak różni jak Cezary Michalski i Wojciech Orliński zachwalają nam jako ostoję rozsądku i mniejsze zło.

Jeśli ten szkodliwy i proaborcyjny bubel przejdzie w Sejmie, wtedy każdy katolicki aptekarz stanie przed dylematem Zebka. Chciwość czy Władzula? Zgarnąć kasę z lukratywnej sprzedaży drogich środków antykoncepcyjnych czy napawać się swoją Władzulą i bezsilnym gniewem pacjentek, nad którymi będzie można się znęcać: „Nie sprzedam pigułki. Niech pani żyje po katolicku. Niech pani nie uprawia seksu. Albo niech pani rodzi dzieci. Dzieci, dzieci, coraz więcej dzieci, Ja żądam od ciebie dzieci, Ja Ja Jawohl przez wielkie J, Mnie jesteś Posłuszna, Podległa i Podporządkowana, o pacjenteczko! To ja decyduję, czy będziesz się rozmnażać, czy nie, i nakazuję ci: rozmnażaj się! Pokryj całą okolicę swoim skrzykiem niczym traszka!”

Z mojego eksperymentu wynika, że grozi nam całkowity paraliż aptek. Postawieni przed takim dylematem katolicki aptekarze popadną w stupor, okresowo przerywany drgawkami, i przestaną być zdolni do pracy. Ale czy oni w ogóle są zdolni do pracy, skoro ich sumienie (ja bym to nazwał szatańską pychą, ale dobra, nazwijmy to sumieniem) wstrzymuje ich od podawania pacjentom niektórych leków? Może po prostu uznać, że katolicy nie są zdolni do pełnienia zawodu farmaceuty i ustawa wo im tego zakazać?

– A co ty myślisz, Zebku? – zapytałem. W odpowiedzi Zebek zaczął przepowiadać przyszłość:

– Pójdiesz do restauracji, w której dwóch szefów przygotowuje górę jedzenia. Potem jednak ich kłótnia przepędzi gości. Oni ze złości poszatkują całe jedzenie na drobno siekaną pulpę i ulepią z niej realistyczne postaci, naturalnej wielkości, które posadzą przy stolikach w miejscu przepłoszonych gości.

apuga Zebek od pewnego czasu przechodzi okres bezruchu, przerywany tylko silnymi drgawkami. Nie jest się w stanie ruszyć ani w lewo, ani w prawo. Tym razem nie muszę się jednak zastanawiać nad przyczynami tego zachowania, są one dla mnie jasne. Zebek popadł w stupor związany zniezdolnością do wyboru. Po lewej stronie klatki położyłem mu Złociste Ziarenka Giugiu, jego ulubione (firmy Cmentarne Szaleństvox). Po prawej zaś posadziłem malerińką trąszkę, całkiem jeszcze żywą (traszka, taki płaz). I Zebek nie może teraz wybrać: czy zabrać się za ulubione ziarenka, czy też rzucić się na trąszkę, złapać ją w szpony i wygłosić jej równie ulubioną przemowę: „Do mnie należysz, o trąszeczko, mnie jesteś całkowicie Posłuszna, Podległa i Podporządkowana, to ja decyduję, czy możesz się rozmnażać albo nie rozmnażać, jeśli zadecyduję, że masz mi całą klatkę pokryć twoim skrzykiem (tak nazywają się jajeczka płazów), to tak zrobisz, bo jesteś w mojej władzy, o trąszeczko, całkowicie i nieodwołalnie”. Zebek nie może się po prostu zdecydować, co go bardziej kręci: chciwość czy władza (Władzula!). No dobrze, powiedziałem sobie, wiem, dlaczego Zebek



Globalne strategie, lokalne fabryki

Producent najsłynniejszej zupy świata stworzył w XIX w. wzorcowe laboratorium wyzysku. O aktualności ówczesnej przemocy ekonomicznej pisze **DANIEL SIDORICK**

Każdy w Stanach Zjednoczonych zna zupę Campbella. Mimo że flagowy produkt firmy osiągnął status ikony, większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, co stało za finansowym sukcesem Campbella w sferze zarządzania firmą, założoną w 1869 r. w Camden w stanie New Jersey. Jeszcze mniej widoczni pozostają pracownicy zakładów wytwarzających zupę, ludzie, którzy obierali warzywa, mieśzali składniki, obsługiwali maszyny do etykietowania – ci, bez których zupy Campbella by nie było.

Twórcą filozofii zarządzania firmą był wynalazca skondensowanej zupy John T.

Dorrance (1873–1930), który mocną ręką i z wielkim oddaniem kierował przedsiębiorstwem w kluczowych, pierwszych trzech dziesięcioleciach XX wieku.

Dorrance, starając się wprowadzić w Campbell Soup Company naukowe zarządzanie, największą troską obdarzył „centrum cyklu życiowego” puszkowanej zupy, czyli produkcję. Przez lata nie godził się na podniesienie detalicznej ceny zupy, wynoszącej 10 centów za puszkę, równoważąc wzrost innych kosztów cięciami kosztów produkcji. Ludzie po drugiej stronie tego łańcucha – robotnicy w wytwórni – bynajmniej nie przyjmowali zalet przyspieszenia i intensyfikacji pracy

w nastroju powszechnej zgody, w związku z czym nastąpiło kilka dziesięcioleci wojny pozycyjnej. Pojedynczy robotnicy znajdowali sposoby, by wygrać z systemem, a nie wielkie grupy potrafiły podkopywać wysiłki brygadzystów, którzy starali się zwiększyć produkcję. Firma jednak wykazywała się taką samą pomysłowością w zwalczaniu opozycji.

Naciski na obniżanie kosztów, które miały być radą na kryzys gospodarczy lat 70. XX w., trwają do dziś, przekładając się w XXI w. na dążenie do intensyfikacji pracy, outsourcing, „offshoring”, czyli przenoszenie produkcji do krajów „zamorskich”, oraz deindustrializację. Takie metody obniżania

kosztów mają jednak historię o wiele dłuższą, niż się potocznie przyjmuje. Najbardziej znaną obecnie strategią cięcia kosztów w korporacjach jest przenoszenie produkcji do regionów, w których koszty są niskie, a ruch związkowy słaby lub nieistniejący, co widać na przykładzie sąsiadującej z zakładem Campbella w Camden firmy RCA, która mieściła się po drugiej stronie Market Street.

Jednak szczególny rodzaj branży, w której działał Campbell, uniemożliwiał wszelkie rozwiązania łączące się z przenoszeniem produkcji zupę zakładu gdzieś daleko, a przynajmniej sprawiał, że projekt taki stawał się nieatrakcyjny. O ile robotnicy w Bloomington czy Juárez mogli składać odbiorniki telewizyjne tak samo dobrze jak robotnicy w Camden, to pomidory dojrzewające na południu stanu New Jersey trzeba było przetworzyć na zupę w odległości kilku godzin drogi od pól, z których je zebrano.

Ponieważ w przypadku Campbella opcja ucieczki kapitału nie wchodziła w grę przez większą część pierwszego stulecia istnienia firmy, można w niej widzieć prawdziwy przypadek testowy, umożliwiający zbadanie innych taktyk stosowanych przez przedsiębiorstwa, by zmniejszyć koszty i maksymalnie zwiększyć zysk.

Największy wysiłek firma wkładała w kontrolę produkcji, z nastawieniem na zmniejszenie kosztów i maksymalizację wydajności. Stosowano różnorodne techniki: od przyjęcia w latach 20. XX w. naukowego systemu zarządzania Bedaux, do szerokiej promocji „kółek jakościowych” w latach 80. (importowana z Japonii technika zarządzania zachęcająca robotników do „ochotniczego” tworzenia grup, które omawiały ulepszenia w miejscu pracy); jednak techniki te zawsze łączyły się z agresywnym wprowadzaniem mechanizacji i zastępowaniem pracy robotników produkcją maszynową. Druga strategia Campbella wynikała ze specyfiki wymagań wobec zatrudnianej w fabryce siły roboczej: podział robotników na grupę zatrudnionych na stałe oraz pracowników sezonowych wykorzystywano dalej, wprowadzając podział pracy według płci, pochodzenia etnicznego i rasy. Trzecia strategia firmy – bezwzględna wrogość wobec związków połączona z antykomunizmem – osiągnęła apogeum w epoce McCarthy’ego, lecz z uporem powracała jeszcze w późniejszych dziesięcioleciach. Ostatnią ze strategii – przenoszenie produkcji w niskokosztowe, wiejskie okolice – zaczęto uznawać za realną opcję w drugiej połowie XX w., kiedy mechanizacja zbioru pomidorów w Kalifornii, system międzystanowych

autostrad i rozwój transportu samochodowego oraz uwolnienie gospodarki zmieniły ekonomię branży przetwórstwa spożywczego. W Campbell Soup Company strategię tę zaczęto realizować w ograniczonym zakresie w latach 50. XX w., a jej kulminacja nastąpiła w 1990 r., kiedy do ultranowoczesnej fabryki w Maxton w Północnej Karolinie przeniesiono tę część produkcji, która dotychczas odbywała się w Camden.

Stosowane przez Campbella techniki i strategię utrzymywania niskich kosztów produkcji oraz ograniczania aktywizmu robotników sprawdzały się wystarczająco dobrze, by firma mogła przez całe dziesięciolecie pozostawać w Camden, utrzymując wysoką stopę zysku. Nie była to jednak historia jednowymiarowa. Podczas długiego istnienia fabryki Campbella w Camden robotnicy w różny sposób reagowali na strategię firmy: czasem zyskując przewagę, czasem dostosowując się do życzeń firmy, czasem ponosząc porażki.



praca Andyego Warhola, fot. Timothy A. Clary/AFP/EAST NEWS

Doświadczenia Campbella pokazują, że wiele strategii stosowanych przez kapitalizm końca XX w. ma w tym stuleciu wcześniejszych prekursorów. Wiele składowych strategii Campbella okazuje się, ku naszemu zaskoczeniu, typowymi strategiami neoliberalnej, globalizującej się gospodarki. Campbell Soup Company intensywnie wykorzystywała pracę robotników czasowo zatrudnianych bez stałej umowy, zwiększając ich liczbę o 50 proc. w sezonie zbioru pomidorów i zwalniając osiem tygodni później, podobnie

jak międzynarodowe firmy zatrudniają dziś różnego rodzaju niestandardowych pracowników do konkretnych zadań, zwiększając swą elastyczność. Firma Campbell Soup była też gorącą zwolenniczką ponadnarodowej migracji zarobkowej, importując z Portoryko, Meksyku i anglojęzycznych Karaibów tysiące robotników, którzy spełniali określone funkcje – tak samo jak imigranci, którzy zapełniają określone nisze we współczesnych „globalnych miastach”. Campbell wykorzystywał emigrantów także w inny sposób, przypominający działanie współczesnych firm odzieżowych, które odmawiają wzięcia jakiegokolwiek odpowiedzialności za warunki pracy skrajnie wyczerpujących robotników, oficjalnie zatrudnianych przez podwykonawcę. Ceny, które firma oferowała dostawcom pomidorów, nie pozostawiały specjalnego wyboru i skłaniały do krańcowego wyzysku robotników rolnych, w przeważającej mierze imigrantów. Firma bezustannie unowocześniała metody produkcji, wykorzystując do obniżenia kosztów i zmniejszenia zatrudnienia zarówno technologię, jak i techniki „naukowego zarządzania”, eksperymentując nawet z praktykami, które pod wieloma względami uderzająco przypominały dzisiejsze metody „odchudzania produkcji”. Na przestrzeni swego istnienia Campbell kilkakrotnie i w ograniczony sposób stosował paternalistyczne metody traktowania robotników; głównie jednak stawał na pozycji przeciwnika związków zawodowych. Od lat 30. do 60. przedsiębiorstwo miało opinię najbardziej antyzwiązkowo nastawionego z „wielkiej trójki” pracodawców w Camden, zapowiadając politykę „twardej ręki” wobec związków, powszechną w latach 80. i 90. Kiedy jednak zmiany w strukturze systemu zaopatrzenia żywnościowego w końcu umożliwiły przedsiębiorstwu ten krok, Campbell poszedł w ślady RCA, opuszczając Camden przeszło sto lat po założeniu przez Josepha Campbella firmy w tym mieście – był to ostatni akt deindustrializacji Camden. To, że Campbell Soup tak długo nie przenosiła produkcji, czyni z niej świetny materiał do badania odmiennych technik zarządzania leżących w zasięgu korporacji; natomiast jej długie dzieje mogą stanowić ważną lekcję na temat konsekwencji tego rodzaju strategii. ●

Fragmenty pochodzą ze wstępu do książki Daniela Sidoricka „Kapitalizm z puszką. Campbell Soup i pogoń za tanią produkcją w XX wieku” (przeł. Ewa Klekot), wydanej właśnie przez Krytykę Polityczną

Utracona część Vaclava H.



Największy czeski bestseller tego roku nosi tytuł „Tajna kniha” i sprzedał się już w około stu tysiącach egzemplarzy. Wydawca planuje realizację filmu fabularnego. Musi jeszcze tylko ustalić, kto zagra głównych bohaterów: Największego Czecha i jego Ostatnią Kochankę. Czyli Vaclava Havla i znaną pisarkę Irene Obermannová



Książka ukazała się we wrześniu ubiegłego roku i od tamtej pory temat rzekomego romansu zmarłego w grudniu 2011 r. eksprezydenta i znanej autorki powieści dla kobiet nie znika z łamów prasy. Nie tylko tabloidów, takich jak „Blesk”. Nawet poważny tygodnik „Tyden” poświęcił okładkę oraz kilkanaście stron wewnątrz numeru na prezentację ustaleń „dziennikarskiego śledztwa”, mającego wykazać, czy 75-letni Havel rzeczywiście „wytramtał” 49-letnią Obermannová.

„Tramta” to słowo używane przez bohaterów na oznaczenie aktu seksualnego, do którego doszło ponoć pięć razy. „Jesteś taki malusi, drobnusi. Jak malutki wiecheć” – czytamy we fragmencie uznanym już w rankingu popularnego magazynu „Reflex” za drugą najgorszą scenę erotyczną w literaturze czeskiej w 2011 r. „Masz pomarszczoną skórę, wisi na tobie, chudzińko. Jakis ty stary. Jesteś jak dziecko. Największy Czech. Muszę przestać zwracać na to uwagę”.

Zdaniem Michaela Kocaba, wieloletniego doradcy i współpracownika Havla, książka Obermannové dosłownie go zabiła. Wprawdzie nie pada w niej jego nazwisko, a sama autorka początkowo zaprzeczała, jakoby to on był bohaterem jej powieści, ale wszystkie przytoczone w książce oko-

liczności i szczegóły, włącznie z datami urodzenia pary głównych bohaterów czy podróżami Havla, nie pozostawiają wątpliwości, o kogo chodzi.

W dodatku autorka słynie z ekshibicjonistycznych wyznań. Bohaterki jej wcześniejszych, wydanych również po polsku książek spijają z jej prawdziwymi kochankami albo przynajmniej onanizują się pod prysznicem. Jeszcze kilka lat temu Obermannová narzekała w wywiadach, że powoli przyzwyczaja się do samotności, bo mężczyźni coraz częściej unikają kontaktów z nią w obawie przed opisaniem na stronach jej kolejnej książki. Havel najwyraźniej nie czytał tych wywiadów, bo jak sam przyznał w rozmowie z tabloidem „Blesk”, kilkakrotnie spotkał się z nią towarzysko, co Obermannová, jego zdaniem, „wykorzystała w niegodziwy sposób, wplątując nasze spotkania w świat swojej chorej wyobraźni”.

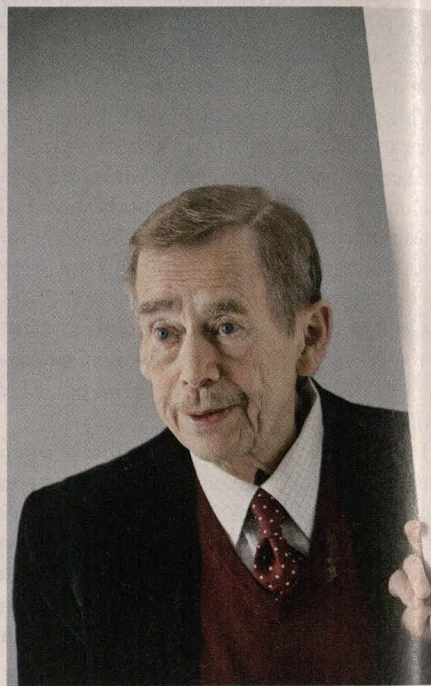
Na pierwsze spotkanie autorki „Tajnej książki” z czytelnikami we wrześniu ubiegłego roku przyszło zaledwie 12 osób. Ale potem tabloidy przedrukowały fragmenty książki. I się zaczęło. Kiedy jeszcze Havel w wywiadzie dla „Bleska” oświadczył, że nie czytał powieści Obermannové, gdyż z tego, co wie, jest to „książka obliczona na wywołanie sensacji, pełna półprawd i kłamstw”, autorce, prywatnie

rozwiezionej matce dwóch dorosłych córek, byłej żonie muzyka rockowego, puściły nerwy.

„Byłam kochanką Vaclava Havla. I nie pozwolę zrobić z siebie tej, która skrzywdziła małego, biednego paniczka, co to nie umiał powiedzieć »nie«, nie umiał się obronić. On to umie. Tylko nie lubi tego robić, od tego ma pomocników. Wychodzi na to, że tylko ja w tym towarzystwie naprawdę żyję w prawdzie” – oświadczyła mocno zirytowana pisarka w wywiadzie dla największego dziennika „Dnes”.

Miała prawo się wkurzyć, słysząc choćby taką wypowiedź wieloletniego rzecznika prasowego Havla – Ladislava Szpaczka: „Jeśli ktoś miał to szczęście, że mógł przeżyć z Vaclavem Havlem pewne uczuciowe współbrzmienie czy też piękny moment, to sprawa tak intymną porządna kobieta zachowałaby dla siebie, w swoim sercu”. Tym samym przyznał więc, że jego chlebodawca wykonał skok w bok. A przy okazji zasugerował, że Obermannová kierowała żądzą zysku.

Większość Czechów jest przekonana, że Havel rzeczywiście miał romans z popularną pisarką. Zdaniem niektórych dostał wreszcie to, na co zasłużył. Czeski prezydent słynął z tzw. miłosnych podbojów już w czasach dyndendkich. Nie było też tajemnicą, że żył



z Dagmarą Veskrnovą, swoją późniejszą drugą żoną, kiedy jeszcze jego pierwsza żona Olga umierała na raka. Między innymi dlatego Czesi nigdy nie zaakceptowali Veskrnové w roli pierwszej damy. W powieści Obermannové wdowa po Havlu występuje jako Centrala, bo bez przerwy wydzwania do niego i sprawdza, co robi.

Obermannová od kilku miesięcy przebywa za granicą, nie odbiera telefonów, nie kontaktuje się prasą. „Wredna suka” to najłagodniejszy epitet pod swoim adresem, na jaki może natknąć się w Internecie. Również krytycy literaccy nie zostawili suchej nitki na jej powieści, twierdząc, że przypomina ona blog pisany przez pretensjonalną gimnazjalistkę nimfomankę.

Istotnie, książka ma formę dziennika głównej bohaterki, prowadzonego od 1 stycznia 2010 do 2 stycznia 2011 r. Już po trzech miesiącach autorka postanowiła napisać powieść o swoim „tramta” z Havlem, potem nawet mówi mu o tym, co ten przyjmuje z uśmiechem. Największy Czech sugeruje jej nawet tytuł książki. Wkrótce jednak zaczęła jej unikać. Być może dociera już do niego, że dał się złapać w pułapkę. I że ta historia skończy się tak jak najśłynniejsza praska powieść jego ulubionego pisarza: „Było tak, jak gdyby wstyd miał go przeżyć”.

OLA URZĘDOWICZ Z PRAGI

Brecht na osiem rąk

Znają państwo „Alabama Song” i „Mackie Majchra”? Kapitalnie, ale to wcale nie jest cały Bertolt Brecht



Mamy więc skupionego na wczesnych songach do muzyki Kurta Weilla Jacka Burasa, który wspomina je jako „pełne polotu i inteligentnych, czasem imper-tynencko sformułowanych pouczeń, serwowanych zastanemu światu (...) z ostentacyjną dezynwolturą i w opakowaniu eleganckich bądź brutalnych, ale zawsze celnych bon motów”. I mamy Ekiera kwestionującego „pochopne utożsamienie podmiot = autor” w interpretacjach poezji Brechta. Mamy Andrzeja Kopackiego, który przypominając „niewiarygodne głupstwa”, jakie pisał

Brecht w czasach stalinowskich, pokazuje jednocześnie momenty, w których okazuje się rzeczywiście wielkim poetą. I mamy wreszcie Piotra Sommera, który w (głównie późnym) Brechtie widzi lirycznego pobratymcę swego ulubionego Charlesa Reznikoffa i tropi prze-możny wpływ poety na polską Nową Fale – od Kornhausera przez Lipską po, zwłaszcza, Ryszarda Krynickiego (a wiemy przecież, że i w wierszach samego Sommera Brecht, bo chyba nie tylko Reznikoff, jakoś się troszeczkę od-ciska). Pokazuje też paradoksalność po-

etyki Brechta, który, niby-prosty i „rozumiały”, tak prowadzi zdanie, iż „czy-tając, ma się wrażenie, że [autor] robi nas w trąbę”.

To jest książka, która nie tylko przynosi sporo zajmujących wierszy (więcej lub mniej – to już zależy od stopnia podziwu, z jakim się na te wiersze re-aguje, w przypadku wyżej podpisane-go podziw jest często umiarkowany). Ale także zaświadcza, jak można sen-sownie, kompetentnie, interesująco i w sposób nieoczywisty o wierszach pisać. I w tym sensie jest nie tylko ładna, ale i pożyteczna (co pewnie byłoby miłe sa-memu Brechtowi). Na koniec zaś wła-snie jemu wypada oddać głos i niech bę-dzie to jeden z evergreenów, na przy-kład „Rozwiązanie” z 1953 r. (w przekła-dzie Piotra Sommera):

Po powstaniu 17 czerwca
Przewodniczący Związku Pisarzy
polecil w alei Stalina rozrzuć ulotki
Głoszące, że naród
Utracił zaufanie władz
I może je odzyskać tylko
Przez zdwojoną pracę. Czy jednak
Nie byłoby prościej, gdyby władze
Rozwiązały naród
I wybrały nowy?
No i tak to jest.

MARCIN SENDECKI



Sommer, Biuro Literackie, 202 s.

„Ten cały Brecht”, pomysł i oprac. Andrzej Kopacki, wybór wierszy, przekł. i kom. Jacek St. Buras, Jakub Ekier, Andrzej Kopacki, Piotr Sommer, Biuro Literackie, 202 s.

BIBLIOTEKA MAŁEGO CZŁOWIEKA

Szczęście od innej ryby

Nie tylko złote rybki spełniają marzenia. Dowodem pełna absurdałnego humoru opowieść Erlenda Loe

Do książeczka niewielkich rozmiarów. Na pomarańczowej okładce uśmiechnięty, wąsaty pan z małymi oczkami i wielkim nosem wznosi do góry ręce w geście szczęścia. To tytułowy Kurt. Jest operatorem wózka widłowego. Ma żonę – architektkę Anę-Lizę oraz trójkę dzieci: Chudą Helenę, Kurta Bąbelka (nazwanego tak, bo uwielbia napoje gazowane) i Buda. Pewnego dnia, gdy w porcie jest wyjątkowo dużo paczek do rozładowania, Kurt znajduje na brzegu olbrzymią rybę.

Szef pozwala mu ją zabrać. Ryba jest martwa, a po usmażeniu wykrojonego z niej kawałka okazuje się być bardzo smaczna. Rodzina stwierdza, że ma teraz jedzenia na wiele miesięcy, w związku z tym wszyscy mogą wybrać się w podróż dookoła świata. Wyjeżdżają na żółtym wózku widłowym Kurta, zabierając ze sobą rybę (która notabene z każdym dniem jest coraz smaczniejsza). Tak zaczyna się pełna przygód i zabawnych zdarzeń „powieść drogi”, w której okazuje się, że nawet bardzo

kochający się ludzie mogą przeżyć kryzys wzajemnych relacji, kiedy przebywają ze sobą zbyt długo.

Opowiadanie ma logikę, jaką posługują się małe dzieci. Zdania są proste, częste powtórzenia podbijają wrażenie absurdu. Fabuła snuje się na zasadzie zdania-skojarzeń. Rzeczy niemożliwe są jak najbardziej możliwe i oczywiste itd. Najbardziej wiarygodnym wytłumaczeniem tej konwencji byłaby odpowiedź, że książkę podyktował pisarzowi kilkuletni syn sąsiada.

Norweg Edgar Loe zaliczany jest często do nurtu tzw. naiwizmu. Dorosłym polskim czytelnikom znany jest z negacji konsumpcyjnego, nowobogackiego stylu życia jako autor „Naiwny. Super” i „Doppler”.

MONIKA JANUSZ-LORKOWSKA



Erlend Loe, „Kurt i ryba”, il. Kim Hiorthoy, Eneuerabe, 76 s.

Pytania pustej sceny

Czy zdarzyło ci się być pijanym w teatrze? A płakać? To pierwsze kwestie, na które będziesz musiał/a odpowiedzieć w „Prologu”

WITOLD MROZEK

Wojtek Ziemilski funkcjonuje na przecięciu teatru, tańca i sztuk wizualnych, w ciągłym ruchu między Polską i Europą Zachodnią. 35-letni reżyser i performer nie ukończył żadnej z polskich szkół teatralnych – studiował za to filozofię, a przygodę z teatrem rozpoczął w... Portugalii. Trudno go przypisać do któregoś z nurtów czy estetyk obecnych na rodzimej scenie – pracuje na marginesie teatru repertuarowego. Zadaje jednak w swojej pracy pytania, które dla teatru w ogóle mogą mieć zasadnicze znaczenie. Czym są, czy są potrzebne i czym mogą stać się jeszcze w teatrze historia, tekst, gra aktorska, wreszcie – widz?

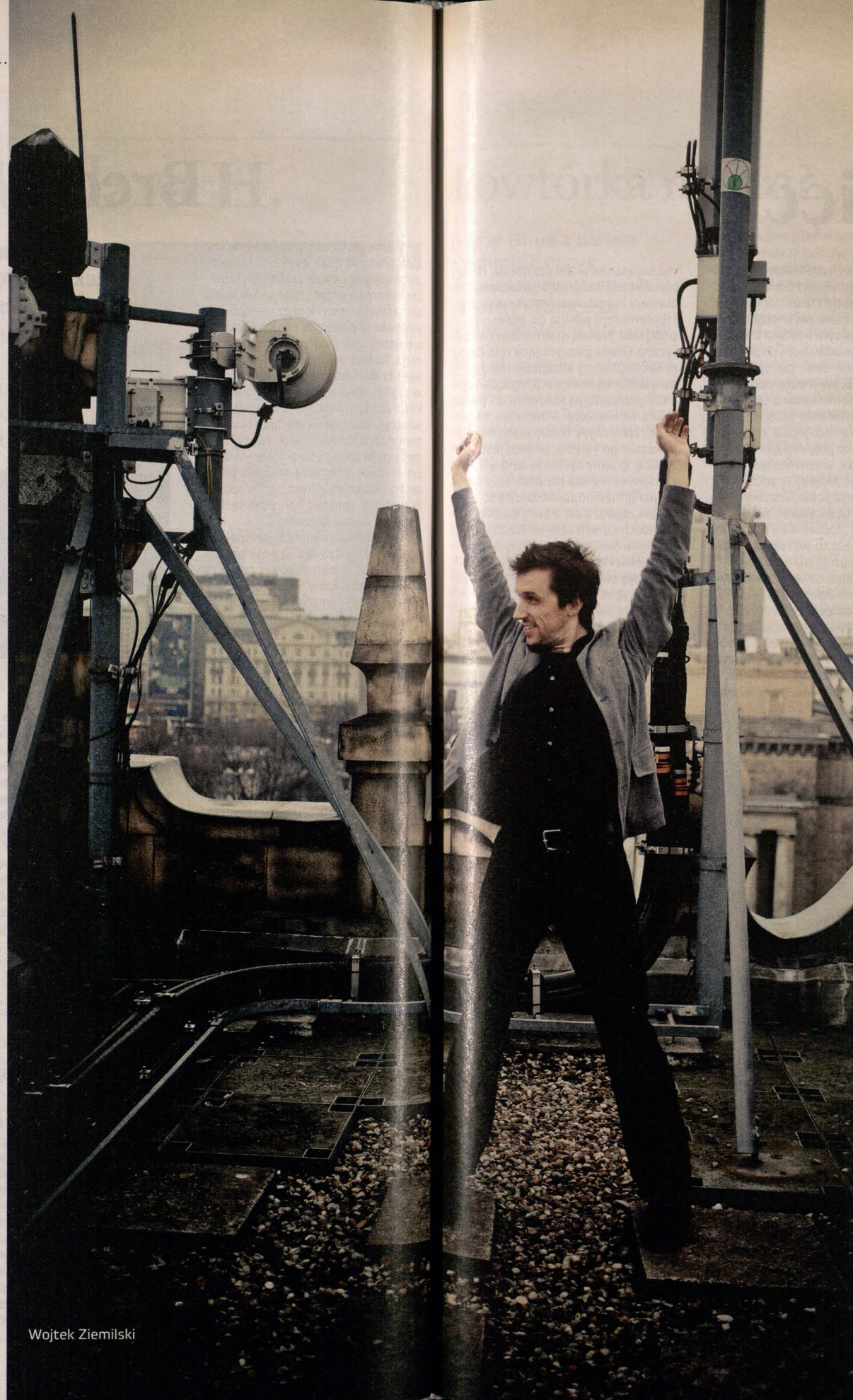
Projekt „Mapa w Komunie Warszawa” Ziemilski zrealizował dla pięciu widzów – bez fabuły, akcji, postaci – podsuwając jedynie sugestie do odkrywania pewnej przestrzeni, tworząc spektakl spacer. W instalacji „Aktorzy” w TR Warszawa uchwycił kluczowy dla aktorstwa moment pomiędzy prywatnością a grą. Rozgłos zyskał jego spektakl „Mała narracja”, wykonywany m.in. w teatrze Studio i warszawskim Centrum Kultury Nowy Wspaniały Świat. To performance'owy wykład o odkrywaniu rodzinnej przeszłości, uwikłaniu dziadka artysty – Wojciecha Dzeduszyckiego – we współpracę ze Służbą

Bezpieczeństwa, wreszcie – napięciu między konkretną indywidualną biografią a polityką historyczną Instytutu Pamięci Narodowej. W „Prologu”, który swoją premierę miał na Krakowskich Reminiscencjach Teatralnych, a właśnie za sprawą Teatru Ochoty trafia do Collegium Nobilium, artysta przenosi uwagę z siebie na publiczność. I przygląda jej się z bardzo bliska.

Zlikwidować widza

Widz teatralny staje od czasu do czasu w obliczu sytuacji, gdy udział w przedstawieniu przekroczyć musi zwyczajny rytuał – kup bilet, wejść, usiąść, klaszcz, wyjdź. Może ktoś z wykonawców zadał mu jakieś pytanie podczas przedstawienia. Może aktor wyciągnął mu publicznie z portfela 20 zł, by potem oddać je dyskretnie (z reguły oddają). Może nawet nasz nieszczęsny teatroman wyciągnięty został kiedyś na scenę. Bardzo często takie „interaktywne” działania irytują. Mało kto je lubi. Trzeba przełamać wstyd i zażenowanie, można narazić się na śmiech. A aktor, jakkolwiek nie byłby uprzejmy, zawsze będzie miał w tej sytuacji przewagę nad odbiorcą – swoją „ofiara”.

Co zrobić z tą przewagą? Można próbować ją usunąć, znosząc podział na scenę i widownię, umieszczając aktorów i widzów w jednej przestrzeni. Na tym polegały mię-



Wojtek Ziemilski

dzy innymi teatralne działania amerykańskiej neoawangardy lat 60., chociażby Roberta Rauschenberga. Legenda amerykańskiego teatru i twórca współczesnej performatyki – Richard Schechner – wspólnie z Performance Group zrealizował w roku 1969 przedstawienie „Dionysus in 1969”; widzowie wchodziłi tam w interakcje z aktorami, nawiązywali z nimi kontakt fizyczny. W polskim teatrze niedawno nawiązał do takich praktyk chociażby Wiktor Rubin, w gdańskiej inscenizacji „Orgii” Piera Paola Pasoliniego – akcja rozgrywała się między rozrzuconymi po sali pojedynczo widzami, o których aktorzy ocierali się, siadali im na kolanach, przydzielali zadania. Zamiast likwidować przewagę wykonawcy, Rubin przemoc obecną w podszytym sadomasochizmem tekście Pasoliniego przełożył na przemoc teatralnej sytuacji.

Zlikwidować aktora

Ziemilski działa dokładnie odwrotnie. Jego odpowiedź brzmi: „zlikwidować” aktora. Przychodząc na „Prolog”, widzowie nikogo nie zobaczą. Pierwsza niespodzianka, przed którą stawia nas reżyser: wkraczamy na pustą scenę. Tu nie ma wykonawców. Aktorami stajemy się zatem wszyscy, grając przed – pustymi – rzędami widowni. Uczestnicy tego eksperymentu nie zostają całkiem sami. Od początku towarzyszy im „głos Prologu”. Specyficzny tembr rozbrzmiewa w słuchawkach, jakby do każdego z osobna – choć przecież nietrudno się domyślić, że w rzeczywistości każdy słyszy to samo. Padają polecenia i pytania. Te ostatnie odnoszą się do naszych wcześniejszych teatralnych doświadczeń. Są bardzo konkretne, bywają zabawne, ale i obcesowe. Czy zdarzyło ci się być pijanym w teatrze, czy zdarzyło ci się płakać podczas przedstawienia? – to dopiero początek. Odpowiedź „tak” – krok do przodu, „nie” – krok do tyłu. W efekcie powstaje rodzaj socjologicznego badania; ankiet, której wyniki na bieżąco śledzimy w przestrzeni teatru. Na ile jednak jesteśmy sami ze sobą

szczerzy, a na ile sugerujemy się spojrzeniem pozostałych uczestników, kreujemy swoją postać w taki czy inny sposób?

Działa tu miękka, ale wyjątkowo skuteczna perswazja. Nadzorcą jest nie tylko głos ze słuchawek, ale i każdy współuczestnik sytuacji – nie chcemy wyjść na tego jedyne-go widza, który nie umie się bawić... Każdy jest nadzorcą i nadzorowanym – to trudna równość. Ziemilski ma jednak wyjątkowe wycucie taktu i zmysł teatralnej zabawy. Sprawiają one, że wejść w jego grę jest zaskakująco łatwo. I do pokusy, by mówiący w słuchawkach głos traktować jako skierowany do jednej jedynej osoby, dołącza pokusa, by potraktować tę z definicji sztuczną – bo teatralną – sytuację jako przejaw jakiejś utopijnej bezpośredniości czy szczerości.

Zamiast opowiadać jakąś historię, dekonstruować język czy budować obrazy – artysta proponuje nam po prostu bycie razem w jednym miejscu i czasie; próbę stworzenia wspólnoty, która w teatrze i tak zawsze powstaje, ale tu staje się głównym tematem. „Wspólnota”, „bycie razem” – z czym się dziś to kojarzy? W najlepszym razie z naiwnością, w najgorszym z sekciarstwem. Dlatego też od razu mogą pojawić się wątpliwości – które również są tematem spektaklu. Co to za bycie razem, skoro to nie my ze sobą rozmawiamy – a prowadzi nas jeden głos? Może wbrew pozorom stajemy się tu jeszcze bardziej zatowimizowani? Projekt Ziemilskiego, konsekwentny i przemyślany, nie ma w sobie ducha radykalizmu lat 60.; reżyser nie stara się rekonstruować ani przeliczować tamtych eksperymentów. Ich pamięć jest jednak obecna, zwłaszcza w drugiej połowie przedstawienia – gdy głos ze słuchawek zastawia się, czy miałby sens i co dałby nam powrót do tak mocnych gestów – do nagości, seksu, narkotyków na scenie. Czy historia nie powtórzyłaby się tylko jako farsa? Skoro tak – to na czym w teatrze ma dziś polegać przekroczenie? Czy go potrzebujemy? Warto wybrać się na „Prolog”, by zadać sobie te pytania. ●

Gry duńskiego księcia

Poznański „Hamlet” Pawła Szkotaka jest opowieścią o świecie, w którym zbrodnię i zło nazywa się polityką. Człowiek, który czuje się lepszy od innych, może uzdrowić rzeczywistość tylko w jeden sposób: unicestwiając wszystkich, którzy są nią zarażeni. I siebie

Paweł Szkotak czyta Szekspira po linii Swinarskiego i jego legendarnego, nieukończonego „Hamleta”. Kładzie akcent na sprawy państwa i sukcesji władzy, opowiada tragedię w konwencji politycznego thrilleru. W tak pomyślanej rzeczywistości nie ma miejsca na miłość, pamięć, współczucie, odpowiedzialność. Jest tylko gra, kombinacje układów sił. Reżyser zakłada, że bardziej powinniśmy rozumieć motyw postępowania bohatera, niż się z nim utożsamiać. Hamlet grany przez Michała Kaletę jest nieprzyjemny, cyniczny, czasami nawet nieludzki. W jednej z pierwszych scen odbiera z depozytu rzeczy należące do ojca – komórkę, sygnet, okulary. Włącza telefon, odsłuchuje pocztę

głosową, zakłada ojcowskie szkła, tak jak się zakłada maskę na twarz. „Będę tylko grał wrażliwego inteligenta, tak naprawdę jestem jednak kimś innym, niż myślicie” – zdaje się mówić. W tym przebraniu przechadza się po scenicznym Elsynorze, przypominającym nawet nie nowobogacki pałac, co dwukondygnacyjny salon spa. Hamlet u Szkotaka nie jest tym, który demaskuje obłudę i pozorowaną żalobę dworu. Sam kłamie najwięcej, udaje żal po śmierci ojca, mistyfikuje jego pojawienie się. Wszystko po to, żeby wytrwać do końca rozgrywki. Musi przekonać rywali i świadków – a nawet siebie – że nie jest groźny, że tylko z czystej bezsilności zadaje ciosy. Bo gra w wielopoziomową grę

sam jeden przeciwko królowi, rodzinie, szpiclom, urzędnikom i obywatelom. Na ich machinacje i fałsz odpowiada fałszem monstrualnym i ostatecznym. W przesiąkniętym polityką świecie Hamlet nie posiada żadnych poglądów – nie kieruje nim ideologia, tylko czysta praxis. Wie, jak można zdobyć władzę i taki sobie zakłada cel. Po co mu to? Nie chce przecież władzy dla ambicji i nie chce jej dla zemsty (tę realizuje niejako przy okazji). Nie próbuje udowodnić umarłemu ojcu, że na nią zasłużył. Mógłby ją zdobyć i po prostu pójść sobie, zostawiając niepotrzebne trupy wokół. Bo ostatecznie stracił złudzenia co do natury ludzkiej: „Złe jest to wszystko i skończy się źle”. Jego działania są tyleż zamachem stanu, co wyrafinowanym samobójstwem. Za motto spektaklu można by uznać pełen niezdrowej ekscytacji okrzyk Hamleta: „Co to za rozkosz widzieć, jak dwie intrygi pędzą przed siebie na oślep, by się zderzyć łbami”. Tylko to drżenie trzyma bohatera przy życiu, zmienia go w automat niszczącego i upokorzenia. To jeden z najbardziej samotnych Hamletów, jakich widziałem. Nie

ma sojuszników ani przyjaciół. Horacy jest dworskim funkcjonariuszem, złamani aresztowaniem Rozenkranc i Gildernstern pilnują go lepiej niż policjanci. Nawet stłamszona i neurotyczna Ofelia (przejmująca rola Barbary Prokopowicz) akceptuje reguły powszechnej inwigilacji, zgadza się, żeby przypięto jej mikrofon do podłuchiwania Hamleta. Potem jednak w odruchu nigdy niewygasłej miłości pokazuje go księciu: „Patrz, jestem z Tobą, grajmy razem w tę grę”. Tylko że Hamlet nie ufa już nikomu. I dlatego przyjmuje odpowiedzialność za jej śmierć, zgadza się z tym, że ofiary z bliskich są wliczone w koszt. W najbardziej wstrząsającej scenie spektaklu Hamlet wypływa z urny na swoją twarz prochy Ofelii, jakby grzebał ją w sobie – na zaciśniętych ze złością wargach i zamkniętych powiekach. Już myślałem, że w tak przygotowanym „Hamlecie” legendarny monolog „Być albo nie być” nie jest potrzebny. Bo w końcu u Szekspira wypowiada go człowiek zagubiony w życiu, pełen wahań, co wybrać – działanie czy wybaczenie, pamięć czy kompromis. Książę Kalety znajduje czas na te rozważania dopiero na końcu spektaklu, przed pojedykiem. Lecz wtedy „nie być” i „być” znaczą już dla niego tyle samo. Polityka jest złem, ale tylko dzięki niej świat istnieje. Hamlet – jeszcze jeden amoralny polityk pokonany własną bronią? Ocalony przypadkiem z finałowej rzezi Horacy rzuca ironicznie w stronę trupa księcia: „Pękło szlachetne serce”...

Podaję, że żaden inny reżyser młodej generacji nie zrobiłby „Hamleta” w taki sposób i nikogo nie interesowałaby tak widziana polityka. Bo Paweł Szkotak cofa się przed erą postpolityczności, do czasów, kiedy cynizm i naiwność nie egzystowały jeszcze razem w tak dziwnych proporcjach jak teraz. I wychodzi mu apologia ludzkiej bezzadecności. Skoro „nic nie można”, to może i lepiej. Zostańmy tam, gdzie jesteśmy: w bólu bez szans na odpłatę.

ŁUKASZ DREWNIAK

„Hamlet” Williama Szekspira, reż. Paweł Szkotak, scen. Anna Zawadowska, muz. Krzysztof Nowikow, wyk. Piotr Kaźmierczak, Michał Kaleta, Wiesław Zanowicz, Łukasz Chruszcz, Barbara Prokopowicz, Teatr Polski w Poznaniu, premiera 27 marca



Powtórka marca?

Gdyby istniała ustawa o ochronie uczuć urzędniczych, to spektakl Sadochy i Kmiecika wielokrotnie by ją zламаł

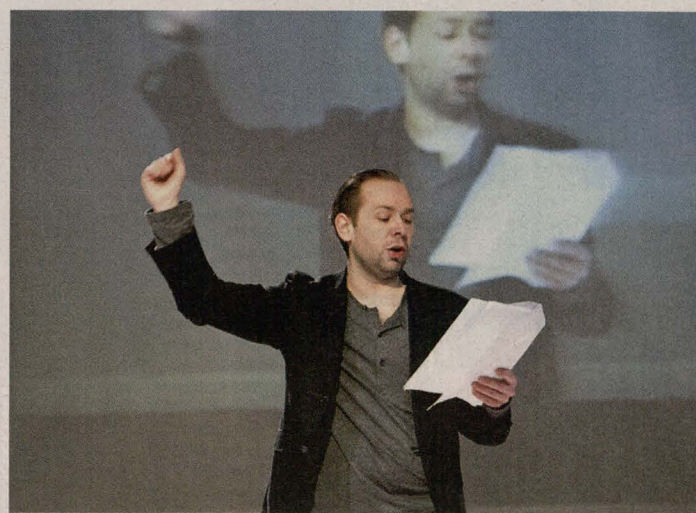
Nie zdarza się, by w teatrze repertuarowym spektakl powstał w dwa tygodnie i to praktycznie równoległe z tekstem. Tylko wyjątkowe okoliczności mogły skłonić ekipę Teatru Polskiego we Wrocławiu, by w tak forsownym tempie wystawić „Czy pan to będzie czytał na stałe?”. Urzędnicze pomysły umożliwiające zwolnienie dyrektora instytucji, której inscenizację zbierają nagrody i uznanie przez prestiżowy miesięcznik za najlepszy teatr w Polsce, wydają się absurdalne. Choć argument ekonomiczny jest jedynym, który wysuwają dolnośląscy władarze, niepokorny repertuar od lat może być im solą w oku. Rezygnacja z ambitnych przedstawień i zastąpienie ich rozrywką dla mas zapewne przyszybyłoby łatwo menedżerowi zatrudnionemu na miejsce dyrektora naczelnego. Czyżby wiosną 2012 r. czekała nas swoista powtórka z marca '68 – ingerencja władz w autonomię sceny?

Na razie teatr się broni. A jego sytuacja sprowokowała do protestu całe środowisko. List otwarty „Teatr nie jest produktem. Widz nie jest klientem” był czytany w wielu teatrach oraz podczas Warszawskich Spotkań Teatralnych, a pytanie zadane przez dziennikarza posłużyło za tytuł sztuki.

Artystycznie przetworzona frustracja zaowocowała poruszającym widowiskiem. Pełna chaosu scenografia z rozrzuconymi na podłodze plakatami stanowiła aluzję do happeningu towarzyszącego wyrzuceniu reżysera Wojtka Klemma („Nie dość, że Żyd, to jeszcze Niemiec”) z Teatru w Jeleniej Górze w 2009 r. Zawierała też elementy budzące skojarzenia z „Tęczową trybuną” czy „Szosą wołokołamską” – niedawnymi wybitnymi osiągnięciami Teatru Polskiego we Wrocławiu. Projekcje zbliżeń twarzy aktorów wydobywały niepokój, irytację i gniew ludzi teatru, a także pozerstwo i pogardę ludzi władzy.

W konstytutywnych dla spektaklu kwestiach Michał Opaliński stwierdził, że społeczeństwo, w którym przetrwa najsilniejszy, jest „łatwe do rządzenia, proste w obsłudze”, a gdy „państwo polskie buduje stadion, a zamyka teatry”, to „zwykła kultura, która nie jest fizyczna, nie ma szans”. Jednemu z urzędników zarzucającemu, że komin w teatrze jest brudny, a szminka i stanik – drogie, Ewa Skibińska odpowiada słowami Moniki Strzępki: „Czy ty siebie słyszysz, człowieku? Kto ci tę rolę napisał? Kto cię reżyseruje? Kto cię, kurwa, hodował i na jakiej grządce?”

Nie był to w spektaklu jedyny głos oburzenia. Przemówienie Bronisława Komorowskiego czy wypowiedzi wysokiej urzędniczki krytykującej aktora za nagość („A w ogóle to proszę do mnie mówić w ubraniu”) i dyscyplinującej reżyserkę („Proszę bliżej, bo potem mówicie, że nie macie kon-



taktu z władzą”) nie wystawiły dobrego świadectwa artystycznej wrażliwości rządzących. Nieodmiennie zaś w różnych kontekstach pojawia się sprawa pieniędzy i oszczędności. „Trzeba było bardziej uważać, gdy pani podpisywała umowę o dzieło życia” – strofuje reżyserkę urzędniczką.

Gdyby istniała ustawa o ochronie uczuć urzędniczych, to utwór Sadochy i Kmiecika wielokrotnie by ją zламаł. Pracownicy urzędów nie powinni go w ogóle oglądać i to nawet nie dlatego, że by go nie rozumieli, ale z obawy, że ich świat ległby w gruzach. Bardziej jest jednak prawdopodobne, że nie chcieliby słuchać z desek, podobnie jak nie słuchają zza biurka. Zarzucanie władzy arogancji, ignorancji, obskurantyzmu rzadko dla zależnych od niej artystów kończy się dobrze. Walka o autonomię poprzez

publiczne, artystycznie podrasowane złośliwości Olgi Lipińskiej kosztowała ongiś telewizyjny „Kabaret”. Krzysztofowi Mieszkowskiemu należy się los lepszy niż Kazimierzowi Dejmowskiemu w 1968 r. Miejmy więc nadzieję, że to rzeczywiście nie tamten marzec.

JAROSŁAW KLEBANIUŁ

„Czy pan to będzie czytał na stałe?”, według utworu Marzeny Sadochy i Michała Kmiecika, reż. i oprac. muz. Michał Kmiecik, dramaturgia Marzena Sadocha, wyk. Paulina Chrapko, Halina Rasiakówna, Adam Cywka, Jakub Giel, Michał Opaliński, Teatr Polski we Wrocławiu, Scena na Świebodzkim, prapremiera 12 kwietnia

Bryk z Ajschylosa

Trzeba jasno powiedzieć: „Oresteja” to bardzo złe przedstawienie niegodne ani Mai Kleczewskiej ani sceny Teatru Narodowego

Ten projekt nie miał prawa się nie udać. Wybitna reżyserka, wspólni aktorzy, muzyka świetnej kompozytorki. Na scenie projekcje wideo, a do tego soliści i chór Opery Narodowej. Teksty nie tylko Ajschylosa, ale też Eurypidesa, Heinera Müllera, Ingmara Bergmana, Christy Wolffa i dialogi z „Godzin” Stephena Daldry’ego. A jednak się nie udało.

Akcję przeniesiono w czasy dzisiejsze. Uwspółcześnienie jest jednak

przeprowadzone drogą najprostszych skojarzeń. Wojna trojańska to nieciekawa karykatura interwencji USA w Iraku. Klitemnestra jako uciskana żona chodzi w fartuchu po kuchni, a Agamemnon – mąż szowinista – rozwała się na kanapie i po wymuszonym seksie chce kanapek i piwka. Rozumiem, że zdaniem twórców spektaklu trzeba jasno wyłożyć, o co poszło, a u Ajschylosa wyjaśnienie jest zbyt skomplikowane i wielowarstwowe. Pozostaje jednak niebezpieczeństwo, iż widz uzna, że poszło właśnie o piwko, fartuch i gary. I będzie miał wrażenie, że twórcy nie mieli czasu albo ochoty w skupieniu przeczytać „Orestes”.

Przed banalnością mają bronić dodatkowe konteksty – słowa innych autorów. Problem w tym, że w najlep-

szym razie bywają niepotrzebnymi ozdóbkami, a w najgorszym – są zgrzytem, jak pojawiające się nie wiadomo po co, włożone w usta Klitemnestry hippisowskie wspomnienia Clarissy Vaughan z filmu „Godziny”. Umieszczeni między Ajschylosem i doklejanymi do niego na siłę tekstami aktorzy gubią się w tym, co robią. Na przemian deklamują i budują niby-luzackie improwizacje, w których nienaturalnie wypada nawet tak świetny aktor jak Sebastian Pawlak (Orestes). Efekt jest trudny do zniesienia.

Jak na Kleczewską przystało, jest drastycznie – na scenie pojawiają się brutalny seks, narkotyki, projekcje wideo z robakami wijącymi się pod powieką trupa oraz wielki wypchany jeleń, z którego wychodzi zakrwawiona Ifigenia. Wszystko to puste, trochę śmieszne ornamenty. Elementy konwencji, która się już dawno opatrzyła, a tym razem próbuje ukryć fakt, że

realizatorzy nie mają nic do powiedzenia. Warszawska „Oresteja” jest brykiem, który próbuje Ajschylosa uproszczyć, ale nie do końca wie, jak to zrobić. Reżyserka takiego formatu – nie wiem. Lepiej o tym szybko zapomnieć.

Szkoda tylko, że wraz z „Oresteją” z pamięci może się ulotnić wspaniała muzyka Agaty Zubeł. A to jedyny powód, dla którego najnowsza premiera Narodowego unika oceny „dno”, awansując do kategorii „słabo”.

PAWEŁ SCHREIBER

„Oresteja”, reż. Maja Kleczewska, opracowanie tekstu Łukasz Chotkowski, scen. Katarzyna Borkowska, muz. Agata Zubeł, wyk. Danuta Stenka, Sebastian Pawlak, Kamilla Baar, Anna Chodakowska; Teatr Narodowy w Warszawie, premiera 14 kwietnia



Katowice, Osiedle Tysiąclecia

Architekturę sprawdzam na sobie

Chcę się dowiedzieć, czy to głupota ludzi rządzi jakimiś decyzjami urbanistycznymi, czy cynizm i chciwość – mówi Katarzynie Kazimierskiej fotograf i dziennikarz **FILIP SPRINGER**. Jego „Miedzianka. Historia znikania” znalazła się w finale konkursu o Nagrodę im. R. Kapuścińskiego. „Źle urodzone. Reportaże o architekturze PRL” to przywrócenie pamięci o symbolach powojennego modernizmu

Po jakim budynku płakałeś najbardziej?

– Po dworcu w Katowicach. Kiedy burzyli warszawski Supersam w 2006 r., jeszcze niewiele wiedziałem o modernizmie i jego wartości architektonicznej, nie zajmowałem się tym. A Dworzec Katowicki najpierw fotografowałem otoczony budami oraz śmieciami, i dopiero jak ten syf usunięto, zobaczyłem, jaki jest piękny.

Skąd u ciebie zainteresowanie modernizmem powojennym?

– Zaczęło się, gdy zamieszkałem na blokowisku w Poznaniu. Teraz trudniej znoszę takie warunki mieszkaniowe i to, jak takie osiedla wyglądają. Więcej tam widzę wykoślawień idei modernistycznych, ale także współczesnych narośli, które wypaczają efekt jeszcze bardziej. Mam wrażenie, że gdy ma się większą świadomość pewnych procesów i trochę wiedzy, to rzeczywistość bardziej boli. Dziś najbardziej interesuje mnie to, jak przestrzeń oddziałuje na ludzi przez pryzmat doświadczenia, interesuje mnie opowieść o różnych

aspektach degradacji przestrzeni. Chcę poznać mechanizmy tych procesów, chcę się dowiedzieć, czy to głupota ludzi rządzi jakimiś decyzjami urbanistycznymi czy architektonicznymi, czy tylko cynizm i chciwość.

Napisałeś „Źle urodzone...”, przywracając tym samym pamięć o budynkach, które w większości na stałe wpisały się w krajobraz naszych miast. Dales upust ciekawości?

– W tym, co robię, napisanie książki nigdy nie jest celem samym w sobie. Ja chciałem sobie odpowiedzieć na kolejne pytania, które pojawiały się podczas moich podróży po Polsce. „Źle urodzone...” są tego efektem ubocznym. Mam jednak nadzieję, że ktoś, kogo nurtują podobne pytania, tę książkę kupi i znajdzie w niej kilka odpowiedzi. Ludzie coraz częściej stają pod budynkami i pytają o nie – to dobry znak. Mam świadomość, że ta książka jest skierowana do dość wąskiego grona odbiorców, ale myślę, że spełnia też funkcję edukacyjną. A kto wie, może sprawi, że ludzie zaczęną się uważniej wokół siebie rozglądać? Ja nie jestem aktywistą, bo nie jestem typem towarzyskim. Nie wyjdę bronić budynku przed wyburzeniem, nie zorganizuję akcji obronczej, ale chętnie zrobię interwencję w Internecie czy wezmę udział w debacie.

Ale kiedy burzono Pawilon Chemii przy Brackiej w Warszawie, wielu głosów protestu nie było. Czy ta świadomość dopiero teraz się pojawiła?

– Tak, ale to był 2008 r. Dla porównania – zobacz, co się stało z Dworcem Katowickim. Co prawda akcja SARP była za wolna, ale mieszkańcy, miłośnicy dworca zareagowali. Mamy coraz więcej głosów za utrzymaniem budynków, to działanie metodą kuli śniegowej. Chociaż podejrzewam, że gdyby takich budynków trzeba było bronić w Poznaniu, nie byłoby zbyt wielu chętnych do ich ratowania.

Co sądzisz o powstałym na miejscu Pawilonu Chemii polskim Harrodsie, powszechnie zwanym trumniakiem?

– Trumniak świetnie koresponduje ze Smykiem po drugiej stronie Alej, nawiązuje z nim dialog, który dla mnie jest prawdziwą przestrzenią przygodą. Kłopot jednak w tym, że jego powstanie zniszczyło życie ludziom mieszkającym w bloku obok. Trumniak wpisał się w paradygmat kapitalizmu. W świecie powojennego modernizmu nigdy by tam czegoś takiego nie postawiono.

Ikony modernizmu powojennego to jedno, ale już na blokowiskach ludzie psy wieszają.

– Ale ich nie burzą. Te bloki psieją, ale nie znikają. Co jakiś czas zaczyna się akcja typu re-

:blok, jak ta na Targówku, która ożywia blokowisko i nadaje mu nowe znaczenie, nową jakość (<http://re-blok.pl/o-projekcie>). Blokowiska, z wyjątkiem kilku, to jednak miejsca wyjątkowo fajne, gdzie ludziom się dobrze mieszka. Jedyne problemy są takie, że władze często myślą, iż pomaluje się blok na kolorowo i będzie lepiej. A taki budynek ma być tłem dla otoczenia, a nie bohaterem. Wracając do burzenia – często wystarczy twórczo zmodernizować czy przekształcić budynek, ale go zachować.

No właśnie, czy warto zachowywać wszystkie budynki tylko dlatego, że mają na sobie etykietę „powojenny modernizm”?

– Kiedyś zapytano Igora Hansena, syna Oscara i też architekta, o konsultację przy projekcie termomodernizacji elewacji na Osiedlu Słowackiego w Lublinie, które Oscar zaprojektował. Ten w odpowiedzi zapytał, czy zamierzają twórczo rozwinąć zastosowaną tam koncepcję Formy Otwartej Hansena, czy zmodernizować po prostu to, co powstało w latach 70. Inwestor odpisał po dwóch miesiącach, że Hansen swoim podejściem zniechęcił architekta. A przecież architektura może ewoluować, transformacja może być tylko lepsza. Takim przykładem jest Instytut Awangardy zorganizowany w Warszawie w dość pospolitym bloku. Tam wyburzyli kilka ścian i nagle zrobiła się zupełnie inna przestrzeń. Z drugiej strony nie uważam też,

że wszystkie obiekty muszą być zachowane, w tamtym okresie powstawało przecież mnóstwo budynków słabych, typowych albo przeciętnych. Środowiska architektoniczne ciężko w ostatnich latach pracowały nad listami cennych obiektów powstałych w Polsce po wojnie. Wystarczy z tej ich pracy skorzystać, by wiedzieć, co należy zachować.

A co z ludzkim wymiarem architektury według Hansena? Jak patrzysz na to dziś, odkąd mieszkasz przy Przyczółku Grochowskim?

– Hansena uznaje się za modernistę, ale często siedział on pod prąd tych idei. Owszem, uważał, że architektura kształtuje relacje. Próbowano mu jednak także zarzucić, że chciał przewi-

dzić wszystkie potrzeby ludzi. Mam wrażenie, że to nie do końca prawda, że zostawił dość duży margines na spontaniczność mieszkańców swoich obiektów.

Mam to szczęście, że mogę sprawdzić tę architekturę na sobie: okna kuchni wychodzące na galerię na Przyczółku, tak, że każdy przechodzący może się z tobą przywitać, nieogrzewane klatki schodowe, co odczułem tej zimy, oblodzone schody w zimie, o czym też się przekonałem, no i te niezliczone zakamarki, które na pewno mogą budzić niepokój, zwłaszcza wieczorami.

Czy z taką wiedzą o historii powstawania ikon powojennego modernizmu lub mechanizmach obrzydzania mieszkańcom przestrzeni publicznej nie mierzi cię jeszcze miasto?

– Miasto mnie nie mierzi, zwłaszcza Warszawa. W stolicy jest więcej przestrzeni, gdzie miasto funkcjonuje fajnie, dużo światła i zieleni. Takie miejsca jak Sady Żoliborskie czy Saska Kępa to dobrze zorganizowane przestrzenie, podobnie jest z aranżacją budynków. Bardzo podoba mi się, że w powojennych blokach na Powiślu otwierają się kawiarnie. W Poznaniu na przykład takie rzeczy się nie zdarzają, tam nikomu nie przyjdzie do głowy, by zrobić kawiarnię w bloku. Miasto cały czas mnie fascynuje i nie jestem nim zmęczony. Choć z drugiej strony nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem w lesie. ●

Wrocław, osiedle Grunwald



Filip Springer (2)

Siła braci

Legendarni brytyjscy elektronicy wracają w wielkim stylu

Po wydanym w 2004 r. „Niebieskim Albumie” Orbital, czyli bracia Hartnol, mieli już nie nagrywać nowych płyt. Ogłosili wówczas koniec działalności duetu. Pięć lat później wrócili, ale tylko po to, aby znów grać koncerty. Te jednak spotkały się z tak entuzjastycznym przyjęciem, że weterani brytyjskiej sceny elektronicznej nie mieli wyjścia i pod naciskiem fanów znów weszli do studia. I to była znakomita decyzja!

Blisko ćwierć wieku od premiery ich debiutanckiego singla „Chime”, przełomowego klasyka ery rave, Orbital nie stracili nic z dawnego blasku. Choć dla wielu z dzisiejszych klubowych bywalców mogliby być ojcami, wciąż brzmią świeżo, pomysłowo i oryginalnie. Najlepsi są, gdy przywołują ducha swoich wczesnych, niezwykle ważnych dla tanecznej elektroniki nagrań z początku lat 90., a robią to na „Wonky” chętnie i często. Ale braciom Hartnoll w głowie nie tylko sentymentalna gra starymi, sprawdzonymi trikami. Zaproszenie do współpracy rozchwytywanej Zoli Jesus i całkiem udane igraszki z dubstepem są dowodem, że liczą też na nowych fanów. Po tak świetnym powrocie na scenę pozostaje życzyć im ich jak najwięcej.

BARTEK WINCZEWSKI



Orbital
„Wonky”,
ACP

Powrót legendy

Dr. John w tym roku został w końcu oficjalnie przyjęty do Rockandrollowej Galerii Sław. Jednak nie wybiera się jeszcze na emeryturę

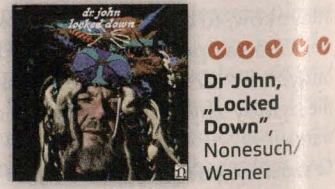
71-letni Dr. John Creaux Mac Rebennack jest chodzącą legendą Nowego Orleanu. Podobnie jak niezapomniany Screamin’ Jay Hawkins uchodzi za mocno ekstrawaganckiego artystę. Ponoć praktykuje wudu. Na scenie przebiera się w kolorowe stroje. Nigdy nie stronił od alko-

holu, narkotyków, awantur i kobiet – spłodził 11 dzieci i nagrał ponad 30 albumów. Do grona jego wyznawców należą Eric Clapton, Mick Jagger, Bob Dylan, Van Morrison, a ostatnio na solowy album zaprosił go nawet Hugh Laurie, czyli serialowy Doktor House. Wcześniej nie cieszył się wiel-

kim rozgłosem. Ale teraz młodzi muzycy postanowili powrócić do swoich korzeni muzycznych, a po huraganie Katrina oczy całej Ameryki zwróciły się w stronę tej zapomnianej części kraju, z której się wywodzi.

„Locked Down” to come back Dr. Johna na miarę słynnej serii „American Recordings” Johnny’ego Casha nagranej z Rickiem Rubinem. Produkcję płyty Dan Auerbach (lider i gitarzysta The Black Keys) podsunął muzykowi kilka zaskakujących inspiracji – przede wszystkim afrykański groove, harmonie i aranżacje instrumentów dętych wywodzące się z etiopskiego jazzu, które wyraźnie słychać w „Revolution”, „Big Shot” czy „You Lie”. Dzięki temu nie są to kolejne nudne bluesowe numery oparte na jednym rytmie i długich improwizacjach, ale zwarte i dynamiczne piosenki tętniące funkiem i urzekające klimatem retro. W „Ice Age” opisującym ponury współczesny krajobraz Ameryki pobrzmiwają gdzieś echa zachrypniętego Toma Waitsa. W niezwykle osobistym i szczerym „My Children, My Angels” powracają skojarzenia z The Rolling Stones, a w „God’s Sure Good” z Bobem Dylanem. Warto przy tych porównaniach pamiętać, że Dr. John śpiewający i przygrywający od lat na organach Farfisa kiedyś wyprzedził ich wszystkich. I to właśnie jego muzyki będzie się słuchało w 2012 r.

JACEK SKOLIMOWSKI



Dr John,
„Locked
Down”,
Nonesuch/
Warner

Kolumbijski towar

To jedna z tych płyt, w których zakochacie się już po pierwszym przesłuchaniu. I nawet jeśli nie potraficie tańczyć, specjalnie dla niej się nauczycie

Pięć lat po przeprowadzce do Kolumbii Brytyjski didżej i producent Will Holland wreszcie poczuł się tam jak u siebie w domu. Ściągnął do studia lokalnych artystów, którzy stworzyli wspólnie z nim Combo Bár-bado, a z Londynu zaprosił wokalistę Alice Russell. To dzięki nim album „Look Around the Corner” wręcz promienieje energią południowoamerykańskiej muzyki tanecznej cumbia, a międzynarodowy zespół swobodnie

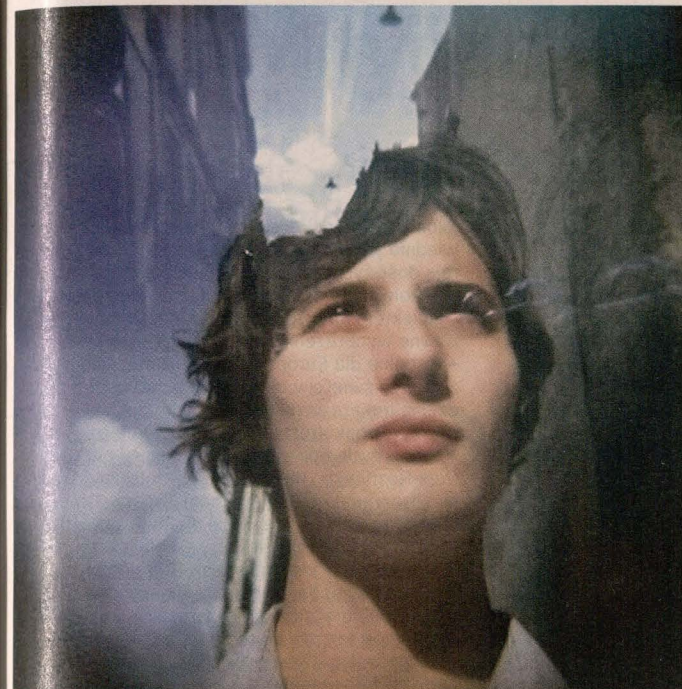
i z dużą gracją porusza się między jazzem, easy listening, soulem, bossa novą, salsą i funkiem.

Kto wcześniej oszalał na punkcie rytmów kubańskich albo brazylijskich, to podobny los czeka go z rytmami kolumbijskimi. W końcu takim tematom jak „Una Tarde En Mariquita”, „Road To Islay” czy piosence „Su Suzy” trudno jest się oprzeć – żywa sekcja, piękne aranżacje instrumentów dętych, solowe partie skrzypiec, fletu i akordeonu, a do tego ciepły klimat i sentymentalny ton. Natomiast Alice Russell ze swoją czarną barwą głosu i charyzmą wprowadza dodat-

kowo do tych nagrań nieśmiertelnego ducha wytwórni Motown. Jeśli komuś utwór „Magdalena” skojarzy się z Amy Winehouse – to też może być dobry powód, żeby sięgnąć po tę płytę i słuchać jej potem całe lato.



Quantic and
Alice Russell,
„Look Around
the Corner”,
isound



Myśli niepokojące

„Ta piosenka sprawia, że zaczynam wierzyć w życie pozagrobowe” – podobne hołdy fanów dla twórcy tego albumu trudno zliczyć. I nie ma w nich przesady

Elegancka powtarzalność. Żadnych gwałtownych ruchów. Metaliczne echa gitar, na które nakłada się monotony głos w jednakowo wspinających się i opadających refrenach. Melodyjne koła dźwięków, przechodzące w jeszcze szersze pętle i jeszcze dalsze echa. Kliknięcia klawiszy. Nuda, nic się nie dzieje. Muzyka dla ludzi poza czasem – może takich, jak bohaterowie obrazów Edwarda Hoppera?

Ale drugi solowy album powściągliwego Locketta Pundta, na co dzień gitarowego filaru grupy Deerhunter, w rzeczywistości aż kipi od fantastycznych myśli muzycznych. Od najprostszych dwudźwiękowych motywów budujących nieznośne napięcie („Remember Our Days”, „White Galactic One”) po rozbudowane, shogazowe pejzaże reaktywujące sen-

ne brzmienia My Bloody Valentine i Stereolab (znakomite „Eveningness”) – wszystko to nakłada się na siebie z komputerową precyzją. Pundt pięknie zderza niepokój alternatywnej melodyki z sielską sytością folku, osiagając w tym niemal doskonałość. Bierze za wzór to, co dobrze znamy. Ale nie ma w tym nic złego. Przeciwnie. Dzięki temu możecie słuchać teraz jednej z najlepszych płyt tego roku.

ANNA GROMNICKA



Lotus Plaza,
„Spooky
Action at
a Distance”,
Kranky

Wykopane z Internetu

Polska młodzież śpiewa polskie piosenki. I nawet jeśli bywają momentami irytujące, warto ich posłuchać

W tym roku jak na razie żadna płyta nie wstrząsnęła tak naszym undergroundem jak wspólny projekt Błażeja Króla z grupy Kawalek Kulki oraz Maurycego Kiebzaka-Górskiego. O co ten cały hałas? Cóż, kto nie śledzi namiętnie blogów muzycznych, nie siedzi na bandcampie albo nie słucha wieczornych audycji w Trójce, to pewnie w ogóle nie wie o istnieniu UL/KR. A szkoda. Warto poszukać albumu „UL/KR”.

Na pewno jest to materiał wciągający i zjawiskowy. Eksperymentalny pod względem muzycznym, a jednocześnie wyjątkowo melodyjny i zaśpiewany po polsku. Podążający za obecnymi trendami na scenie elek-

tronicznej, ale też osadzony w tradycji lat 80. i stworzony w domowych warunkach.

Komu może się spodobać? Starsi słuchacze dopatrzą się onirycznych klimatów Dead Can Dance, młodzi odnajdą w kilku krótkich piosenkach nawet wpływy ostatniego Animal Collective. Komu może się nie spodobać? Tym, których irytują teksty na granicy młodzieżowej poezji i grafomanstwa oraz nie mogą znieść egzaltowanej manieri wokalne. Czy należy przyznawać się przed znajomymi, że ma się w iPodzie właśnie UL/KR? Przez najbliższych kilka tygodni na pewno.

JACEK SKOLIMOWSKI



UL/KR,
„UL/KR”,
Thin Man

Spokojnie, to tylko drobna awaria

Florence akustycznie? Bardzo chętnie, ale w innym repertuarze



mtv koncertów „bez prądu” zarejestrować akustyczne wersje piosenek z „Lungs” i „Ceremonials”. Dzięki, doceniam, jednak nie to dokładnie miałem na myśli. Nie chodziło o to, żeby potężne tytułowym bębniem „Drumming Song” zagrać bez perkusji, a pisać z myślą o stadionach najnowszy materiał okroić ze wszystkiego, co stanowiło o jego sile. Te akurat kompozycje nie brzmią już tak dobrze, kiedy sprowadza się je do powściągliwych wykonanych na gitarę akustyczną, fortepian i skrzypce. Sama Florence wokalnie jest tu oczywiście bez zarzutu, a tym jak zaśpiewała znane m.in. z repertuaru Otisa Reddinga „Try A Little Tenderness” potwierdza tylko jak nietuzinkową jest postacią. Podejrzewam jednak, że tym razem nawet dla oddanych fanów może to być zbyt mało.

BARTEK WINCZEWSKI



Florence
and the
Machine, „mtv
Unplugged”,
Universal

Dżihad: między „Rambo” a MTV

Czarna komedia o zamachowcach samobójcach? Dlaczego nie?



Takiej mieszanki intelektów nie powstydziliby się program z mtv. Krzykliwy Waj jest naiwny i poczciwy, jak najwyższy z braci Daltonów. Skromny i cichy Faisal ma twarz pokerzysty. Barry próbuje grać rolę demona i wygłasza co rusz bufońskie przemowy, ale w ryzach trzyma go nieformalny przywódca grupy – najinteligentniejszy Omar. Poza Barrym wszyscy mają pakistańskie korzenie. Byliby typowymi ziomalami z brytyjskich przedmieść, ale jak to w filmach – wyróżnia ich wielkie marzenie. Pragną wysadzić się ku chwale Allaha, zabierając ze sobą w zaświaty jak najwięcej niewiernych.

To chyba pierwsza komedia (bardzo czarna) o zamachowcach samobójcach, ale od razu powiem – całkiem dobra. Że nikt się nie palił do tematu – trudno się dziwić. Pomysł Christophera Morrisa (projektowany początkowo jako sitcom) odrzuciła m.in. bbc. Twórca poprosił więc swoich fanów o zrzutkę, oferując w zamian możliwość statystowania w filmie.

Coś z sitcomowego ducha w filmie pozostało. Morris zderza ze sobą proste i wyraziste charaktery, które w każdym zestawieniu dają komiczną iskrę, a ta czasem zamienia się w metaforyczną

(albo i dosłowną) eksplozję. Bohaterowie są odpowiednio przerysowani, ale z biegiem czasu nabierają dość życia, by im pokibicować i pożałować ich, gdy kolejny plan masowej zagłady bierze w łeb.

Obiektem dowcipu nie są tu muzułmanie, ale pewne wyobrażenie zamachowca – jak się okazuje – wspólne dla Europejczyków i samozwańczych żołnierzy świętej wojny. Mimo azjatyckiego pochodzenia bohaterowie są silnie zakorzenieni w zachodniej popkulturze. Dla Waja dżihad to „Rambo” + mtv, a życie pozagrobowe to kfc + Londyński Park Rozrywki. „The Mal”, który dołącza do grupy, jest raperem i oddanym fanem Tupaca. Omar znajduje w świętej wojnie ujście dla buntu przeciw konsumpcjonizmowi, a Barry – największy radykał w tym gronie – jest rdzennym Brytyjczykiem. I tylko Faisal wygląda, jakby właśnie skończył paść owce i wybierał się do meczetu.

Nawet w tak małej grupie toczy się nieustanna walka o wpływy i przywództwo. Omar ma czyste intencje wobec mniej kumatych przyjaciół, ale z każdym kolejnym krokiem na drodze do raju musi iść ze swoją przyzwoitością na kompromis. Trzeba wziąć za nich odpowiedzialność, skomplikowane kwestie przetłumaczyć na język, który są w stanie zrozumieć. Dla ich własnego dobra – pokierować nimi, a w krytycznych momentach – delikatnie ich zmanipulować. A by zachować wiarę we własne działania, w końcu trzeba przekonać i siebie samego, tłumacząc sobie przy użyciu przebiegłej argumentacji, że tego właśnie w głębi duszy wszyscy chcieli i potrzebowali. Poza wyzwalającym ze strachu śmiechem Morris podnosi więc najważniejszy sztandar współczesnej komedii, szczególnie ważny w chwilach grozy – pochwałę umiejętności samodzielnego myślenia.

DAREK AREST

cccc

„Four Lions”, reż. Christopher Morris, Francja/Wielka Brytania 2010, 101', premiera 27 kwietnia 2012

Jednak dość zwyczajnym sytuacjom (w przypadku Lisowskiego są to domowe porządki, u Mazurkiewicza tytułowa nauka jazdy, jaką dwie dziewczyny udzielają młodszej siostrze) towarzyszy napięcie. W obu filmach groźba pozostaje ostatecznie w zawieszeniu, ale w ciągu dziesięciu minut udaje się zbudować klimat, przez który prześwieca jakiś nieco większy wycinek życia bohaterów.

To, co dla fabuły może być kompromisem, jest naturalnym środowiskiem animacji, w których forma najwyraźniej jest treścią. Temu wytartemu nieco określeniu sens nadają filmy takie jak piękna „Snąpownia” Marty Pajek, która zgodnie z oficjalnym opisem traktuje „o trudnościach z rannym wstawaniem, niedojedzonym barszczu i tytułowym „prze-

Postpolityczny fałsz

Polityka w filmie Schoellera to obłudne przedstawienie, choćby jego aktorzy chcieli inaczej

Telefon w środku nocy budzi francuskiego ministra transportu. Polityk śnił o nagiej kobiecie przechadzającej się po resortowych gabinetach i odzyskał świadomość w chwili, gdy po nętna żeńska sylwetka zniknęła (chętnie i bezkrawo) w paszczy krokodyla. To erotyczna fantazja, ale też skondensowany symbol świata, w jakim polityk funkcjonuje.

Wśród znaczeń przypisywanych krokodylowi w różnych sennikach znajdują się okrucieństwo i mądrość, obłuda i moc. Polityka w filmie Pierre’a Schoellera odzwierciedla raczej te gorsze cechy – cnoty niegdyś jej przypisywane odeszły w zapomnienie. Ministra wyrywa ze snu informacja o wypadku autokaru z dziećmi. Musi jechać na miejsce tragedii i odegrać standardowe przedstawienie – zafasowane spojrzenie w kamerę, kilka pokazowych ruchów koordynujących akcję służb ratunkowych i parę słów o katastrofie, którą Francja przeżywa dzięki swej niezłomności. Jednak ten spektakl to tylko wierzchołek góry lodowej. Wypadek uruchamia szereg politycznych wydarzeń, które zmuszą ministra do walki o twarz, pozycję i stołek, ale nigdy o dobro wspólne.

W filmie Schoellera gabinety polityków to wieże z kosi słoniowej, wewnątrz których rozgrywa się widowisko miernej jakości. Politykujący świat władzy, zupełnie oderwany od rzeczywistości, stanowi arenę dla przepychanek wysoko postawionych mężczyzn, którzy myślą głównie o tym, jak oszukać społeczeństwo i dobrze wypaść w sondażach. Schoeller poleruje filmowe obrazy na błysk i nasycza je fałszywym glamour, budując krytyczny portret polityki jako igrzysk, w których brakuje chleba.

cccccc mistrzostwo cccccc na piątkę
cccc warto ccc może być cc słabo c dno

W centrum całego zamieszania znajduje się jednak bohater z krwi i kości. Minister jest na przemian znużony i sfrustrowany prowadzoną grą, na jego obliczu wciąż maluje się zmęczenie. Jednak Schoeller wzbrania się przed najprostszymi kliszami – życie osobiste ministra nie jest wcale pasmem nieszczęść (seks z żoną wydaje się nawet jednym z niewielu przyjemnych momentów), żaden z niego również makiaweliczny demon. To raczej człowiek, który szuka ratunku.

Sens próbuje minister odnaleźć w kontakcie z tzw. zwykłym człowiekiem, którego codziennością jest walka o byt. Rozmowa z żoną własnego kierowcy – w przyczepie, którą małżeństwo zamieszkuje, bo nie stać ich na ukończenie budowy domu – ujawnia jednak tylko przepaść, jaka dzieli władzę od wyborców. Porozumienia z ludem nie będzie, minister będzie musiał przyjąć reguły gry albo odejść. Jedyłą alternatywą w świecie postpolityki jest alternatywa fałszywa.

BLAŻEJ HRAPKOWICZ



cccc

„Minister”, reż. Pierre Schoeller, Francja/Belgia 2011, 112', premiera 20 kwietnia

wodzie łączącym wody płodowe marzeń sennych z lozyskiem rzeczywistości”. Rzeczywistość, jak we śnie, nie chce trzymać się żadnych reguł, zagina się i rozpada, by odbudować się z niczego. Gdy tylko jakiś obraz zdaje się uzyskiwać pełny kształt, zmienia się płynnie w coś innego i wymyka fabularnym normom. Do „pomieszania zmysłów” dochodzi także w „Noise”, gdzie uporczywe hałasy płynące z sąsiednich mieszkań zakłócają życie głównego bohatera, a dźwięki przyjmują fizyczne kształty i naruszają jego prywatną przestrzeń. Nieco podobnie jest w teledysku do „Krzyżówki dnia” Moniki Brodki, z imponującą szybkością powiększającego się dorobku Krzysztofa Skoniecznego, który proponuje błyskawiczną przejażdżkę po kilkunastu stylach plastycznych.

Najmocniejszą propozycją w tegorocznym zestawie wydaje się jednak dokumentalna „Rozmowa” Piotra Sułkowskiego. Opowieść o dziewczynie, która wychodzi z więzienia na przepustkę i zderza się z rzeczywistością, poprowadzona jest niezwykle konsekwentnie. Sułkowski pokazuje duży talent do podążania za swoim bohaterem, przyjmowania jego perspektywy, a nawet sposobu opowiadania i wyrażania emocji. Efektem jest film bardzo intensywny, intymny i pełen podskórnego napięcia.

DAREK AREST

4. Short Waves – Festiwal Polskich Filmów Krótkometrażowych, do 28 kwietnia

WIERSZ PRZEKROJU

RUBRYKĘ PROWADZI
MARCIN ORLIŃSKI

Wojciech Brzoska

proza

mogłaby pójść właściwie
z każdym,
bez względu na wiek.

zwłaszcza z jakimś perkusistą,
jego zgranymi pałeczkami.

ale tej nocy przypadkiem
zasypia u mnie.

– nic z nas nie będzie – mówi –
nie interesuje się przecież nawet
poezją.

zasypia skulona w kłębek.

za pięć minut mnie wyrzucić
– prosi nad ranem,

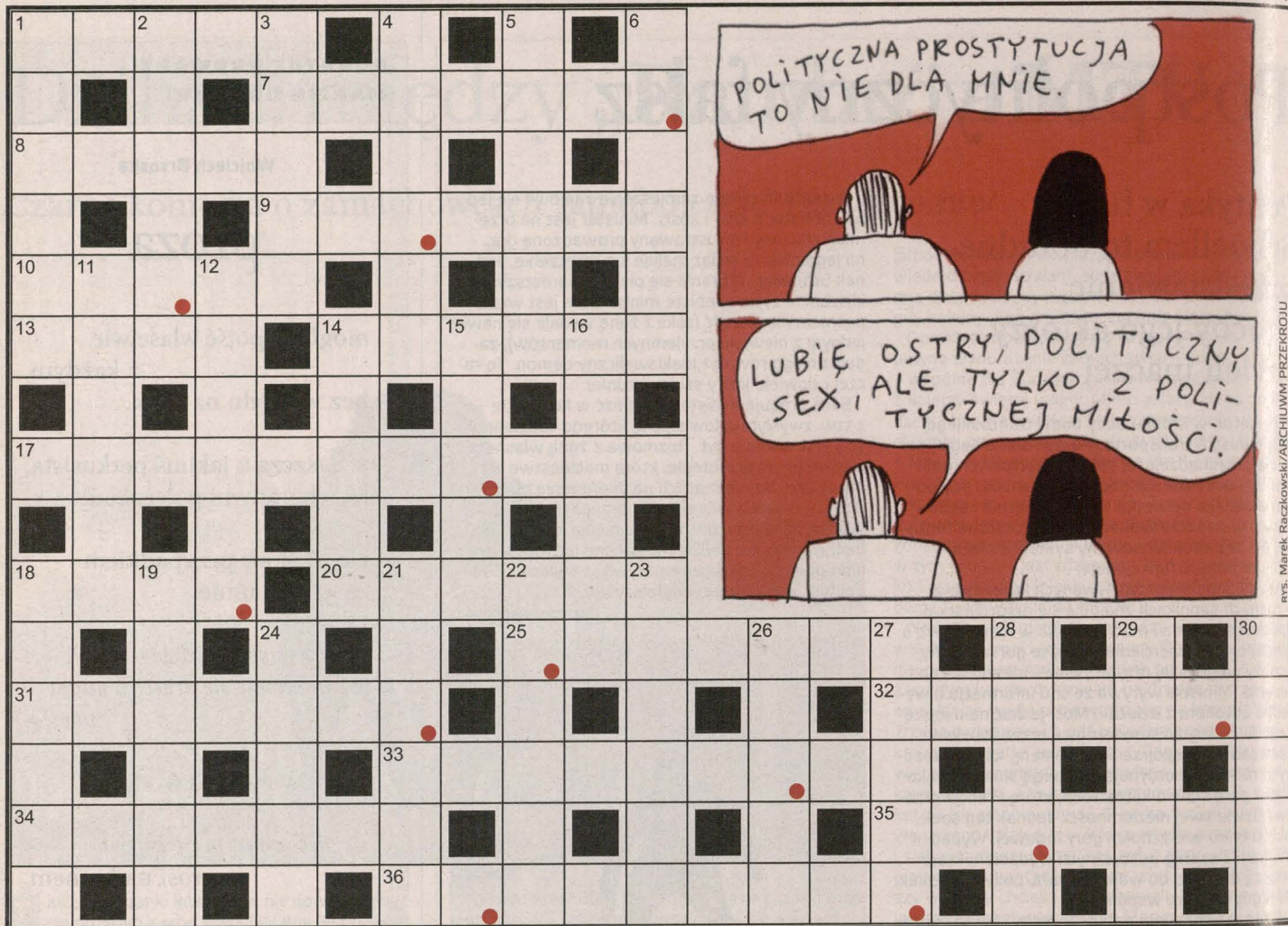
wystukując rytm.

AUTOR O SOBIE:

Zdarza się, że koledzy mówią o mnie „człowiek o dwóch twarzach”, chociaż ról, w których na co dzień występuję, mam pewnie jeszcze więcej. Te najważniejsze to: prywatnie – poeta i wokalista w nietypowym, wieloosobowym duecie muzycznym Brzoska i Gawroński, a zawodowo – oficer i więzienny kaowiec, „wsadzający” artystów za kraty. Organizator i inicjator Ogólnopolskiego Konkursu Poezji Więzienniczej im. J. Geneta. Wydał i opublikował. Pisz i nagrywa.



Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.

PRZYGOTOWUJE:
ZESPÓŁ KALIBER 45POLITYCZNA PROSTYTUCJA
TO NIE DLA MNIE.LUBIĘ OSTRY, POLITYCZNY
SEX, ALE TYLKO Z POLI-
TYCZNEJ MIŁOŚCI.

POZIOMO:

1. LOS CIOS
7. BOZIPIÓREK
8. COŚ BIAŁEGO
9. CYKA
10. SŁYSZY, JAK SIĘ
JE JE

13. NAPAD BEZ UŻYCIA
BRONI
14. TAŚMOWA
PRODUKCJA
17. KAREL GOT
18. KISI KAPUSTĘ
20. PTASZYNA KRÓTSZA
OD KARASKA
25. ŻYJE NA MARGINESIE

31. DLA KAŻDEGO COŚ
NIEMILEGO
32. DZIECKA
PO KĄPIELI
33. TEATR
Z GWIAZDAMI
34. PRZED KINEM
35. WOJSKO MIESZKA
36. PLAN MIASTA

PIONOWO:

1. NIE ŚCIĄGA Z INTERNETU
2. OZNACZONA STRZAŁKĄ
3. LANIE W PONIEDZIAŁEK
4. RZUCONA I PODERWANA
5. SZCZOTKA Z KOTKA
6. MIĘSO Z ZIEMNIAKÓW
11. ZASUWA PO NOCACH
12. WŁÓCZY SIĘ PO POKOJU
14. ZATRZYMAŁ TAKSÓWKĘ

15. OSZALAŁA ZIMĄ
16. ZBIERA WYCINKI Z GAZET
18. BO TO ZŁA MĘŻCZYZNA
BYŁA
19. ZJADŁ ZĘBY NA OBGRYZA-
NIU PAZNOKCI
21. ZMIANA STANU SKUPIENIA
PARY
22. SZYKUJE SIĘ DO BIEGU

23. CIĄGNIE WILKA DO LASU
24. ZACIĘCIE DO ŚPIEWANIA
PRZY GOLENIU
26. GADKA STADKA
27. CHODZI NA DWÓCH NOŻ-
KACH, STOI NA JEDNEJ
28. LUDZIOM SIĘ WYDAJE
29. BILET DO TEATRU
30. KRÓTKI STOJĄCY PTAK

ROZWIĄZANIE Z NR. 15

KRZYŻÓWKA: DNI OCZEKIWANIA

POZIOMO: 1. POWIEŚĆ Z KLUCZEM – ZAMEK 7. SŁODYCZ TYCIA – ŁAKOCIE 8. NIEBO
W GĘBIE – SŁOWO 9. DUŻA PARÓWKA – DUCHOTA 10. NIESIE SAMOCHÓD NA BARACH
– OPONA 13. NÓZ NA SPRZEDAŻ – KOSA 14. ZAPALENIE OPON – ZADYMA 17. NIECH BĘDĘ
POCHWALONY – CHWALIPIĘTA 18. UL. NIEDZWIĘDZIA – BARC 20. CENTUŚ – GROSİK
25. ROŚNIE NA ŻYCIU – ZARÓDEK 31. WYBIERA SIĘ NA URLOP – MIEJSCE 32. UTKNĘŁA
W KORKU – PINEZKA 33. WENUS DOSTAŁA OD RADWAŃSKIEJ – TENISÓWKI 34. MOWA
NAWA – KAZANIE 35. PRZYWIĄZANIE DO ZIEMI – NIEWOLA 36. REALIZUJE POŁĄCZENIA
– SPAWALNIA

PIONOWO: 1. Z WYSOKIEGO KONIA – ZESKOK 2. KOS Z ŻÓŁTYM DZIOMBEM – MŁOKOS
3. BAL NATURALNY – KŁODA 4. BRANE NA RÓGI – OKUCIA 5. KRĘCONE NA KLATCE – SCHODY
6. ŻE TRZEBA PO RUSKU, BO WSTYD PO FRANCUSKU – ŻENADA 11. ZAWIESZENIE BRONI
– POCHWA 12. NAKARMIC W ZŁOŚCI – NAPAŚĆ 14. OKOLICZNOŚCI UCIECZKI – ZBIEG
15. RZECZNIEPOSPOLITA – DZIWO 16. WYJŚCIA NIE MA – MATNIA 18. KULA PRZY ŁANCUCHU
– BOMBKA 19. JEDNA TRZECIA – RZESZA 21. NA TARGU W DZIEŃ STRAGANOWY – RWETES
22. DUPINA – SZYNKA 23. DOSTAJE WYCISK – KROSTA 24. AZOREK – PSINA 26. LATA TKANY
– DYWAN 27. TO MA BYĆ ŻART? – KPINA 28. WYGINA W ŚRODKU – GNIEW 29. ŚRODEK
WYRAZU – CZŁON 30. BUJANIE KOMARA – HAMAK

LAUREACI
Z NR. 14

Grażyna Błażewska,
Legnica; Tadeusz Du-
lowski, Trzebinia; Maria
Dziamba, Tarnobrzeg;
Krzysztof Helewski, Dą-
browa Górnicza; Janina
Ozdowa, Płock; Alek-
sandra Pietkiewicz,
Bydgoszcz; Katarzy-
na Polachowska, Piła;
Magdalena Tarasiewicz,
Warszawa; Wioletta Za-
kulew, Wrocław; Jan
Zaleski, Łódź

Nagrodą w tym tygodniu jest książka
„Walter Isaacson, „Steve Jobs”,
Insignis, Kraków 2011.

Ekskluzywna, wyczerpująca i pasjonująca biografia
Steve'a Jobsa, pióra Waltera Isaacsona, autora bestsellerowych
biografii Benjamina Franklina i Alberta Einsteina,
oparta na ponad 40 wywiadach z Jobsem oraz rozmowach
z ponad setką osób: członków jego rodziny, przyjaciół, kolegów,
wrogów i konkurentów.

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło.
Wyslij SMS o treści **PRZEKROJ.HASŁO KRZYŻÓWKI** na numer **7243**.
Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla)
na adres: Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem:
„krzyżówka 17/18”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 6 maja 2012.
Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego
lub komórkowego będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Presspublica sp. z o.o., ul. Prosta 51,
00-838 Warszawa, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia
lub marketingu własnych produktów albo usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich
danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest
dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu
w siedzibie organizatora konkursu.

PRZE-
KROJ

ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, faks: 22 628 05 88,
22 463 00 00, 22 628 34 01 do og. www.przekroj.pl, e-mail: doredakcji@prze-
kroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl REDAGUJE ZESPÓŁ: Roman Kurkiewicz
(redaktor naczelny), Aleksandra Bilewicz, Katarzyna Czarnecka, Julia Kubisa,
Magda Papużńska, Jacek Tomczuk, Maria Świątek ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓW-
KA: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pleśczyk, Kaliber 45 PROJEKT GRAFICZNY:
Kasper Skirgajło-Krajewski PRACOWNIA GRAFICZNA: Andrzej Figatowski FOTO-
EDYCJA: foto@przekroj.pl, Katarzyna Serek, Franciszek Mazur KOREKTA: Ling
Brett OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Bogumiła Kreczmańska,
Bartosz Wójcik, Tomasz Kieras, Krzysztof Rzeszotek STRONA INTERNETOWA
I IPAD: serwisypłatne@rpp.pl, Cezary Niewiarowski, Renata Wróbel

GREMI
GRUPA

WYDAWCA: PRESSPUBLICA SP. Z O.O. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa
PROMOCJA I MARKETING: promocja@przekroj.pl, Milena Ostólska
BIURO REKLAMY: Presspublica Sp. z o.o. ul. Prosta 51,
00-838 Warszawa; faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala
telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę
22 628 34 01 do og. DYREKTOR DZIAŁU AGENCYNIEGO: Filip Weichert
– 22 463 01 88 reklamainfo@presspublica.pl druk: RR Donnelley.

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

PRENUMERATA REDAKCYJNA Cena prenumeraty 2012 r.:
roczna: 165,40 zł, półroczna: 83,20 zł, kwartalna: 41,60 zł
Zamówienie na prenumeratę należy składać: e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl lub faxem: 22 621 22 61.
Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 195
PRENUMERATA KOLPORTERSKA oddziały Ruch SA,
www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe
PRENUMERATA E-WYDANIA www.egazety.pl
PRENUMERATA ZAGRANICZNA Ruch SA
www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPADA

Cena abonamentu na iPada i w Internecie:
tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł;
roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł.
Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store.
Informacje: wsparcie@przekroj.pl



Artykułów
niezamó-
wionych nie
zwracamy.
Redakcja
zastrzega
sobie prawo
do zmian
i skrótów
w nadesła-
nych arty-
kułach i li-
stach.

Okładka:
Sergiusz
Skrzypczyński-
Trocki

NOWY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY



www.sukcesmagazyn.pl

Nowy Rozmawiacz

RACZKOWSKI NA KONIEC



KINOTEATRZYK
PRZEMKA JURKA

Wichrowe
Wzgórze

remake
aerodynamiczny

Występują:
CATHY & HEATHCLIFF

Piener. Zimno,
wietrznie, inspiруюco.

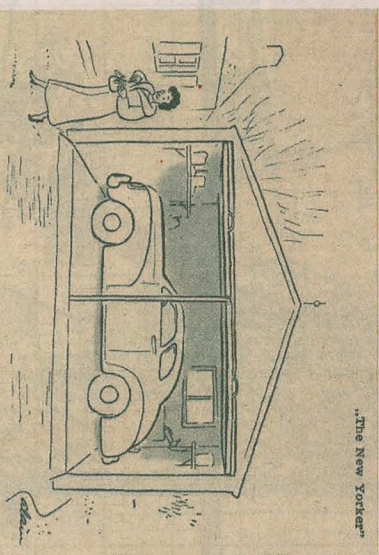
CATHY (młodość):
Heathcliffe, musimy
porozmawiać o tym,
co nas łączy...

HEATHCLIFF
(niekonkretnie):
Tak. Oczywiście.
(paauza, którą Cathy
wykorzystuje
na sportaniczny napad
szlachy, a Heathcliff
na doprowadzenie siły
wiatru za pomocą
poślizgnięcia palca)
Eureka!!!

Bieganie do miasta,
bierze w banku pożyczny
kredyt, instaluje
na wzgórzach
kilkadziesiąt turbin
wiatrowych, bogaci się,
rozpiła i z miejsca
zapomina o Cathy.

KURTYNA zerwana
przez nagły podmuch
lodowatego powietrza
spada wprost
na widownię.
Panika.

KARIERA BISCUITÓW
Będzie niedawno na wza-
sach w okolicach jeleniej
Góry kupiłam paczkę dość
zreklamizowanych herba-
tów o etykiecie: **Herbata
Biscuit**.
**PSS KOWARY
CIASTKARNIA Nr 1**
ul. Świerczewskiej 11/11, 43-
100 Sosnowiec
Nr recept. 608
waga 50 g cena 2,75 zł



„PRZEMKO” z 29 KWIETNIA 1962 R.

„PRZEMKO” z 30 KWIETNIA 1972 R.

NIE TAK: JAN KOZA

**MYSŁNIK
KRZYSZTOFA
BILICY**

Sprawiedliwości
niepotrzebne
jest prawo,
lecz prawni
potrzebna jest
sprawiedliwość



ROMAN KURKIEWICZ

Biały. Europejczyk.
Terrorysta 2.0

LEWO
MYSŁNIE



Jak całe społeczeństwa zostają
terrorystami? Wgapiając się
w relacje z procesem pewnego
białego mężczyzny,
Europejczyka (europejczyka?),
urodzonego w Norwegii
– wypchając testament
mordery
politycznego

Nie mam telewizora, nie oglądam telewizji – więc nie
mam problemu z unikaniem tego procesu w TV. W Inter-
necie, prasie drukowanej, nawet w radiu – jest to prawie
niemożliwe. Jest wszędzie, znamy jego twarz, historię,
upodobania, poglądy. Znamy dzięki czynowi – podłożeniu
bomb i wysadzeniu w powietrze budynków rządowych
(osiem ofiar śmiertelnych) i egzekucji 69 dzieciaków, które
przeżywały na obozie letnim zorganizowanym przez lewico-
wą partię. Przez miniony rok czekał spokojnie. Czekal,
bo wiedział, że cywilizacja, której broń w swoim mniemaniu
przed „islamizacją” i imigrantami, ma mu do zaoferowania
sterylne poprawy i uczciwy proces, obrońców, media,
i maksymalnie 21 lat więzienia.

Biały mężczyzna po wykonaniu egzekucji spokojnie cze-
kał jednak przede wszystkim na media. Było warto. Były. Są.
I będą obecne przy każdej kolejnej odsłonie tej tragedii. Przy
każdem wykonanym w świetle kamer geście nienawści, który
za chwilę, powielany, zaczniemy obserwować na ulicach na-
szych miast. Media nigdy go nie zawiodą. Udośćpnia wszyst-
ko, jak jego twarz uczyniły rozpoznawalną na całym świecie.
Dziś terrorysta nie istnieje bez kamer, mikrofonów,
palców na klawiaturze. Media są służką terroru. Zapewnia-
ją mu życie po życiu. Nie pomagają zrozumieć, pomagają roz-
powszechniać nienawść i realną przemoc.

Norwegowie zdają swój egzamin. Nie zmienili prawa pod-
tę konkretną zbrodnię. Traktują oskarżonego na sali sądo-
wej jak człowieka. Ławnik, który kiedyś na forum interneto-
wym chciał śmierci białego mężczyzny, europejczyka, musiał
opuszczać skład sądu. Ale ci, którzy zdają egzamin, a przede
wszystkim ofiary terrorysty nowej, netowej, medialnej epoki
– są nieznanymi, niepokazywanymi, nieopisanymi.

I dlatego odmawiam mu prawa do powielania jego imienia,
nazwiska, portretu, gestów, poglądów.
Egzekucja kilkudziesięciu bezbronnych dzieciaków to nie
jest wymiana poglądów.
Jest jeszcze jedna śmiertelnie poważna kwestia. Te po-
glądy są obok nas. Ale ich nie słyszymy. Nie widzimy śmier-
telnych ofiar tych samych poglądów, choć znaleźć je można
na ulicach naszych miast. Dość!

Szkolne prezentacje w Internecie

MEN wprowadził do gimnazjów obowiązek realizowania projektów edukacyjnych. Uznano, że uczniowie powinni nauczyć się pracować metodą projektową, w grupie. Młodzi autorzy po zakończeniu projektu prezentują go publicznie w swojej szkole kolegom, nauczycielom,

rodzicom. Ale dlaczego nie pokusić się o opublikowanie efektów pracy na forum ogólnopolskim? MAPPTIPE – narzędzie do tworzenia edukacyjnych prezentacji multimedialnych – wydaje się być znakomitą propozycją dla uczniów i nauczycieli.

Szkoly to siła lokalnych społeczności. W nich często koncentruje się życie miasteczek, wsi. Tu spotykają się rodzice na wywiadówkach, losami szkoły żyją mieszkańcy. Wszystkim zależy, by była ona dobra, bo od jakości edukacji zależy przyszłość dzieci.

Droga do cyfryzacji jest drogą otwierania nowych możliwości. Rodzi się szansa wyrwania szkół z pewnej izolacji. Tym bardziej, że w wielu gimnazjach, podstawówkach, liceach pracują świetni i pomysłowi nauczyciele, którzy ze swoimi uczniami robią fantastyczne rzeczy. Teraz pojawia się szansa na to, aby te działania mogły zostać pokazane innym, wyjść poza lokalność.

Projekt MAPPTIPE ma ambicję stania się giełdą pomysłów. Autorzy tego narzędzia uczą, jak tworzyć zaawansowane prezentacje multimedialne, jak

szukać materiałów, jak je atrakcyjnie przedstawić. Tworzenie i publikowanie prezentacji ma być przede wszystkim spełnieniem ambicji ich twórców, wyjściem na świat ze swoimi pomysłami, wiedzą, umiejętnościami.

To także dzielenie się dobrymi praktykami. Dlaczego ze znakomitych pomysłów nie mają skorzystać inni? Dobra prezentacja wykonana przez jednego nauczyciela może być wykorzystana na lekcji przez innego. Ale największą wartość niesie uczenie się od siebie nawzajem – pomysły na lekcje, ciekawe zadania, rysunki, wykresy – to wszystko może się znaleźć w publicznej przestrzeni szkolnej, przestrzeni, która dopiero powstaje.

Chciałoby się, żeby najlepsi i najbardziej twórczy, pomysłowi ludzie polskiej oświaty mogli wreszcie zaistnieć w środowisku szerszym niż lokalne. Do te-

go trzeba ich zachęcać, a prezentacje tworzone w MAPPTIPE są do tego kluczem. Tematem może być nie tylko materiał lekcyjny, ale także coś nie związanego z programem nauczania, zaś adresatami mogą być zarówno uczniowie i nauczyciele, jak i szeroko rozumiani hobbysci. W globalnej wiosce każdy może za pomocą Internetu przedstawić swoją pracę wszystkim tym, których ona interesuje.

Przy okazji nauczycielskich rozmów o podręcznikach często pojawiają się uwagi, z których wynika, że ten czy ów temat można przedstawić lepiej. MAPPTIPE na to pozwala. Jakiś temat wyłożony jest fatalnie? Dlaczego nie opracować go w prezentacji w zupełnie inny sposób? Książka zawiera zbyt mało ilustracji? Dlaczego nie umieścić ich w opracowaniu znacznie więcej? Poza tym książka nie może zawierać filmu,

nie może wyświetlić animacji czy dynamicznego wykresu.

Wielu jest także uczniów, którzy pasje, wiedza oraz pomysłowość godne są upublicznienia. Ich prezentacje będą nie tylko dumą rodziców i nauczycieli, ale także szansą na dotarcie do ludzi o podobnych pasjach. Jeśli nie pokażesz tego, co wiesz, umiesz, to nikt się nie dowie, że ktoś z taką wiedzą i umiejętnościami istnieje. A warto, żeby tracy ludzie nie byli anonimowi.

Wszystko o aplikacji:
www.mapptipe.edukator.pl

Patroni
medialni
kampanii



RZECZPOSPOLITA

Więcej w śródownym wydaniu
„Rzeczpospolitej”

**Dołącz do nauczycielskich elit!
Twórz własne prezentacje i e-podręczniki!
Edukacja 2.0 to także TY!**

Rekrutacja

do projektu!

www.mapptipe.edukator.pl

**Konkurs z cennymi nagrodami!
iPady, notebooki i netbooki dla nauczycieli i uczniów!
Po 500 zł wynagrodzenia dla nauczycieli!**

